

PROF. PAWEŁ KACZMARCZYK
CIEMNA STRONA
MASOWYCH MIGRACJI

MICHAŁ LISTKIEWICZ
JAK ZROBILIŚMY
Z UKRAINĄ EURO 2012



Polacy pomagają, a rząd śpi

NAJSŁABsze OGNIWO



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311201

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Filoktet ex machina

**Bożek, Gola, Korsak, Koszulińska,
Ryl-Krystianowska, Mikulak, Nosal,
Przybyła, Stoczyński, Stępień,
Trzewik, Chudobińska-Zdunik**
premiera: 19 marca 2022
kolejne pokazy: 20 i 22 marca

Mityczny Filoktet, samotny i cierpiący, ciągnie dotkniętą chorobą stopę po plaży Lemnos. Niewiele na ten temat myśląc, realizuje zapisany mu wyrok. Jako człowiek, podległy jest woli losu i bogów. Bunt nie przychodzi mu nawet do głowy.

Do pracy nad spektaklem w reżyserii Agaty Koszulińskiej twórcy zaprosili artystkę chorą na nieuleczalną chorobę, na którą dostępna medycyna nie oferuje skutecznego lekarstwa. Jej osobiste doświadczenie staje się swoistym odbiciem sytuacji Filokteta.

Spektakl zadaje pytania o istotę cierpienia we współczesnym świecie oraz możliwość przezwyciężenia ograniczeń ciała i niepełnosprawności dzięki zdobyczom z zakresu nowych technologii.

Spektakl powstał we współpracy
z Festiwalu Nowe Epifanie, jako efekt
Laboratorium Nowych Epifanii.

Nowe  pifanie

Partner
mediów

wyborcza

wyborcza.pl
WARSZAWA

napisano

P

Prawda czasu i prawda ekranu

Wojna brutalnie wtargnęła do naszych głów. I szybko z nich nie wyjdzie. A jak bardzo je spustoszy, dowiemy się dopiero za jakiś czas. Obrazy śmierci, przemocy i nieszczęścia milionów ludzi zostaną z nami na zawsze. Nie tak trudno sobie wyobrazić, że to my jesteśmy na miejscu Ukraińców. Takich samych ludzi jak my. Zwykłych ludzi, którzy z pewnością nie chcieli wojny. A stali się jej bezbronnymi ofiarami. Bo w wyścigu mocarstw o nowy podział świata i strefy wpływów znaleźli się w pechowym miejscu.

Polacy najlepiej wiedzą, jakim fatum potrafi być miejsce na mapie. Musimy jednak z tym żyć. A przede wszystkim, o czym piszemy w PRZEGLĄDZIE od lat, zrobić z tego położenia wehikuł, który poniesie Polskę w stronę państwa dobrobytu. To jest możliwe. Ale do tego potrzeba sprawnie zorganizowanego społeczeństwa i mądrych polityków. Niestety, dziś w obu kategoriach mamy spory deficyt.

Skala oczekiwanej pomocy humanitarnej, medycznej, edukacyjnej i socjalnej przerasta możliwości tak zorganizowanego państwa jak nasze. Sytuacja robi się alarmowa, bo rząd nie wykorzystał dwóch tygodni, które dali mu wolontariusze, biorąc pomoc na swoje barki. Ich ofiarność, sprawność i mobilizacja pokazują, jak wielkie, choć niewykorzystane możliwości tkwią w naszym społeczeństwie. Jak wielki jest potencjał młodszych pokoleń. I jak bardzo żal tego dobra marnowanego przez niemądrych, zaściankowych polityków.

Rząd Morawieckiego jest całkowicie nieprzygotowany na to, co się stało. Zaskoczony, mimo że Amerykanie już w listopadzie ostrzegali swojego hojnego w zakupach sojusznika przed prawdopodobną wojną. I co rząd z tym zrobił? Widzimy, ile czasu zmarnowano. Teraz skutki tego niedbalstwa najbardziej odczuwają uchodźcy. A już za chwilę dotknie to prawie każdego Polaka. Nie można jednak powiedzieć, że tego rządu nie ma. Jest. Lansuje się na uchodźcach. Widzimy i słyszymy w mediach, jak premier i ministrowie ciężko pracują. Zarobieni są. 24 godziny na dobę. I tak już dwa tygodnie. Przypomina to legendarną scenę z „Misja” – „jest prawda czasu i jest prawda ekranu”.

BAKOWSKI



Jerzy Domański



POMAGAJMY

Banki Żywności



Wpłat można dokonywać na stronie:
<https://zbiorkazywnosci.pl/bank-zywnosci/dla-ukrainy/>



Wpłat można dokonywać na stronie:
<https://unicef.pl/chce-pomoc/nasze-akcje/pomoc-dla-ukrainy>



Wpłat można dokonywać na konto:
 37 1090 2590 0000 0001 3275 6732
Więcej informacji:
 +48 572 426 485
pomoc.ukraina@opzz.org.pl



Wpłat można dokonywać na stronie:
<https://www.pah.org.pl/wplac/?form=ukraina>



Wpłat można dokonywać poprzez profil na Facebooku:
<https://www.facebook.com/donate/275450921370284/>
lub na stronie internetowej:
www.ocalenie.org.pl/wplac



Wpłat można dokonywać na stronie:
<https://pmm.org.pl/chce-pomoc/#ukraina>
oraz poprzez profil na Facebooku:
<https://www.facebook.com/donate/375415624008297/5395474380471879/>



Wpłat można dokonywać na stronie:
<https://pcpm.org.pl/ukraina>
oraz poprzez profil na Facebooku:
<https://www.facebook.com/donate/2948107692167955/4897929046952704/>

WOJNA W UKRAINIE

- 8 Kronika nieuchronnej katastrofy**
– rozmowa z Robertem Kwiatkowskim
- 12 Międzynarodowy zaciąg**
O losie Ukrainy zdecydują rezerwy
- 15 Serce podziemnego miasta**
Wolontariusze w Krakowie
- 18 Ludzie pięknie się dzielą**
Malbork solidarny z Ukrainą
- 20 Najtrudniejsze przed nami**
– rozmowa
z prof. Pawłem Kaczmarczykiem
- 24 Dlaczego John Mearsheimer obwinia**
Stany Zjednoczone o wojnę w Ukrainie?

KRAJ

- 28 Cena wojny**
Bolesne skutki dla gospodarki
- 30 Czarna Pantera nad Wisłą**
Oferta koreańskiej zbrojeniówki
- 32 Jak się bronić przed manipulacją?**
– rozmowa
z dr. hab. Sławomirem Śpiewakiem

OPINIE

- 36 Jakub Dymek**
Głupi i głupszy strzał w kolano

ZAGRANICA

- 38 Fort Trump Budapeszt**
Węgierski przyczółek altprawicy

SPORT

- 42 EURO 2012 za tysiąc delegacji**
Michał Listkiewicz o mistrzostwach Europy

KULTURA

- 46 Aktor dojrzeźwa na robocie**
– rozmowa z Katarzyną Dąbrowską
- 49 Culturalia**
- 66 Kuba Kujawa. Raj Utracony**

ZDROWIE

- 50 Strzeżcie się suplementów diety**
Kiedy witaminy szkodzą

OBSERWACJE

- 54 Paragwajczyk zna się tylko na manioku**
Korespondencja z Paragwaju

ZWIERZĘTA

- 58 Spójrz, jaki jestem śliczny!**
Uroda w świecie zwierząt

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Prawda czasu i prawda ekranu
- 23 Andrzej Romanowski**
Samobójstwo
- 27 Jan Widacki**
Polska wieś spokojna?
- 35 Roman Kurkiewicz**
Mundurowanie głów
- 41 Tomasz Jastrun**
Straszny czas
- 57 Wojciech Kuczok**
Róże w pożarze

46 KULTURA



AKTOR DOJRZEWA NA ROBOCIE

– rozmowa z Katarzyną Dąbrowską



50 ZDROWIE

STRZEŻCIE SIĘ SUPLEMENTÓW DIETY

Kiedy witaminy szkodzą



58 ZWIERZĘTA

SPÓJRZ, JAKI JESTEM ŚLICZNY!

Uroda w świecie zwierząt

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER,
TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER



Po co Putinowi ta wojna

Każda wojna jest barbarzyństwem, ale w dzisiejszych czasach nie każdy agresor jest taki sam. Są lepsi i gorsi. Rok 2003, Irak, wiadomo, że daleko, ale w ramach jakiejś misji atakują USA i sojusznicy.



Co tam się działo, trudno sobie nawet wyobrazić. 305 tys. zabitych. W 2004 r. igrzyska olimpijskie w Grecji, jakby nic się nie stało. Nikt nie nakładał sankcji, nikt nikogo nie opluwał, a wszyscy dobrze się bawili. Afganistan – 178 tys. zabitych. Zachód ma specyficzną politykę. My wszystko, inni nic.

Przy podpisywaniu traktatu o zjednoczeniu Niemiec podpisują deklarację, że nie będą przyjmować do NATO państw wschodnich. Po paru latach już przyjmują, w tym nasz kraj. Pchamy się dalej, coraz bardziej przypierając Rosję do muru. Rosjan zawsze traktowano jako ludzi drugiej czy nawet trzeciej kategorii. Rok 2014 to było preludium. Teraz w Europie jest amok, głowy rozpalone do granic możliwości. Ale, jak to w życiu bywa, teściowa widzi wszystkie wady zięcia, a swoich nigdy. Ukrainę Zachód też musi brać na swoje sumienie.

Andrzej Kościński

Stowiańskie Światowidy

Aleksander Świętochowski, wybitny pisarz, filozof i ideolog pozytywizmu polskiego, w doskonałych felietonach z cyklu „Liberum veto” tak o tym słomianym polskim zapale w 1885 r. napisał: „Natura polska nie posiada zdolności do organizacji i działania łącznego. Widzimy to na każdym kroku i przy każdej sprawie. Powiedzcie komuś: – Pawle, dla dobra ojczyzny trzeba wypić Wisłę. Paweł, jeśli posiada zapalny temperament, natychmiast pobiegnie do Wisły i zacznie ją wypijać, dopóki się nie udusi. Ale powiedzcie mu: – Pawle, dla dobra ojczyzny musimy we dwóch przynieść co dzień przez miesiąc wiadro wody z Wisły do kolumny Zygmunta. Pierwszego dnia Paweł przyjdzie i obowiązek swój spełni, drugiego – spóźni się, trzeciego – zaśpi, czwartego – wyjedzie do Marcelina, a dziesiątego – o powinności całkiem zapomni”.

Tadeusz Łopatkiewicz

Czy po wecie prezydenta Dudy czas na dymisję ministra Czarnka?

W cywilizowanym i demokratycznym kraju taki osobnik nie zostałby ministrem. Ale obecna Polska takim nie jest. Dopóki PiS ma większość, nawet taką kruchą, jest to niemożliwe, bo zawsze znajdzie się jakiś Kukiz, Mejza czy inny Bosak, który zgłasza przeciw odwołaniu.

Bożumił Woźniakowski



ZDJĘCIE TYGODNIA



Uchodźcy z Ukrainy koczują na Dworcu Centralnym w Warszawie.



PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego Polacy rzucili się po paszporty?

PROF. HENRYK DOMAŃSKI,
socjolog, PAN

Na wszelki wypadek. Wojna w Ukrainie jest źródłem ryzyka i niepokoju, dlatego ludzie chcą mieć zabezpieczenie instytucjonalne w postaci dokumentu, który daje dostęp do różnych krajów. To normalna i racjonalna reakcja na zagrożenie, która powtarza się przy okazji każdego większego kryzysu, tak samo jak wykupywanie cukru, mąki czy paliw.

DR ŁUKASZ MOLL,
filozof, socjolog i publicysta,
Uniwersytet Wrocławski

Taka stadna reakcja może się wydawać anachroniczna, jeśli uznać, że wejście do UE miało zagwarantować Polakom koniec z paszportami, przynajmniej jeśli chodzi o Europę. Nie powinno nas jednak dziwić, że nie tylko powrót wojny, ale i niepokoje wokół paszportów covidowych, kryzysy migracyjne czy kontrole

przywracane w strefie Schengen w ostatnich latach dostarczają powodów do tego, by na wszelki wypadek podróżować z dodatkowymi dokumentami. Marzenie o Europie, po której podróżujemy swobodnie, nie ziściło się. Ludzie chcą być zabezpieczeni i mając na uwadze obecną sytuację, jest to całkiem racjonalna postawa.

DR MICHAŁ PIEKARSKI,
politolog, Uniwersytet Wrocławski

Poculi lęk związany z kryzysem za naszą wschodnią granicą. Przez wiele lat żyliśmy w przeświadczeniu, że wojny czy masowe migracje to coś, co dzieje się daleko od nas, na peryferiach, takich jak Bałkany, Bliski Wschód, Kaukaz i inne dalekie obszary dawnego Związku Radzieckiego. Rozgrywające się tam dramaty były dla nas telewizyjnymi obrazkami ze świata, obecnie wojna dotarła do miast, które znamy,

w których często bywamy, w których nierzadko mamy znajomych z pracy lub uczelni, a uciekające przed nią osoby na własne oczy widzimy w pociągach i na dworcach. Zaczynamy w związku z tym bać się, że to, co wydawało się nam oczywiste, np. możliwość wyjazdu do Niemiec, Francji czy Belgii bez paszportu, wizy ani kontroli na granicy, może zostać zakwestionowane.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
GRZEGORZ DRÓDŻ

Bo Polacy czasem na coś się rzucają: na paliwa, na bankomaty, na innych ludzi – najczęściej wskutek plotek, fake newsów od Putina albo po prostu z własnej głupoty.

ŁUKASZ MARCIN JASTRZĘBSKI

Widocznie tak bardzo wierzą w nasze gwarancje bezpieczeństwa.

Not. Michał Sobczyk

Kronika nieuchronnej katastrofy

Uchodźcami zajmują się te instytucje, którym PiS wydało wojnę

To już chyba się nie zmieni. Mamy miliony Ukraińców uciekających przed wojną i wielkie popolite ruszenie ludzi dobrej woli, którzy im pomagają. Państwo jako instytucja – stoi z boku.

Na warszawskim Torwarze, gdzie zorganizowano punkt dla uchodźców, w ubiegłym tygodniu doszło do potyczki słownej między koordynatorką wolontariuszy Joanną Niewczas a wojewodą mazowieckim Konstantym Radziwiłłem. „Żarty się skończyły, wojewoda tylko udziela wywiadów, jak wszystko jest pod kontrolą, a my, wolontariusze, jesteśmy już na skraju wytrzymałości fizycznej i psychicznej – apelowała Joanna Niewczas. – Nie dostaliśmy wsparcia ze strony żadnej organizacji, wszyscy wolontariusze to grupa znajomych, która zebrała się oddolnie. Pracują po 20 godzin dziennie. Konieczne jest natychmiastowe wsparcie NGO”.

A pomoc państwa? Jak mówiła, z urzędu wojewódzkiego dostępna jest tylko jedna osoba, która nie ma pojęcia o zarządzaniu kryzysowym i nie jest w stanie podjąć żadnej decyzji.

Na te słowa odpowiedź wojewody była krótka: „Te informacje są nieprawdziwe”.

Rzecz w tym, że podobny chaos jest właściwie wszędzie, gdzie napływają uchodźcy. Oto np. relacja z Dworca Zachodniego: „W 13. dobie wojny na dworcu wciąż nie ma centrum zarządzania kryzysem, nie ma żadnej informacji dla uchodźców (»co dalej?«, »gdzie możemy się przespać?«, »gdzie sprzedam hrywny?«). Uchodźcy mogą coś zjeść, bo warszawiacy donoszą im własnoręcznie robione kanapki. Gdyby nie dobre serca wspólnych ludzi – mielibyśmy katastrofę”.

Dlaczego tak się dzieje? Skąd ta nieporadność państwa? Gdzie jest błąd systemu?



ROBERT KWIATKOWSKI

– poseł koła parlamentarnego PPS

Rozmawia Robert Walenciak

Zaskoczyło pana, że rząd okazał się tak nieprzygotowany do tego, co się wydarzyło? Że nie potrafi niczego zorganizować, by ogarnąć falę uchodźców z Ukrainy?

– Nie zaskoczyło.

Dlaczego? Od czerwca mówił o wojnie!

– Nie jestem zaskoczony z kilku powodów. Zaczę od politycznego. Otóż, jeśli chodzi o przyjmowanie uchodźców, ciężar wzięty na siebie te wszystkie instytucje życia publicznego, którym PiS wydało wojnę. To znaczy trzeci sektor, czyli organizacje pozarządowe (NGO), samorządy i Unia Europejska. Od lat PiS robi wszystko, żeby te instytucje osłabić, żeby zniszczyć ich wpływ. Czy to przez lex Czarnek, czy to przez

różnego rodzaju ustawy związane z obsesjami kulturowymi, seksualnymi i tożsamościowymi prawicy, czy też – jeśli chodzi o Unię Europejską – bezustanne jej atakowanie. Tymczasem to te sektory, zwłaszcza NGO, przyjęły na siebie pierwsze uderzenie, pierwszą falę uchodźców. I nie sądzę, by w przypadku kolejnych fal, drugiej, trzeciej, mogło być inaczej.

To dobrze czy źle?

– W dojrzałych systemach demokratycznych państwo współpracuje z organizacjami pozarządowymi i je wspiera. Zwłaszcza w takim dziele. To oczywiście – przecież urzędnicy państwowi nie będą biegali i kontrolowali sytuacji kolejnych 50 rodzin, które akurat znalazły się na Dworcu Zachodnim w Warszawie. Są ludzie gotowi to robić, są wolontariusze z organizacji pozarządowych. A obowiązkiem rządu czy administracji

rządowej jest zapewnić im dobre warunki działania. Pieniądze, oprzyrządowanie prawne itd. Tylko że PiS obrało sobie te instytucje, plus media, za główny cel ataku.

Kogo wciągnąć do roboty

Państwo zatem wolontariuszom nie pomaga, a samo nie jest w stanie cokolwiek zrobić. A wicepremier Kowalczyk mówił w Sejmie, że to wszystko robi państwo.

– Kowalczyk w Sejmie opowiadał, że dzięki rządowi nie ma w Polsce obozów dla uchodźców. Że dzięki rządowi Polacy przyjęli milion Ukraińców w swoich domach. Bredzi! I obraża tych Polaków, którzy ruszyli pomagać uchodźcom.

Robili to przecież z własnej woli. A nie dlatego, że Morawiecki im kazał. Odnoszę wrażenie,

że otoczeniu Kaczyńskiego trudno zrozumieć, że ludzie mogą coś robić sami z siebie.

– Oni mają inaczej skalibrowane celowniki. Im się wydaje, że pomoc uchodźcom to powinno być dzieło państwa. Nic bardziej mylnego! Bo aparat państwowy nie jest w stanie przyjąć na siebie takiej fali. Mówimy o milionowej fali! Tu potrzeba pracy trzeciego sektora, samorządów, no i – tu wchodzimy w następny wątek – rynku. Do rozwiązania tego problemu trzeba zaprząć kapitalizm.

?

– Trzeba sobie przypomnieć, jak było w czasach II wojny światowej w Stanach Zjednoczonych. Wówczas przemysł i firmy zostały zatrudnione przez państwo do rozwiązywania kolejnych problemów czy to z produkcją wojenną, czy z propagandą. Wielkie agencje reklamowe, które powstały pod koniec XIX w., zostały zaprzęgnięte do propagandy wojennej i robiły to świetnie.

Koncerny samochodowe otrzymały zamówienie na projekt jeepa.

Projekty samolotów trafiały do firm lotniczych.

– To jest ten sposób myślenia – jak wykorzystać kapitalizm. Tak powinno być w przypadku uchodźców. Najpierw trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, gdzie tych ludzi rozlokować. Nikt o to nie pyta. Tymczasem mamy rozwiniętą bazę hotelarską, 820 tys. miejsc noclegowych. Wystarczy zapewnić jakieś oprzyrządowanie prawne i te kilkaset tysięcy ludzi szybko by znalazło miejsce do zamieszkania. Nie mamy szczytu sezonu. Jest marzec. I akurat hotelarze, którzy ledwie dyszą z powodu covidu, przyjęliby takie rozwiązanie z dobrodziejstwem inwentarza. Pomysł z peselem jest dobry! Trzeba dać uchodźcom identyfikację, zapewnić dostęp do usług, które są potrzebne, i przewieźć do różnych miejscowości, nie tylko do Warszawy. **Można rejestrować ludzi, którzy przyjeżdżają – nauczycielki mogą zajmować się dziećmi, lekarze mogą leczyć...**

– Nie rozwiąże się tego z perspektywy Warszawy. Wiadomo, jaka jest siatka edukacyjnych możliwości i lokali dla uchodźców. Można wtedy tą grupą uchodźców zarządzać.

Rozlokowywać ich po Polsce. Ale we współpracy z samorządami. A dalej jest już tylko sprawa albo lokalu, albo przynajmniej podłączenia cyfrowego.

A pieniądze? Oni przyjeżdżają, chcą wymienić hrywny i nic. NBP mógłby w tej sprawie coś zrobić?

– Pomysł wymiany hrywn na jakimś sztucznym kursie to rozwiązanie, które mogłoby powodować problemy. Ktoś przywiózł tysiąc hrywn, ktoś inny milion i jak działać? Wprowadzić limit wymiany? Lepszy jest pomysł, by zapewnić jakieś kieszonkowe, dać je na kartach prepaidowych. Wtedy uchodźcy byłiby

PiS poszło drogą dzikiej prywatyzacji usług publicznych. To odbiło się nam czkawką w pandemii i odbija teraz.

włączeni do obiegu. Ale nie pieniądze są problemem. Problemem są rozwiązania z dziedziny usług publicznych. A Polska ma usługi publiczne w opłakanym stanie, zwłaszcza opiekę zdrowotną.

Pisowska dzika prywatyzacja

Pandemia świetnie to unaoczniała.

– PiS poszło drogą dzikiej prywatyzacji usług publicznych. Na zasadzie: nie wzmacniamy systemu służby zdrowia, bardziej koncentrujemy się na tym, żeby dać 500+. I ludzie byli zachwyceni, gotówka w kieszeni, a co będzie w szpitalu, niech każdy się martwi sam, najsilniejsi przeżyją. To odbiło się nam czkawką w pandemii i odbija teraz. Gdybyśmy mieli dobrze zorganizowaną służbę zdrowia, pod potrzeby Polaków, dla 38 mln pacjentów, to nawet gdybyśmy obciążyli ten system 2 mln uchodźców, czyli o 5% więcej, ten mechanizm jakoś by wytrzymał. Byłoby to wyzwanie, ale nie katastrofa.

Dzisiaj wygląda to mało ciekawie. Służba zdrowia na dodatkowych pacjentów nie jest przygotowana. Szczepienia, choroby przewlekłe, covid...

– Mówią, że uchodźcom potrzebna jest opieka psychologiczna. To oczywiście! Ale polska psychiatria, zwłaszcza dziecięca, i opieka psychologiczna są w katastrofalnym stanie.

O tym wszyscy mówią od lat i nic! Nie mamy usług publicznych na porządnym poziomie. Przyjeżdżają z Ukrainy matki z dziećmi – potrzebne są przedszkola, żłobki. Nie ma tych przedszkoli! Dlaczego ich nie ma? Bo mamy biedne państwo? Chyba nie do końca, skoro to państwo stać na 500+, na 300+, na 13. i 14. emeryturę, na telewizję Kurskiego itd.

Na pensje w spółkach skarbu państwa!

– Gdyby inna była polityka rządu Morawieckiego, to nie umarłoby w pandemii nadmiarowo 200 tys. ludzi, tylko może 100 tys. albo i mniej.

To obciąża ten rząd. Zawsze tego typu kryzysowa sytuacja, z którą mamy dziś do czynienia, odsłania nam realne mechanizmy.

Że służby publiczne słabo działają, a państwo niewiele może?

– Ta władza, ponieważ nie potrafi działać w ramach przepisów i norm prawnych, obchodzi prawo, gdzie jest to możliwe. Zrobiła z tego nie tylko cnotę, ale i strategię. Zawsze stara się prawo obejść. Dlatego ten Sejm pracuje, jak pracuje. Ustawy wchodzi w ostatniej chwili, ale nie trzeba przedstawiać skutków regulacji, bo są to ustawy nie rządowe, lecz podpisane przez grupę posłów. My w Sejmie nie mamy nawet szansy do tego się odnieść. Nie ma na to czasu, poza tym taką ustawę wymyśla ktoś inny, poza Wiejską, a posłowie PiS robią ▶



► za maszynkę do głosowania. Ręce do góry, ręce na dół – i tyle.

Bezkarność+ na zawsze

Oni nie traktują prawa poważnie.

– I to jest drugi powód, dla którego nieudolność państwa w sprawie uchodźców jest dla mnie tak mało zaskakująca. Oni traktują obowiązujący w Polsce system prawa jako przeszkodę. I przy każdej poważniejszej okazji, takiej jak pandemia, ustawa o obronie ojczyzny, a teraz pomoc

pieniądze z budżetu i dają je w zarządzanie Bankowi Gospodarstwa Krajowego albo Polskiemu Funduszowi Rozwoju. Setki miliardów złotych! Tam mogą robić z tymi pieniędzmi, co chcą. W ten sposób omijają istniejące mechanizmy prawne i instytucje. Są największym wrogiem demokratycznych procedur.

Po co to robią?

– Tłumaczą to w ten sposób, że chcą mieć łatwiejsze możliwości działania, bo sytuacja jest nadzwyczajna. I ja rzeczywiście, jeśli chodzi o covid,

Mamy rozwiniętą bazę hotelarską, 820 tys. miejsc noclegowych. Te kilkaset tysięcy uchodźców szybko znalazłoby miejsce do zamieszkania.

uchodźcom z Ukrainy, wprowadzając do systemu prawnego rozwiązania, które mają na celu jego obejście. Stąd bierze się m.in. ten słynny zapis nazywany bezkarność+. PiS chciałoby unieważnić Kodeks karny, przynajmniej w jakimś zakresie. Opinia publiczna na to nie zwraca uwagi, choć powinna – ale działanie poza prawem jest powszechną metodą tej ekipy. Rządzący *de facto* unieważniają przepisy budżetowe, reguły wydatkowe. Wprowadzają fundusze celowe i w ten sposób wyprowadzają

na to się nabrałem. Bo sytuacja rzeczywiście była ekstraordynaryjna. Ale to nie jest w działaniu PiS wyjątek, to jest reguła! Oni robią wszystko tak, żeby nie podlegać jakimkolwiek procedurom.

Czego się boją?

– Pytanie o intencje... Jako przedstawiciel opozycji podejrzewam ich o najgorsze intencje. Ale też podejrzewam, że bierze się to z nieudolności. Nie chcę bezkrytycznie bronić istniejącego systemu prawa, wołać, że nie trzeba w nim nic zmieniać. Ale



jeśli przy okazji epidemii, konieczności wzmocnienia sił zbrojnych czy napływu kolejnej fali uchodźców trzeba zawieszać porządek prawny w Polsce, to coś jest nie tak.

Albo rządzący są do niczego, albo porządek prawny jest do niczego.

– Jeśli nawet ten porządek prawny wymaga jakichś korekt, a nie wykluczam, że wymaga, chociaż w przypadku covidu nie wymagał,

LIST

Stanowisko Rady „Kuźnicy” w związku z agresją rosyjską na Ukrainę

Stowarzyszenie „Kuźnica” potępia rosyjską agresję na Ukrainę oraz wyraża solidarność ze społeczeństwem ukraińskim, które walczy o wolność i niepodległość swojego kraju.

„Kuźnica” zawsze opowiadała się za dialogiem i porozumieniem polsko-rosyjskim, nie ulegając częstym w polskim społeczeństwie nastrojom bezrefleksyjnie rusofobicznym. Nie zmienia to w niczym faktu, że obecną politykę prezydenta Federacji Rosyjskiej Władimira Putina, wspieraną przez białoruski reżim prezydenta Aleksandra Łukaszenki, oceniamy jednoznacznie negatywnie. Nic nie usprawiedliwia naruszenia integralności terytorialnej Ukrainy, zagwarantowanej w memorandum budapeszteńskim w 1994 r., ani łamania prawa międzynarodowego, w tym konwencji haskich i genewskich. Nic nie usprawiedliwia przemocy wobec ludności cywilnej – przemocy, która zmusiła już ponad półtora miliona Ukraińców do opuszczenia swoich domów i doświadczenia losu uchodźców wojennych. Popieramy liczne przejawy wsparcia i pomocy dla uchodźców ukraińskich ze strony polskiego

społeczeństwa, władz państwowych i samorządowych oraz Unii Europejskiej. Z szacunkiem odnosimy się do tych Rosjanek i Rosjan, którzy wychodzą na ulice rosyjskich miast, protestując przeciwko wojnie, mimo drastycznych sankcji wobec nich wprowadzanych przez władze. Wyrażamy nadzieję, że gdy wojna się zakończy, narody ukraiński i rosyjski będą ze sobą pokojowo współistnieć i budować przyszłość wolną od przemocy i tendencji imperialnych.

W sytuacji gdy prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski złożył w trybie pilnym wniosek o przyjęcie jego kraju do Unii Europejskiej, tym bardziej oczywisty staje się fakt, że polskie członkostwo w NATO i w Unii oraz zakorzenienie naszego państwa w świecie wartości zachodnich jest polską racją stanu. Obecna sytuacja jednoznacznie wskazuje, że skłócanie Polski z Unią Europejską, nierespektowanie traktatów europejskich i zawartych w nich wartości oraz nieprzestrzeganie orzeczeń Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej dla osiągnięcia doraźnych korzyści partyjnych i budowy państwa zmierzającego w kierunku autorytaryzmu jest niebezpieczne dla państwa i społeczeństwa oraz sprzeczne z polską racją stanu.

**Rada „Kuźnicy”
Kraków, 7 marca 2022 r.**



Uchodźcy z Ukrainy na Dworcu Centralnym w Warszawie.

wystarczyło wprowadzić stan klęski żywiołowej i sprawa byłaby prosta, to zdecydowanie większych korekt wymaga umiejętność działania władzy, poruszania się w świecie norm i zasad. Oni tego nie potrafili, to ich przerasta. I dlatego nie jestem zaskoczony, że rząd w sprawie uchodźców jest tak bezradny.

Z Unią czy bez Unii?

A Unia? Czego od niej powinniśmy oczekiwać?

– Od Unii powinniśmy oczekiwać wsparcia. Choć ja na miejscu PiS bym się spalił ze wstydu, bo pamiętam, jak wyglądała kampania w roku 2015. Była oparta na nienawiści do uchodźców, na ksenofobii i rasizmie. Odmówiliśmy przyjęcia choćby

jednego uchodźcy z tej milionowej rzeszy, która przetaczała się przez Europę, ale szła od południa. Mówiliśmy wtedy, że to nie jest nasza sprawa, a Kaczyński na tej ksenofobii, na szczuciu na niewinnych ludzi, zbudował swoją strategię polityczną. Trudno więc, mając taką hipotekę, taki polityczny dorobek, prosić teraz o wsparcie.

Morawiecki nie ma wstydu. Może więc prosić o pomoc, o pieniądze...

– Pieniądze są potrzebne. Tak, żeby ci ludzie mieli opłacony dach nad głową, wyżywienie, żeby zaczęli normalnie funkcjonować. Więc jasne – Unia mogłaby pomóc, ale musimy też odpowiedzieć na pytanie, co my mamy do powiedzenia Unii. Kłania się sprawa praworządności. Albo jesteśmy w Unii, albo z niej

wychodzimy! Dzisiaj widać, jak karykaturalnie głupie były te wszystkie dąsy PiS i Kaczyńskiego! Jak nie na Stany Zjednoczone w związku z TVN, to na Unię Europejską w związku z Izłą Dyscyplinarną. To nas skłócało i skłóca z Zachodem. A rządzący od listopada już byli świadomi, że wojna na wschodzie nadchodzi.

Wiedzieli o tym, więc – można rzecz złośliwie – pani Morawiecka działkę sprzedawała...

– Ale nie takich działań po premierce polskiego rządu bym się spodziewał. To jest miara skarlenia tej ekipy. Że zamiast przygotować i przeprowadzić ustawę modernizującą siły zbrojne, zamiast się przygotowywać na napływ uchodźców, bo tam, gdzie wojna, tam uciekinierzy, oni zajmowali się czymś innym.

Co się działo z perspektywy posta między listopadem a 24 lutego?

– Była sprawa TVN, czyli awantura z USA. Skończyła się tak, jak prorokowałem, to znaczy PiS podkuliło ogon. Był Turów, czyli awantura z Czechami. Mieliśmy i wciąż mamy permanentną awanturę z Unią Europejską. Bo Ziobro nie uznawał wyroków TSUE i odpowiadano na nie wyrokami trybunału pani Przyłębskiej. Groteska. Zwłaszcza z dzisiejszej perspektywy. To były awantury robione przez tę samą głupią władzę, która dziś opowiada, jak kocha Zachód. A poza tym, zamiast przygotowywać ustawy o armii i uchodźcach, zamiast wciągać opozycję do współpracy, szczuli na opozycję, szczuli na samorządy... Polski Ład, lex Czarnek... Tak nam mijały miesiące.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



CZY JESTEŚMY SKAZANI NA RZĄDY PSYCHOPATÓW?

KRZYSZTOF MROZIEWICZ
**DELIRIUM WŁADZY
KTO RZĄDZI, TEN BŁĄDZI**

47 zł 35 zł



sklep.tygodnikprzeglad.pl

PROF. BRONISŁAW ŁAGOWSKI

KŁAMSTWA ZWANE POLITYKĄ HISTORYCZNĄ

47 zł 39 zł



Marcin Ogdowski

Międzynarodowy zaciąg

O losie Ukrainy zadecydują rezerwy, ochotnicy i najemnicy

Kilka dni temu na podkijowskim odcinku rosyjsko-ukraińskiego frontu doszło do małej bitwy pancерnej. Natarły na siebie dwa oddziały, nim padł ostatni strzał, dziewięć czołgów i cztery inne wozy bojowe zostały zniszczone. „Oszczędziliście nam 13 jaelinów”, zadrwali Ukraińcy, mając na myśli śmiertelnie skuteczne amerykańskie wyrzutnie przeciwpancerne. W istocie bowiem był to przykład *friendly fire*, jak w natowskiej nomenklaturze określa się ostrzelanie własnych wojsk. Rosjanie, nim się zorientowali, że weszli w bratobójczy kontakt, spopieliili kilkudziesięciu towarzyszy. Na wojnie – zwłaszcza nocą bądź przy ograniczonej przez pogodę widoczności – takie sytuacje się zdarzają. Dlatego wszystkie nowoczesne armie starają się wyposażać żołnierzy w sprzęt poszerzający ich świadomość sytuacyjną. Rosjan mógłby uratować odpowiednik zachodniego systemu BFT (ang. *Blue Force Tracker*). Mowa o pozycjonersze własnych (niebieskich) wojsk, czymś na wzór cywilnego GPS, uwzględniającego położenie innych oddziałów, nawet do poziomu pojedynczych wozów, i zawierającego dodatkowe informacje na temat sytuacji w określonym rejonie. Ów terminal służy jednocześnie do wzajemnej

co do której zorientował się już Władimir Putin, dymisjonując ośmiu generałów. Na każdym kroku daje o sobie znać niskie morale żołnierzy, z jednej strony porzucających sprawny sprzęt, z drugiej dopuszczających się grabieży, gwałtów i innych aktów nieuzasadnionej przemocy wobec cywilów. Leży kompletnie rosyjska logistyka, co jest efektem zarówno fatalnej kultury organizacyjnej, jak i skuteczności działań ukraińskiej armii, która jednym z priorytetów uczyniła przerwanie linii zaopatrzeniowych agresora. Nawet na południu, gdzie Rosjanom wiodło się najlepiej, działały się w ubiegłym tygodniu nieprawdopodobne historie, a wspominać o tych, które dało się potwierdzić w niezależnych źródłach. W Cherso-niu na zajętych przez Rosjan lotnisku Ukraińcy zniszczyli 30 (!) śmigłowców, sprawnie łącząc elementy działań partyzanckich z dostępem (dzięki

jak przed kilkudziesięciu laty, zbierają informacje za pomocą prostych technik wizualnych. Dlatego tak ważne są dla nich te wszystkie oznaczenia – Z, V itp. – którymi gęsto obmalowują swoje wozy. Armia XXI w.

I oto Kreml stanął przed kolejnym wyzwaniem. Dla Rosjan kluczowe staje się bezpośrednie włączenie do wojny Białorusi. W wymiarze politycznym chodzi o podzielenie się odpowiedzialnością, „umiędzynarodowienie” konfliktu. By móc na zewnątrz – ale przede wszystkim wobec swoich – przedstawić „operację specjalną” jako wspólny wysiłek zatroskanych krajów (w innej narracji – Słowian), mający na celu „denazyfikację i rozbrojenie agresywnej Ukrainy”.

W Moskwie próbę zajęcia Ukrainy prezentuje się jako wspólną akcję trzech państw – Federacji Rosyjskiej oraz republik Donieckiej i Ługańskiej. Przydałby się czwarty, poważniejszy partner. Czekają na to rosyjska propaganda, czekają też kremlowscy generałowie. Rosjanie wprowadzili już do akcji wszystkie siły przeznaczone do inwazji na Ukrainę. Wojska lądowe Federacji liczą ćwierć miliona ludzi, 70% tego potencjału zaangażowano w działania zbrojne. Więcej za bardzo się nie da, bo Kreml i generalicja pielęgnują swoje lęki i trzymają niemałe siły na Dalekim Wschodzie (a nuż uderzą Chińczycy), w północno-zachodniej części kraju (czyhające NATO), no i w rejonie Kaukazu, który mimo trzech dekad pacyfikacji nadal spędza Rosjanom sen z powiek. Wysiłek zabezpieczenia kraju (na granicach bądź w Ukrainie) mogą w większym stopniu podjąć wojska wewnętrzne (200 tys. ludzi), ale to „armia gorszego sortu”. Pozostają jeszcze wojska powietrznodesantowe (50-60 tys.

Mimo nominalnie wysokich stanów osobowych armia rosyjska stoi w obliczu poważnego kryzysu rezerw.

komunikacji, zarówno głosowej, jak i pisemnej – tak by każdy podpity mógł na bieżąco aktualizować dane. Prawdziwe cudo techniki i praktyczna ilustracja czegoś, co nazywa się sieciocentrycznym polem walki. Dotąd uważano, że i w tej dziedzinie Rosjanie nie pozostają w tyle.

Trauma generałów Putina

Tymczasem wojna w Ukrainie brutalnie weryfikuje paradygmat geopolityczny oparty na przekonaniu o możliwościach armii rosyjskiej. Każdy dzień dostarcza kolejnych dowodów na indolencję dowódców,

NATO) do wyników rozpoznania satelitarnego. Konsekwencje? Na tym odcinku frontu agresorom długo nie uda się odtworzyć możliwości transportu śmigłowcowego.

Ale wróćmy do wspomnianego boju pod Kijowem. Już wcześniej na podstawie porzuconego rosyjskiego sprzętu można było się przekonać, że duża jego część to szmelc. Bratobójczy incydent dostarcza kolejnych argumentów na rzecz tezy o technologicznym zapóźnieniu rosyjskiej armii. Dowodzi, jak słaba jest świadomość sytuacyjna Rosjan, których przez jakiś czas zawodziła nawet tradycyjna łączność radiowa. Najeżdżcy,



Ochotnicy z Brazylii i Portugalii.

zabitych. Wolą, by pochówkami zajęli się Ukraińcy – byle tylko odroczyć konsekwencje masowych powrotów „naszych chłopców” w trumnach. Putinowscy generałowie (wówczas w większości młodszy stopniem oficerowie) wciąż żyją traumą, jaką zgottały armii matki i żony poległych w Czeczeni żołnierzy. Niby zabitych nie było wielu, niby ruch społeczny rozsierdzonych kobiet nie miał charakteru masowego, a jednak na tyle rezonował w rosyjskim społeczeństwie, dotyczył tak czułych elementów rosyjskiej mentalności, że w konsekwencji na lata zniechęcił Rosjan do służby woskowej, co było jedną z przyczyn zapaści sił zbrojnych.

III wojna światowa

Takich problemów nie mają wojska ukraińskie, w czym kryje się pozorny paradoks. Bo choć w Ukrainie mieszka trzy razy mniej ludzi niż w Rosji, dla Ukraińców to wojna o wszystko, więc cały swój potencjał militarny mogą skierować do odparcia agresji. Na froncie mają

Do Ukrainy przyjeżdżają ochotnicy z całego świata: Anglosasi i zachodni Europejczycy, ale też Skandynawowie, Polacy, Czesi, Słowacy, Gruzini, przedstawiciele Azji i Ameryki Południowej.

żołnierzy), już częściowo zaangażowane. Reszta sił zbrojnych Rosji – liczących w sumie 900 tys. osób – to lotnictwo, marynarka wojenna i wojska strategiczne (jądrowe). Tych ostatnich na pierwszą linię rzucić nie sposób, marynarka (Flota Czarnomorska; pozostałe floty, nawet gdyby była taka decyzja, na Morze Czarne już się nie dostaną) szachuje Ukraińców groźbą desantu na Odesę. Lotnictwo zaangażowało spory kontyngent, ale działa asekurancko, oddając pole do rozstrzygnięcia na lądzie.

Mimo nominalnie wysokich stanów osobowych armia rosyjska stoi zatem w obliczu poważnego kryzysu rezerw. Może powołać rezerwistów w większej liczbie – ten rezerwuar jest na tyle znaczący, że teoretycznie w dość krótkim czasie Rosjanom udałoby się wymienić wszystkich wojskowych, którzy stanęli na

ukraińskiej ziemi. Tyle że następcy to w większości tacy sami poborowi jak ci służący obecnie. Kiepsko wyszkoleni i słabo zmotywowani adepci zasadniczej służby wojskowej, co więcej, od jakiegoś czasu będący poza koszarowym rygorem. No i nie da się ich powołać niezauważalnie, a przecież „operacja specjalna” idzie jak należy, a Ukraina wkrótce padnie. Jest dobrze, więc czemu jest tak źle? Pomysł na białoruską alternatywę to także sposób, by uniknąć niewygodnych pytań. Problem w tym, że białoruscy żołnierze niespecjalnie się garną do bitki. Ich użycie jest tyleż kuszące, co ryzykowne, można bowiem się spodziewać fali dezercji i spektakularnych przejść na drugą stronę.

Tymczasem skutki ukraińskiej obrony są do tego stopnia paraliżujące, że rosyjskie władze i dowództwo nie zamierzają zabierać ciał swoich

nawet przewagę liczebną (250 vs 200 tys.), przyniatającą, gdy dodamy formowane w każdym mieście jednostki ochotnicze. To rzecz jasna nie jest zawodowe wojsko, wyposażone jak regularne oddziały, ale służy w nich wielu ostrzelanych weteranów ośmioletniej wojny w Donbasie. A rezerw ukraińskiej armii nie ubywa – od rozpoczęcia inwazji do kraju wróciło ponad 120 tys. osób. Niektórzy, by wydostać z niebezpieczeństwa bliskich, większość, by przyłączyć się do walki.

Z taką samą intencją przyjeżdżają do Ukrainy coraz liczniejsze zastępy ochotników z całego świata. Wezwał ich pod koniec pierwszego tygodnia walk prezydent Wołodymyr Zełenski, choć po prawdzie pierwsi pojawiali się w Ukrainie z własnej inicjatywy, zaraz po rozpoczęciu przez Rosjan inwazji. To przede wszystkim ►

► Anglosasi i zachodni Europejczycy, ale nie brakuje Skandynawów, Polaków, Czechów, Słowaków, Gruzinów czy egzotycznych przedstawicieli Azji i Ameryki Południowej. Są również – co ciekawe – Białorusini, Czecczeni i etniczni Rosjanie, niepokodzeni z działaniami własnego rządu. Jednym z ochotników – który zdecydował się ujawnić swoją tożsamość – był 30-letni Ben Grant, który przez pięć lat służył w Royal Marines. Jego matka to Helen Grant, deputowana

w służbie czynnej także działają na własną rękę. „Jesteśmy świadomi tego, że niewielka liczba żołnierzy nie zastosowała się do rozkazów, jest nieobecna w jednostkach bez usprawiedliwienia i mogła udać się do Ukrainy”, przyznał w rozmowie ze Sky News rzecznik brytyjskiej armii, podkreślając, że dezterzy muszą się liczyć z konsekwencjami dyscyplinarnymi. Komunikat w podobnym tonie wydała też londyńska policja, ostrzegając swoich funkcjonariuszy. Mimo

trafienia do niewoli – traktowano by ich jak najemników, co w realiach regularnego konfliktu zbrojnego oznacza status niemal równy bandycie.

Rosjanie takimi szczegółami nie szczególnie się przejmują i już wiele dni temu rzucili do walki kontraktowników z grupy Wagnera. Najemników cieszących się wyjątkowo ponurą sławą po akcjach pacyfikacyjnych zrealizowanych w Syrii i Libii (swego czasu zresztą, w Syrii właśnie, zdieńsiatutowanych przez amerykańskie lotnictwo). W tej wojnie ci byli żołnierze sił specjalnych Rosji operowali już w Kijowie, usiłując wywołać panikę w ukraińskiej stolicy. Zdaniem zachodnich wywiadów część tej grupy nadal przebywa w mieście, „zamełinowana”, z zadaniem ujęcia bądź zabicia prezydenta Zełenskigo. Pod miastem z kolei stoją kadyrowcy, Czecczeni z osobistej gwardii Putinowskiego namiestnika w tej kaukaskiej republice, Ramzana Kadyrowa. Rosjanie zapowiedzieli też „braterską pomoc” ochotników z Syrii – żołnierzy z armii Baszara al-Asada, któremu interwencja Moskwy uratowała przed laty życie i fotel wszechwładnego prezydenta Syrii. Arabowie – doświadczeni w bojach z syryjską zbroją opozycją – mają pomóc Putinowi w szturmowaniu ukraińskich miast twierdz. Dodajmy do tego, że w rosyjskiej armii służą nie tylko etniczni Rosjanie, ale i mnóstwo przedstawicieli ludów środkowej Azji. Że jedna trzecia zawodowej i kontraktowej kadry podoficerskiej to mułtmanie o nieeuropejskich korzeniach. W sojuszniczej „armii” Donieckiej Republiki Ludowej nie brakuje np. Serbów – ochotników, którzy pojawili się tam wraz z wybuchem konfliktu w Donbasie w 2014 r. Tym sposobem zyskujemy wielonarodową i wieloetniczną mozaikę, która ukraińską wojnę już teraz czyni konfliktem światowym. Z uwagi na skalę ekonomicznej presji na Rosję oraz fakt, że całe NATO – sojusz rozłożony po obu stronach Atlantyku – wspiera Ukrainę dostawami sprzętu wojskowego, bez żadnej przesady możemy powiedzieć, że na naszych oczach rozgrywa się III wojna światowa. Otwarte pozostaje pytanie, na jakim jest etapie...

Marcin Ogódowski

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Ukraińskie władze informowały, że Legia Międzynarodowa osiągnęła stan 20 tys. osób.

do brytyjskiej Izby Gmin z ramienia Partii Konserwatywnej, doradczyni premiera Borisa Johnsona ds. edukacji dziewcząt, w latach 2013-2015 minister sportu. Ważna persona, której syn tak tłumaczył „Guardianowi” swoje motywacje: „Zobaczyłem film zrobiony w bombardowanym budynku. Usłyszałem krzyk dziecka i pomyślałem, że przecież sam jestem ojcem trójki. A gdyby to były moje pociechy, co bym zrobił? Uznałem, że poszedłbym walczyć. Ukraina potrzebuje ludzi z doświadczeniem bojowym, więc jestem”.

Brytyjczyk nie przyznał się matce, że wyjeżdża do Ukrainy. Jego koledzy

to ochotników wciąż przybywało – gdy w piątek zamykaliśmy ten numer PRZEGLĄDU, ukraińskie władze informowały, że Legia Międzynarodowa osiągnęła stan 20 tys. osób. Wśród nich znalazł się mężczyzna ukrywający się pod pseudonimem „Wali”, kanadyjski snajper, który swego czasu zastrzelił celnym strzałem z odległości 3540 m, w wyniku którego zginął afgański rebeliant. Jak wszyscy zagraniczni ochotnicy Kanadyjczyk musiał podpisać trzyletni kontrakt z ukraińskimi wojskami obrony terytorialnej. To sposób, by zapewnić ochotnikom pełną ochronę prawną, w przeciwnym razie – w przypadku

SOS UKRAINA
POMÓŻMY OFIAROM WOJNY!

www.pah.org.pl/wplac



Polska Akcja Humanitarna

Serce podziemnego miasta

Zobaczysz tu ludzi, którzy nie wiedzą, co będzie z nimi jutro, i tych, którzy próbują im pomóc

Anna Mączka

Czteroletnia Złata, jej 18-letnia siostra i ich mama właśnie dowiedziały się, że ich dom w Ukrainie jest ostrzeliwany. Przyszły do punktu pomocy medycznej na krakowskim dworcu. Ratownikom udaje się namierzyć amerykańskiego psychiatrę, który pomaga tu jako wolontariusz. Po przeszło godzinnej rozmowie z nim buzia małej Złaty promienieje. Dziewczynka dostaje od wolontariuszy słodycze i misia. Choć na jakiś czas zapomina o tym, co stało się z jej domem. W podzięce zostawia kartkę, która natychmiast zostaje umieszczona na najważniejszej ścianie w niewielkiej salce. Niedzarnym dziecięcym pismem Złata pisze: *Djakuju ja za was wszech. Ljubliu!* (Dziękuję wam wszystkim. Kocham was)

Nie było czasu na pieczętkę

Żeby dostać się do podziemnego miasta, wystarczy przejść przez Galerię Krakowską lub zjechać na sam dół windą. Tam zobaczysz ludzi, którzy nie wiedzą, co będzie z nimi jutro, i tych, którzy próbują im pomóc.

Podchodzi do mnie mniej więcej 20-letnia Ukrainka. Ma niewielki plecak, pyta o pociąg do Katowic. Tam chce przenocować u znajomych, a potem dostać się do Niemiec. W jej oczach widzę bezradność.

Przyjeżdżający z Ukrainy mogą w Krakowie liczyć na pomoc wolontariuszy.



Ale już podchodzi do nas harcerka i prowadzi zagubioną dziewczynę do ogromnej kolejki. Dziewczyna pokazuje mi na komórce godzinę odjazdu jej pociągu. Żeby zdążyć, potrzebny jest cud.

Cud ma pomarańczową kamizelkę, jest wysoki, tęgi, przyjechał z Gdyni i szuka ukraińskich uchodźców. On i jego kolega, też kolejarz,

wieczorem. Chcieliby gdziekolwiek się zatrzymać. Wolontariusze w cywilu i żółtych kamizelkach udzielają informacji, podają adresy polskich domów. Weronika jest Ukrainką i przyjechała do Krakowa z Francji. Tam studiuje anglistykę. Dowiedziała się, że w jej kraju jest wojna, więc rzuciła wszystko i przyjechała pomóc rodakom. Jej rodzice zostali

Przyjeżdżają tu, ale myślami są u siebie, w Ukrainie, wśród swoich zbombardowanych domów i zgłiszcz.

chodzą po płycie dworca i wydają bilety na dalszą trasę. Prowadzę kolejarza do długiej kolejki i wyławiam z niej spotkaną Ukrainkę. Dziewczyna mówi, że ma tylko gotówkę. Kupuje bilet i biegnie na peron.

Trochę dalej od kas, przed szerekimi, szklanymi drzwiami stoi kolejka uchodźców w różnym wieku. Niektórzy z dziećmi. Dochodzi dziewczęta

w Poławie, w środkowo-wschodniej Ukrainie. Ojciec nie mógł wyjechać, bo ma tylko 55 lat. Może dostać powołanie do wojska.

Do Weroniki podchodzą dwie młode Ukrainki. Jedna na granicy nie dostała jakiejś pieczątki. Jakiej pieczątki? – pytam dziewczyny.

– Takiej, która pozwoli mojej kuzynce korzystać z jakichkolwiek ▶

► uprawnień uchodźców w Polsce – mówi ta druga. – Ja mieszkam tu, w Krakowie, to będziemy tu razem – dodaje, a głos jej się łamie. – Gdy tłum ludzi napierał na granicy, nie było czasu na pieczętkę. Potem szła wiele kilometrów pieszo – wyjaśnia.

Po chwili wraca Weronika. – Dziewczynyno, żadna pieczętka nie jest wam potrzebna.

Kto przychodzi? Wszyscy

Przed kolejnym pomieszczeniem w głębi dworca stoją młody brunet i wysoka szatynka z włosami spiętymi w kucyk. To wolontariusze z punktu medycznego. Razem z nimi są ratownicy i wolontariusze z Maltańskiej Służby Medycznej. Młody brunet to student medycyny z Krakowa. Chłopak jest Ukraińcem i jako wolontariusz pełni funkcję tłumacza: – Przychodzą pasażerowie z różnymi schorzeniami. Z reguły polscy wolontariusze nie znają medycznego nazewnictwa chorób i leków, dlatego chętnie pomagam.

Chłopak nie jest rozmowny, siedzi w kąciuku salki z medykamentami. Wstaje, gdy trzeba tłumaczyć, gdy ktoś źle się czuje lub potrzebuje lekarstwa. Widać, że wojna w jego kraju go dobiła. Jedyne, co chce i może, to pomagać. Tak jak on zamknięta jest wolontariuszka Marija. W Krakowie mieszka i pracuje pięć lat. Jest Rosjanką. Przyszła pomagać uchodźcom, o Putinie i o tym, że jej rodakom kazał zabijać Ukraińców, nie ma siły rozmawiać.

Oprócz medyków najbardziej potrzebni są psycholodzy i psychiatry mówiący po ukraińsku, bo ludzie nie wytrzymują tego, co się dzieje.

Do ratowników podchodzi niski mężczyzna. Ma ok. 60 lat. Wygląda, jakby wyszedł z piekła. Pewnie jak tyłu innych jest w drodze od wielu dni. Przy nim drobna kobieta w czarnej. Pyta o coś po ukraińsku. Już ma odejść, ale nagle się zatrzymuje i ze łzami w oczach krzyczy tak głośno, że słyszę w drugim końcu salki: – *Poles, I am proud of you, thank you very much!*



Weronika przyjechała pomagać do Krakowa z Francji.

Szefową całej akcji pomocowej na krakowskim Dworcu Głównym jest Patrycja z Maltańskiej Służby Medycznej.



Wśród ratowników i wolontariuszy Pomocy Maltańskiej są trzy Polki: Patrycja – szefowa całej akcji pomocowej, Edyta – komendantka krakowskiego oddziału Fundacji Maltańskiej i Marzena – wolontariuszka pracująca na co dzień w Małopolskim Urzędzie Wojewódzkim. Śmieją się, że na dworcu prawie mieszkają. – Jesteśmy tu od samego początku, z przerwami

na wyspanie się w domach – mówi Edyta. – Dążymy do tego, aby działać 24 godziny na dobę, zmieniać się co 12 lub co osiem godzin. Wolontariusze przychodzą chociaż na dwie godziny. Każdy, kto chce pomagać, znajduje chwilę. Kawał dobrej roboty odwalają studenci medycyny z Uniwersytetu Jagiellońskiego i inne osoby z medycznym wykształceniem. Przychodzą nawet między dyżurami. Kto przychodzi? – Wszyscy – podkreśla Edyta.

Oprócz medyków najbardziej potrzebni są psycholodzy i psychiatry mówiący po ukraińsku, bo ludzie nie wytrzymują tego, co się dzieje. Patrycja: – Zdarzają się interwencje w problemach na tle nerwowym.

– Uchodźcy, którzy proszą o pomoc na dworcu, są zmęczeni długą podróżą. Przeważnie nim dotarli do granicy, musieli iść dwa, trzy dni pieszo. Często zdarzają się urazy kończyn, stóp, przeciążone stawy, skoki ciśnienia, zaniedbane choroby przewlekłe, gorączka, osłabienie. Niektórzy wymagają wręcz pomocy szpitalnej – wymienia dziewczyna.

Wśród pomagających jest „Generał”. Naprawdę ma na imię Jan. Opowiada o 10-letnim chłopcu, który miał naświetlone oczy. – Bardzo go bolały. Ciężko było mu je zakropić. Płakał. Bał się. Był wystraszony. Nie wiedziałem, od czego te oczy ma naświetlone. Czy od wybuchu, czy z tej wielogodzinnej drogi, którą razem z mamą przeszedł pieszo – zastanawia się mężczyzna.

Podziemne miasto żyje własnym życiem. Harcerze wydają jedzenie, w pasażu działają punkt noclegowy i punkty informacyjne. Dla wielu uchodźców Kraków to kolejny etap podróży, inni czekają tu na bliskich, którzy jeszcze do nich dojadą.

– Jesteśmy uzależnieni od przyjazdów pociągów z Przemyśla. Czasem przyjeżdżają specjalne składki. Jak mamy informacje o masowych przyjazdach, uruchamiamy większą liczbę osób i staramy się zostać tak długo, jak to potrzebne – tłumaczy Patrycja.

„Generał” mówi o wystraszonych dzieciach i poruszających historiach, po których chce się tylko ryczeć.



Do pomocy włączyły się też harcerki.

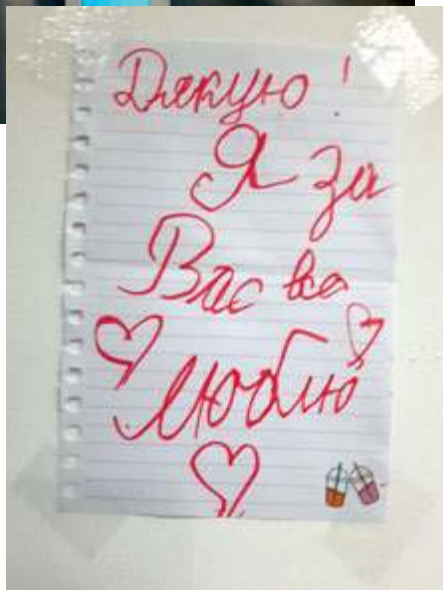
Podziękowania od Złoty.

Wolontariuszkę Marzenę przeraża pusty wzrok starszych kobiet: – One przyjeżdżają tu, ale myślami są u siebie, w Ukrainie, wśród swoich zbombardowanych domów i zgłiszcz. Bardzo przeżywają, że tam pozostali ich synowie i mężowie. To ludzie, którzy tak naprawdę nie wiedzą, co ze sobą zrobić.

Przed chwilą ktoś z mieszkańców przyniósł pudło z lekami. Robert, który jest na co dzień wykładowcą na Uniwersytecie Ekonomicznym, wyjmując i segregując lekarstwa. Część jest przeterminowana, ale te podstawowe nie. – Od dzisiaj możemy dać ludziom trzy tabletki na zapas – cieszy się.

Ciężarówka na front nie dojedzie

Opuszczam podziemne miasto. Winda wiezie mnie na górę. Tu ludzie też pomagają. Gdy proszę, żeby



o tym opowiedzieli, mówią, że nie ma czym się chwalić.

Marta Burzyńska, elegancka, charyzmatyczna 40-latką, przyjmuje mnie w Krakowskim Biurze Kredytowym. To rzut beretem od dworca. W pokojach między biurkami leżą paczki z odzieżą i darami. Na zbiorce przeznaczone jest również specjalne pomieszczenie. Zgromadzone rzeczy trafiają bezpośrednio do

zainteresowanych. Marta jest radną miasta Krakowa i społeczniczką. Wie, co się dzieje w mieście i gdzie przyjadą dzieciaki z ukraińskiego sierocińca. Nocowali u niej niedawno znajomi z Ukrainy. Jej mąż poznał ich w Egipcie. Podkreśla, że Ukraińcy, których zna, nie chcą niczego za darmo. Szukają pracy, nie zamierzają być na niczym garnuszku. Według Marty potrzebna jest pomoc systemowa i mniej chaosu. W Krakowie może zabraknąć mieszkań i będą potrzebne lokale na wynajem, w mieście będzie trudniej o pracę. – Ważne, aby energia, z jaką pomagamy, nie opadła – słyszę od niej na pożegnanie.

Justyna pracuje w OLX. Jej pracodawca przygotował specjalny rodzaj ogłoszeń dla ukraińskich uchodźców. Prawdopodobnie będzie także ściągał rodziny ukraińskich pracowników do Krakowa. Justyna zgłosiła się na ochotnika. Jak będzie trzeba, pojedzie po nich pod ukraińską granicę. Jedziemy razem do Nowohuckiego Centrum Kultury. Jest późny wieczór. Tam zbierane są dary dla mieszkańców Lwowa i reszty Ukrainy. Justyna też coś przygotowała: pampersy dla dzieci, opatrunki, słodycze, środki higieniczne. – Więcej nie miałam, ale liczy się, że mogę dać cokolwiek, prawda?

We wnętrzu wielkiego budynku wśród paczek krzątają się wolontariusze. To głównie Ukraińcy i kilku harcerzy. Na placu stoi ogromna ciężarówka. Przed nią grupka młodszych i starszych mężczyzn. Wszyscy mają zmęczone twarze i smutne oczy. W Krakowie mieszkają i pracują już jakiś czas. Mówię jednemu z nich, że widziałam zdjęcia z Kijowa. Moja znajoma Marina tam jest. W jego oczach pojawiają się łzy.

Dowiaduję się, że we Lwowie dary zostaną przełożone do wozów opancerzonych. – Ciężarówka nie ma szans dojechać na front – słyszę od mężczyzny, który układa w niej paczki. Kiedy samochód odjeżdża, patrzy za nim, jakby żegnał kawałek Ukrainy.

Anna Mączka

Ludzie pięknie się dzielą

Malbork solidarny z Ukrainą

Helena Leman

Już w niedzielę, 27 lutego, ruszył w mieście główny punkt zbiórki w Muzeum Miasta Malborka przy ulicy Kościuszki. – W sobotę, trzy dni po rozpoczęciu wojny w Ukrainie, zgłosiliśmy do burmistrza pomysł utworzenia punktu pomocowego – mówi Marta Wróblewska z działu promocji miasta. – Nie spodziewaliśmy się tak dużego odzewu społecznego. Pierwszego dnia nasz punkt dosłownie zalała fala ludzi, szacujemy, że przyszło nawet 500 osób, w ciągu tygodnia przychodzi trochę mniej darczyńców, ok. 150 osób dziennie. Zbieramy wszystko, od żywności długoterminowej i artykułów medycznych po odzież termiczną i militarną dla ukraińskiej obrony terytorialnej. Codziennie aktualizujemy listę potrzeb dostępną na stronie miasta. Ludzie pięknie się dzielą. Starszy pan, który

z Ukrainy, trwa więc załatwianie dla niej noclegu.

Pierwsze transporty do Ukrainy z magazynu w muzeum wysłano już 2 i 5 marca. Po dary przyjeżdża samochód z Lublina.

Marta Wróblewska jest w ciągłym kontakcie z innymi punktami pomocowymi i różnymi oddolnymi inicjatywami, które w mieście i powiecie wyrastają jak grzyby po deszczu.

W Klubie 22. Bazy Lotnictwa Taktycznego artykuły papiernicze i kredki dla ukraińskich dzieci zbiera Aneta Ciok. W akcję pomocową włączone są praktycznie wszystkie malborskie szkoły, w tym filia Wyższej Szkoły Gospodarki i mieszczący się w jej budynku Dom Dziennego Pobytu Petunia, oraz parafie. W parafii w dzielnicy Piaski znalazło dach nad głową kilkudziesięciu uchodźców. – Malborskie firmy zadeklarowały sfinansowanie wyprawki szkolnej dla dzieci, współpracujemy także z firmą



mieszkańców. Trwa prawdziwe pospolite ruszenie, ludzie przychodzą pojedynczo albo wspólnie ze znajomymi robią jedną dużą paczkę. Staramy się to jakoś uporządkować. Wstuchujemy się też w sygnały płynące z Ukrainy, np. najbardziej brakuje tam teraz hełmów i kamizelek kuloodpornych, środków opatrunkowych – mówi prowadząca zbiórkę w Spżarni Malborskiej Patrycja Zachara-Diachenko, której mąż pochodzi z miasta Dniepr we wschodniej Ukrainie. W Polsce mieszka już ponad 20 lat.

Punkty zbiórki żywności i leków znajdują się w wielu miejscowościach powiatu malborskiego. Strażacy z Ochotniczej Straży Pożarnej w Miłoradzu postanowili przekazać ukraińskim strażakom agregat prądotwórczy, pompę pływającą, rozdzielacz, prądownice, ubrania taktyczne, hełmy, buty itp. – informuje druż Grzegorz Sobczyk. Pomocy udzieliły też OSP z Lichnow i Starego Pola. Z kolei Fundacja Nadzieja II z Nowego Stawu zbiera pieniądze, do 3 marca zebrano już 23 tys. zł. Środki mają być wykorzystane na terenie powiatu. Niepubliczne przedszkole Bratek w Malborku proponuje pomoc ukraińskim dzieciom.

W kawiarni Carte D'Or w malborskiej galerii Dekada zbiórkę prowadzi jej właścicielka Anna Maszkowska. Wraz z przyjaciółmi z Ukrainy znalazła

Spółeczność Malborka bardzo się zmobilizowała, a przecież mieszka tu wielu wołyniaków.

przyniósł śpiwór, tłumaczył, że w tym wieku biwakować raczej nie będzie, inna kobieta przyniosła cztery konserwy, mówiąc, że tylko tyle ma. Odwiedzający nas Ukraińcy mają skromne potrzeby. Rodzina z dwoma synami wzięła tylko parę butów i kurtkę, chłopcy nie chcieli nawet czekolady. Pani, która przyjechała do córki, wzięła żel i szampon. Tłumaczyła, że więcej jej nie potrzeba, że ludziom w jej ojczyźnie objętej wojną nasza pomoc bardziej się przyda. Potem przyniosła nam gołąbki, żeby okazać wdzięczność.

Punkt jest czynny w dni robocze od godz. 8 do 19, a w soboty i niedziele od 11 do 17. Podczas naszej rozmowy bez przerwy dzwonią telefony, świszczy taśma, którą wolontariusze okleją paczki. Właśnie ma przyjechać pociągiem kolejna kobieta

Sim-Med z Wejherowa w sprawie transportów medycznych – opowiada Marta Wróblewska. – W naszym punkcie pracują również jako wolontariusze ratownicy medyczni, którzy sprawdzają podarowane leki.

Pospolite ruszenie

– Choć od 28 lutego sala kominowa naszego lokalu, kojarząca się zazwyczaj ze śmiechem i zabawą, wygląda inaczej, to wzruszenie odbiera mi głos i trudno powiedzieć coś bardziej wyszukanego poza „Dziękujemy”. Nasza zbiórka obejmuje wszystkie przedmioty, które pozwolą Ukraińcom z obrony terytorialnej na funkcjonowanie w trudnych warunkach w terenie. Dary napływają bez przerwy, odbieram telefony od strażaków, wojskowych i zwykłych



Główny punkt zbiórki mieści się w Muzeum Miasta Malborka przy ul. Kościuszki.

busy, które zawiozą dary w głąb Ukrainy, zbierane są np. artykuły medyczne, kamizelki kuloodporne, powerbanki, baterie itp. W pomoc włączyli się również inni malborscy restauratorzy.

Kosze na zbiórki żywności wystawiono w wielu malborskich sklepach i marketach. W sklepiku osiedlowym obok mojego bloku zbiórka trwa od końca lutego, zbierane są artykuły medyczne i żywność długoterminowa.

Samorządowcy przygotowani

Burmistrz Malborka Marek Chrzewski podkreśla, że Malbork jest przygotowany na pomoc uchodźcom: – Mamy zabezpieczone 90 miejsc, tyle zgłosiłem do wojewody. Będą się znajdować w pomieszczeniach po byłym schronisku PTSM, w obiektach Centrum Aktywnego Wypoczynku oraz w tych hotelach, które nie przyjmują żołnierzy kontyngentu NATO. U uruchomiliśmy infolinię adresowaną do osób, które chciałyby udzielić schronienia ofiarom wojny. Do środy, 9 marca, 58 mieszkańców miasta wyraziło chęć przyjęcia pod swój dach uchodźców. Jeśli chodzi o przygotowanie szkół, mamy już



uczniów z Ukrainy, którzy przyjechali do nas po Majdanie w 2014 r. Na razie jeszcze nie wiadomo, ile dzieci u nas zostanie. Jeśli będzie to większa liczba, trzeba będzie uruchomić tzw. oddziały wprowadzające w szkołach.

Do 9 marca 21 uchodźców już zakwaterowano w Centrum Aktywnego Wypoczynku, a 27 osób prywatnych z 58, które się zgłosiły, przyjęło ofiary wojny pod swój dach. 101 Ukraińców zarejestrowało swój pobyt w wydziale spraw społecznych urzędu miasta. Miejsca dla uchodźców w Malborku jeszcze są: 19 w Centrum Aktywnego Wypoczynku i 50 w schronisku. Do przyjęcia uchodźców przygotowuje się też powiat malborski.

– Spodziewamy się dzisiaj dwóch-trzech autobusów z uchodźcami, przyjadą z Gdańska – mówi Stanisław Chabel, dyrektor Wydziału

Bezpieczeństwa i Zarządzania Kryzysowego w powiecie malborskim. – 70 miejsc czeka na tych ludzi w Starym Poleu, w Ośrodku Doradztwa Rolniczego, na miejscu będzie pomoc psychologiczna i medyczna. Planujemy też uruchomienie miejsc noclegowych w halach sportowych, jeśli będzie taka potrzeba. Na dworcu w Malborku powstaną punkty informacyjne dla przybywających. Obecnie szacujemy, że w naszym powiecie przebywa od 250 do 300 osób szukających schronienia przed wojną, ale to dopiero początek. Na koncie fundacji Nadzieja uzbierano już ok. 40 tys. zł dla uchodźców, którzy zatrzymują się u nas, ale to nie wystarczy, samorządy potrzebują solidnego zastrzyku finansowego.

Nie wszyscy uchodźcy od razu się rejestrują. Wielu szuka dachu nad głową na własną rękę, przez znajomych, przez internet, przyjeżdża do pracujących tu bliskich. Do Patrycji Zachary-Diachenko także zwracało się w tej sprawie wiele osób. – Jesteśmy polsko-ukraińskim małżeństwem i prowadzimy lokal, który jest też obecny na Facebooku, przez co łatwiej się z nami skontaktować – mówi. – Wiele osób pomaga anonimowo, nie chce rozgłosu. Jest dużo inicjatyw oddolnych, które tworzą jedną wielką całość.

Wszyscy się komunikują, wymieniają informacjami i rozwiązują sami pojawiające się problemy. Za to wielkie brawa dla mieszkańców naszego miasta i okolic.

W ostatnią sobotę w Sztumskim Centrum Kultury odbył się koncert „Solidarni z Ukrainą” malborskich i sztumskich muzyków. Cały dochód z niego zostanie przekazany ukraińskim rodzinom, które zamieszkają w tym regionie. Imprezie towarzyszyły licytacje oraz zbiórka artykułów medycznych i żywności.

Kolejne transporty organizowane przez główny punkt zbiórki w mieście ruszą do Ukrainy już za kilka dni. – Nasza społeczność bardzo się zmobilizowała, a przecież mieszka tu wielu wołyńiaków – podsumowuje jeden z wolontariuszy.

h.leman@tygodnikprzeglad.pl

Najtrudniejsze przed nami

Ciemną stroną masowych migracji są napięcia społeczne

Rozmawia Małgorzata
Szczepańska-Piszcz

Polacy pięknie zdają egzamin z człowieczeństwa, troszcząc się o uciekających z Ukrainy. Ale ta ogromna fala uchodźców – według ONZ w Polsce jest ich już ponad milion – rodzi też obawy. Mamy czego się bać?

– Sytuacja jest absolutnie wyjątkowa. Zarówno jeśli chodzi o skalę uchodźstwa, jak i o skalę pomocy. Moment jest niezwykle trudny, bo rozmiar i dynamika migracji są nieporównywalne z czymkolwiek, co obserwowaliśmy w Europie – myślę tu o migracjach z 2014 czy 2015 r.

Dlaczego?

– Bo wtedy to był proces rozciągnięty na tygodnie, miesiące. A tu w ciągu pierwszych dziewięciu dni wojny do Polski dotarło prawie 800 tys. Ukraińców. Co prawdopodobnie czyni ten napływ jednym z największych i najgwałtowniejszych w najnowszej historii Europy.

Według szacunków ONZ przez pierwsze dziewięć dni wojny z Ukrainy uciekło 1,2 mln ludzi.

Z czego do Polski tylko tego piętnastego dnia ponad 106 tys.

– Sądząc po tym, co się dzieje w Ukrainie i na granicy, ta dynamika zostanie utrzymana. Dlatego czas najwyższy nie bazować tylko, czy przede wszystkim, na spontanicznej pomocy Polek i Polaków. Wydaje mi się, że brakuje bardziej zdecydowanych działań rządu. I koordynacji tej spontanicznej pomocy. Dobrze, że szybko zareagowały samorządy i utworzyły ośrodki recepcyjne w dużych miastach i na granicy. Ale biorąc pod uwagę skalę zjawiska, wydaje mi się, że tych działań powinno być dużo, dużo więcej. Sytuacja jest trudna, bo mamy marzec,



**PROF. PAWEŁ
KACZMARCZYK**

– dyrektor Ośrodka Badań nad Migracjami
Uniwersytetu Warszawskiego

ciągle jest bardzo zimno, zwłaszcza w nocy, a uciekinierzy, zwykle kobiety z dziećmi, muszą spędzać wiele godzin na granicy w kolejkach. Czyli nawet po opuszczeniu swoich miejscowości w Ukrainie znajdują się w sytuacji zagrożenia zdrowia i życia. Pilnie potrzeba działań sprawnie rozładowujących te kolejki i zapewnienia uchodźcom możliwości przetrwania w cieple.

Ilu Ukraińców najprawdopodobniej zostanie w Polsce?

– Z danych, które się pojawiły, wynika, że 30-40% z tych 800 tys. pojechało dalej. A w dłuższej perspektywie zapewne będzie ich więcej. Szacuje się, że prawdopodobnie

połowa trafi gdzieś dalej. Solidarność europejska jest obecnie bardzo silna, wiele drzwi stoi otworem. Ale główny strumień popłynie pewnie do Niemiec, Austrii, Skandynawii. Dlatego wracając do pytania, czy powinniśmy się bać, odpowiadam: powinniśmy zrobić wszystko, aby jak najsprawniej przeprowadzić akcję pomocy polegającej również na ułatwieniu transportu do innych krajów. Jednak do tego potrzeba koordynacji na poziomie ogólnopolskim. Nie wystarczą takie rozwiązania, jakie sprawdzały się dotychczas, polegające na tym, że prywatne osoby z własnej inicjatywy podjeżdżają pod granicę prywatnymi samochodami, zabierają uchodźców i wiozą dalej, w bezpieczne miejsca.

Najwyższy czas zaprosić do współpracy organizacje europejskie, takie jak Frontex czy Europejski Urząd Wsparcia w dziedzinie Azylu (EASO). To jest też moment, żeby zacząć korzystać z doświadczeń krajów, które musiały sobie radzić z falami uchodźców. Mam tu na myśli państwa południowej Europy, takie jak Włochy, Grecja, ale

także – a może przede wszystkim – Niemcy. Wszystko po to, by nasza pomoc była maksymalnie efektywna i skuteczna.

Czy powinniśmy tworzyć obozy dla uchodźców?

– Wolałbym nie używać słowa obozy. Nie tylko ośrodki recepcyjne, ale i przejściowe dla uchodźców prawdopodobnie będą konieczne. Zwłaszcza jeśli szybko nie udostępni się Ukraińcom mieszkań z zasobu komunalnego, jeśli nie da się szybko wybudować mieszkań tymczasowych itd.

Co oprócz mieszkań trzeba zapewnić, żeby naszą pomoc można było nazwać dobrą?

– Powinniśmy im zapewnić dostęp do usług medycznych, w tym związanych ze szczepieniami przeciw COVID-19. Pamiętajmy, że w przypadku Ukrainy wyszczenie populacji było relatywnie słabe, dodatkowo w większości inną szczepionką niż w krajach UE, głównie rosyjską szczepionką Sputnik V. To może generować w przyszłości sporo problemów. Trzeba stworzyć system opieki nad dziećmi. Teraz spontanicznie przyjmują je istniejące placówki, ale już za chwilę przestaną, bo przedszkola i szkoły nie są z gumy. Trzeba będzie zatem tworzyć dodatkowe szkoły i przedszkola dla ukraińskich dzieci. Pomóc w organizacji naszej pomocy mogą sami uchodźcy. Jest wśród nich wiele nauczycielek, lekarzek czy pielęgniarek. Lepiej przecież pracować, niż cały dzień siedzieć w pustym pokoju. Zresztą mamy sygnały, że już tak się dzieje, zaledwie kilka dni od rozpoczęcia wojny. I tak doszliśmy do ostatniego punktu: włączania dorosłych uchodźców w rynek pracy.

Rząd właśnie wypracował specustawę.

– Ta ustawa jest niezbędna, żeby samorządy i inne organizacje mogły działać. Nie mam pojęcia, dlaczego rządowe prace tak się przedłużały. A papier jest cierpliwy i można na nim napisać wszystko. Zapytam retorycznie: czy zapisanie, że uchodźcy ukraińscy mają prawo do bezpłatnego nauczania i opieki zdrowotnej zapewni im jedno i drugie?

Niewydolna polska służba zdrowia i mocno zagęszczone szkoły nie dadzą rady?

– Pojawienie się w niewydolnym systemie dodatkowych tysięcy osób stworzy presję, z którą trudno będzie sobie poradzić. Trzeba działać wyprzedzająco, teraz. Jeżeli nie pozyskamy pieniędzy, jeśli nie zmobilizujemy nauczycieli i lekarzy, jeśli nie włączymy do tego Ukraińców, specustawa niewiele zmieni. Ocze kiwałbym w tej chwili przejścia na wyższy poziom determinacji także od władz rządowych.

Czyli?

– Wyasygnowania dużych pieniędzy ze środków publicznych i mocnego wsparcia samorządów oraz

współpracy z organizacjami pozarządowymi. Proszę zauważyć, że tak naprawdę tylko samorządy i organizacje pozarządowe zajmowały się dotąd migrantami. Nie mieliśmy i nie mamy polityki rządowej w tej sferze. I, co chciałbym podkreślić, konieczne jest jak najszybsze pozyskanie środków pomocowych z Unii Europejskiej. Bruksela zadeklarowała, że te pieniądze będą błyskawicznie przekazywane.

Kto dziś ucieka z Ukrainy?

– Przede wszystkim kobiety i dzieci, ale na pewno nie jest to losowa próbka populacji ukraińskiej. Każda emigracja jest bowiem zjawiskiem selektywnym. Uciekają ci, którzy mają, po pierwsze, kontakty i powiązania w Polsce, po drugie, pieniądze

przeciwnie. Mieli 11-, 12-procentowy wpływ na dynamikę wzrostu PKB. Napływ nowych pracowników może być i teraz bardzo korzystny dla rynku pracy. Pod warunkiem że zlikwidujemy pewne bariery. Po pierwsze, przyspieszając nostyfikację dyplomów i uznawanie kwalifikacji. Bo musimy sobie zdać sprawę, że obecna ukraińska emigracja różni się od tej zarobkowej, którą dobrze znamy. To są ludzie wyrwani ze swoich miejsc pracy, często dobrze wykształceni: naukowcy, nauczyciele, dziennikarze, lekarze, inżynierowie. Warto umożliwić im pracę w ich zawodach. Po drugie, ucząc ich języka polskiego, a do tego potrzeba dodatkowych, intensywnych kursów językowych. Polscy pracodawcy już

Imigranci nie zabierają pracy rdzennym mieszkańcom, raczej ją uzupełniają.

na transport do granicy albo samochód, który ich tam dowiezie. Albo nie mają chorych rodziców, którymi muszą się opiekować. Lub są na tyle sprawni i zdeterminowani, że mogą wiele dni iść pieszo. W tym miejscu trzeba podkreślić, że nie ma wielkiej różnicy między Ukraińcami, którym teraz tak chętnie i spontanicznie pomagamy, a ludźmi, którzy niedawno stali bezradnie przy polsko-białoruskiej granicy, ale na naszą masową pomoc nie mogli liczyć. Jedni i drudzy uciekali przed wojną.

Dlaczego łatwiej nam pomagać Ukraińcom?

– Bo ich lepiej znamy, są nam bliscy kulturowo. Poza tym Rosję traktujemy jako wspólnego wroga. Wreszcie wojna na Ukrainie rozgrywa się blisko nas, my ją rozumiemy. Wojna w Syrii czy w Afganistanie to było dla przeciętnego Polaka coś dalekiego, obcego, abstrakcyjnego.

Polacy obawiają się, że masowo przybywający Ukraińcy zdestabilizują rynek pracy.

– Do końca nie wiem, z czego wynikają te obawy. Przecież w polski rynek pracy jeszcze przed wojną rosyjsko-ukraińską zaangażowanych było ok. 2 mln Ukraińców. I nie wywołali negatywnych efektów, wręcz

dzisiaj deklarują, że chcą zatrudniać Ukraińców. Wcześniej, jeśli czegoś się bali, to nagłego odpływu Ukraińców, np. do Niemiec. Przypomnijmy, że Polacy poszukują siły roboczej w tak odległych krajach jak Indie czy Bangladesz.

Wiemy, że nie taki diabeł straszny, bo naukowcy badali już wpływ masowej imigracji na rynek pracy, np. tej nazwanej Mariel boatlift.

– Tak, w 1980 r. dość niespodziewanie Fidel Castro ogłosił, że każdy, kto chce, może opuścić Kubę. Ponad 120 tys. Kubańczyków w porcie Mariel – stąd nazwa – załadowało się więc na statki i łodzie i popłynęło na Florydę. Trafili głównie do Miami. Do rodziny, przyjaciół, do silnej diaspory kubańskiej. W tym aspekcie tamta sytuacja jest analogiczna do tego, co dzisiaj przeżywamy w Polsce. Pierwsza fala ukraińskiej emigracji też trafia głównie do rodzin, przyjaciół czy znajomych – tam, gdzie mają jakiś punkt zaczepienia. Tę kubańską emigrację zbadano bardzo solidnie, wśród badaczy był David Card, zdo bywca zeszłorocznej Nagrody Nobla. I okazało się, że powiększenie siły roboczej w Miami o 7-10% nie wpłynęło negatywnie ani na Amerykanów, ani na innych imigrantów. Tylko ►

▶ jedna grupa straciła – mieszkający tam Kubańcy.

Podobne wnioski płyną z innych badań. Imigranci wcale nie zabierają pracy rdzennym mieszkańcom, raczej ją uzupełniają. Rzadko konkurują, zwykle podejmują pracę, której miejscowi nie chcą, uważając ją za nieatrakcyjną. Tak też jest na polskim rynku pracy. Ukraińcy zatrudniani są głównie w rolnictwie, świadczą usługi niskokwalifikowane i proste prace w przemyśle czy budownictwie. Polacy nie musieli i nie muszą się obawiać o swoje miejsca pracy. Wzmocniona konkurencja dotyczyć będzie zatem przede wszystkim innych imigrantów. Ale, żeby była jasność, nie chcę przedstawiać migracji tylko w jasnych barwach. Migracje, zwłaszcza masowe, mają jasne i ciemne strony.

To wyliczmy najpierw te ciemne

– Utrudniony dostęp do świadczeń publicznych: opieki medycznej, społecznej, edukacji, usług transportowych. Mogą się pojawić problemy z wypłacaniem świadczeń społecznych, np. 500+.

Czyli na rynku pojawią się tysiące nowych osób i nie będzie skąd wziąć pieniędzy na opłacanie dodatkowych nauczycieli, lekarzy itp.?

– Nie. Problemem nie jest to, skąd wziąć pieniądze, bo jeśli włączymy

Ukraińców do rynku pracy, to oni za to wszystko zapłacą, choćby uczestnicząc w systemie podatkowym, przez podatki dochodowe i podatki pośrednie. Problemem jest nagłe poszerzenie systemu świadczenia różnego rodzaju usług. Proszę sobie wyobrazić 10-tysięczne miasto, w którym niemal z dnia na dzień pojawia się dodatkowe 2 tys. mieszkańców, w dodatku niemówiących po polsku. I teraz z niewielkiego budżetu

Napływ nowych ludzi może być i teraz bardzo korzystny dla rynku pracy.

trzeba stworzyć dodatkowe miejsca w przedszkolach, szkołach, przychodniach. Trzeba pomyśleć o nauczaniu polskiego jako języka obcego. Skąd wziąć takich nauczycieli, zwłaszcza w małym mieście? Nie oszukujmy się, logistycznie będzie to bardzo trudne. Ciemną stroną masowych migracji są też napięcia społeczne.

Co obserwowaliśmy niedawno w Anglii, gdy emigrowali tam masowo Polacy.

– Choć imigracja dobrze wpływa na rynek pracy i to jest bezdyskusyjne, z całą pewnością mogą się znaleźć jednostki lub nawet całe grupy, które na tym napływie ucierpią.

W Polsce mogą to być pracownicy o niskich kwalifikacjach lub pracujący w sektorach zdominowanych przez migrantów. Doświadczenia Anglii z czasów poprzedzających brexit nakazywałyby jak najszybciej identyfikować takie grupy i oferować wsparcie, np. w postaci dodatkowego przeszkolenia czy możliwości przekwalifikowania się. Poza tym masowa migracja może powodować napięcia społeczne czy polityczne.

Rozsądna polityka publiczna musi je szybko rozpoznawać i rozładowywać, a nie podsycać. A to w naszym kraju szczególnie ważne, bo w ostatnich latach mieliśmy niestety silną retorykę antyimigrancką, która płynęła wprost z instytucji rządowych. Dlatego teraz konieczne jest sformułowanie takiego przekazu, który nie tylko uświadomi wszystkim (o ile nie jest to już oczywiste), że stoimy w obliczu olbrzymiego wyzwania, ale i wskaże, w jaki sposób możemy sobie z nim poradzić i jakie będą skutki imigracji – możliwe zagrożenia, ale i plusy.

Jakie są te plusy?

– Jesteśmy gwałtownie starzejącym się społeczeństwem. Nie tylko nie mamy już problemów z bezrobociem, ale w niektórych sektorach musimy wręcz szukać rąk do pracy. Dlatego pojawienie się na takim rynku pracy dodatkowych tysięcy pracowników trzeba traktować jako sprzyjający nam potencjał. Tym bardziej że nie będą to przede wszystkim pracownicy o niskich kwalifikacjach. Poza tym jest to szansa na budowanie dobrych relacji z sąsiadem. Bardzo prawdopodobne, że – jeśli Ukraina przetrwa – wielu z tych dzisiejszych uchodźców będzie budowało powojenną ojczyznę. A trzeci plus – wielokulturowość jako wartość. Jestem gorącym zwolennikiem tezy, którą nie wszyscy podzielają, że wielokulturowe, różnorodne społeczeństwo nie tylko jest wartością, ale też ma lepsze perspektywy rozwoju.

Małgorzata Szczepańska-Piszczyńska
m.piszczy@tygodnikprzeglad.pl



Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Samobójstwo

Nie wiemy, ile trupów jest jeszcze potrzebnych tyranowi, nie wiemy, jak się zakończy wojna rosyjsko-ukraińska, ale jedno wiemy na pewno: już nie ma Rosji. To znaczy: Rosja istnieje jako państwo, nadal ma broń jądrową, nadal też jest globalnym graczem, ale nie ma Rosji z jej entelechią, z jej wielowiekową misją, z jej uniwersalizmem. Razem z pociskami, które spadły na Kijów, umarła ruskość Rosji.

Ruskość Rosji! W Polsce często sobie z niej dworowaliśmy: jaka ruskość? Wszak to „potomek Czyngis-chana”! Ale takie właśnie było oblicze polskiej, zawsze dość prymitywnej rusofobii, naprzeciw której można było bez trudu postawić autentyczną ruskość, z językiem bliskim innym ruskim narodom, ze wspólnotą prawosławnej wiary, z identycznością korzeni sięgających Rusi kijowskiej. Nazwa „Rosja” znaczy w grece bizantyńskiej „Ruś” i jeszcze dziś zachowała się w języku rosyjskim ta zawsze niepokojąca dwuznaczność: *russkij* – to zarówno „ruski”, jak i „rosyjski”.

Przemówienia Władimira Putina i Siergieja Ławrowa były dlatego tak nikczemne, że tkwiło w nich „racjonalne jądro”, że w Ukrainie jakaś opcja prorosyjska, choćby przytłumiona po aneksji Krymu, zawsze istniała, że miała ona kilkuletnie tradycje. Zwłaszcza u ludzi narodowości rosyjskiej, ale i u rodowitych Ukraińców niezadka była orientacja na Rosję – czy to w niedawnej postaci nostalgii za ZSRR, czy to w silnej jeszcze sto lat temu opcji „moskalofilskiej” bądź „rusofilskiej”, posługującej się bliskim językowi rosyjskiemu tzw. *jazyczijem*. A *jazyczije* długo współtworzyło nie tylko piśmiennictwo ukraińskie, lecz nawet literaturę beskidzkich Łemków i jeszcze po II wojnie światowej występowało wśród Rusinów na Słowacji. Oczywiście bliskość językowa i wspólnota wiary nie miały zazwyczaj przełożenia na decyzje polityczne, jednak czasem można było próbować coś na nich zbudować, choćby to „coś” było tak anachroniczne. Bo przecież Wiktor Janukowycz dopiero dziś jest rosyjską marionetką – kiedyś (niezależnie od jego powiązań z Rosją) ukazywał po prostu inną, wschodnią i prorosyjską twarz Ukrainy. „Ruski” mit Putina nie był więc całkowicie wydumany. Ale dziś zostały z niego gruzy. Pod rosyjskimi bombami rodzi się ostatecznie *samostijna* Ukraina, a od Rosji odziała ją przepaść.

Dziwna rzecz! Przed rokiem 2022 Rosja nigdy nie napadła na Kijów. Miastem tym, zawsze ruskim, władali od XIII w. Tatarzy, od XIV w. Litwini, a od XVI w. Polacy, więc gdy w stuleciu następnym toczyła się wojna Rzeczypospolitej z Moskwą, nawet wtedy nie zorganizowano na Kijów specjalnej wyprawy. Moskwa, zazwyczaj z niesłychanym okrucieństwem, podbiła i niszczyła kolejne państwa ruskie, z Wielkim Nowogrodem i Twerem na czele, wdeptała w ziemię kozackie państwo Iwana Mazepy, ale Kijowem władała już od XVII w., toteż nie potrzebowała dokonywać nań napaści. Nawet gdy w latach 1919-1920 Kijów opanowali bolszewicy, uczynili to w trakcie wojny z... Rosją. Dopiero po latach zaczęli bolszewicy wykorzystywać rosyjską ideę imperialną.

Rosja nie mogła napaść na Kijów także dlatego, że napadłaby wtedy samą siebie. Dla Rosji Kijów był tym, czym w 882 r. był dla kniazia Olega: „matką ruskich grodów”. Napaści na Kijów mogli się dopuszczać tylko obcy, a ostatnim takim obcym był Adolf Hitler. I nie chodzi tu o skalę represji, bo Rosja jest na razie relatywnie

powściągliwa, a Hitlerowi i tak nikt nie dorówna. Chodzi o sam fakt podniesienia ręki na matkę. Na kolebkę. Na święte miasto Rusi.

A także na Słowiańszczyznę. Rosja zawsze przedstawiała się jako obrońca ludów słowiańskich. W pięknej powieści „W przededniu” Iwana Turgieniewa Rosjanka owładnięta słowiańską misją wyjeżdża z mężem Bułgarem walczyć o wolność jego ojczyzny. Dziś – czy walka Rosji o wolność innych narodów jest w ogóle do wyobrażenia? Rosja znów stała się wrogiem wolności, a zwłaszcza wrogiem wolności ruskiej i słowiańskiej. Bowiem w ataku na Kijów nie chodzi tylko o Ruś. Najnowsze ustalenia archeologów wskazują jako kolebkę Słowiańszczyzny właśnie Ukrainę: czy to Podole, czy Bukowinę, czy tereny tzw. kultury kijowskiej, trwającej tu od II do V w. To z tych ziem ruszyli niegdyś Słowianie na wszystkie niemal strony Europy.

Rosja, atakując pierwszy raz w dziejach Kijów, postawiła się jako czynnik wobec niego zewnętrzny: obcy i najeźdźca. Atakując samą siebie, zaatakowała Ruś i Słowiańszczyznę. A to znaczy, że straciła swe odwieczne atrybuty. Na oczach świata popełniła samobójstwo.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Dlaczego John Mearsheimer obwinia Stany Zjednoczone o konflikt w Ukrainie?

Kłopoty zaczęły się w 2008 r., kiedy zapowiedziano, że Ukraina i Gruzja wejdą do NATO. Rosjanie uznali to za egzystencjalne zagrożenie

Rozmawia Isaac Chotiner

1 marca 2022 r. na łamach „New Yorkera” ukazał się wywiad Isaaca Chotinera z profesorem Uniwersytetu w Chicago Johnem Mearsheimerem. Mearsheimer jest reprezentantem tzw. realizmu ofensywnego na gruncie stosunków międzynarodowych. Założenia tego stanowiska przedstawił w „Tragizmie polityki mocarstw”, swoim *opus magnum*. Dają się one streścić w kilku punktach: 1) głównymi aktorami w polityce międzynarodowej są państwa; 2) państwa działają w anarchicznym systemie, tzn. nie istnieje żaden arbiter sytuujący się ponad nimi i zdolny do zażegnania konfliktów – system anarchiczny jest przeciwieństwem systemu hierarchicznego; 3) każde państwo, niezależnie od wielkości, posiada pewien militarny potencjał ofensywny; 4) państwa nigdy nie mogą być pewne intencji innych państw, szczególnie w dłuższej perspektywie; 5) nadrzędnym celem państwa jest przetrwanie; 6) państwa są racjonalnymi aktorami. Z założeń tych wynika kilka wniosków. Po pierwsze, że państwa obawiają się siebie nawzajem (każde państwo jest w stanie zaszkodzić każdemu innemu, nie znamy intencji innych aktorów). Po drugie, że system międzynarodowy jest systemem, w którym państwa mogą liczyć wyłącznie na siebie, ponieważ nie istnieje nadrzędna władza – arbiter – która mogłaby rozstrzygać w sytuacjach kryzysowych. Po trzecie, aby przetrwać, państwo musi dążyć do uzyskania pozycji hegemonicznej, przy czym w świecie rzeczywistym możliwe jest uzyskanie hegemonii regionalnej, natomiast niemożliwe – hegemonii światowej.

Po aneksji Krymu przez Rosję w 2014 r. Mearsheimer – absolwent West Point – w sposób bezkompromisowy zaczął głosić pogląd, że to Stany Zjednoczone i, szerzej, Zachód były odpowiedzialne za ówczesny kryzys. Robił to w trakcie tournée wykładowego po całym świecie. Także w Polsce, gdzie wykład „Why the Ukraine Crisis Is the West’s Fault – Dlaczego ukraiński kryzys jest winą Zachodu” wygłosił na Uniwersytecie Jagiellońskim. Czy w świetle inwazji Rosji na Ukrainę z 24 lutego 2022 r. Mearsheimer zrewidował swoje poglądy? Odpowiedź zawarta jest we fragmentach wywiadu.



JOHN MEARSHEIMER

– amerykański politolog,
wykładowca nauk politycznych
na Uniwersytecie w Chicago

Patrzając na obecne stosunki między Rosją a Ukrainą, w jaki sposób znaleźliśmy się w miejscu, w którym jesteśmy?

– Sądzę, że kłopoty rozpoczęły się w kwietniu 2008 r. na szczycie NATO w Bukareszcie, na którym zostało powiedziane, że Ukraina i Gruzja staną się członkami paktu. Rosjanie dali wtedy jasno do zrozumienia, że postrzegają to jako zagrożenie egzystencjalne i uznali za nieprzekraczalną linię. Jednak proces włączania Ukrainy w orbitę oddziaływania Zachodu nie został zahamowany. W dalszym ciągu chciano zrobić z niej zachodni bastion na granicy z Rosją. Oczywiście oznaczało to więcej aniżeli rozszerzenie NATO. Rozszerzenie paktu leży w centrum strategii, ale zakłada ona również rozszerzenie Unii Europejskiej i przekształcenie Ukrainy w proamerykańską demokrację liberalną. Z perspektywy Rosji jest to zagrożenie egzystencjalne.

Mówi pan o „przekształcaniu Ukrainy w proamerykańską liberalną demokrację”. Nie mam zbytniego zaufania do „przekształcania” miejsc na świecie w liberalne demokracje przez Amerykę. Co jednak, jeśli Ukraina, ukraińscy obywatele pragną żyć w proamerykańskiej liberalnej demokracji?

– Jeśli Ukraina chciałaby się stać proamerykańską liberalną demokracją, a także członkiem NATO i Unii Europejskiej, Rosjanie uznaliby to – bez najmniejszej wątpliwości – za rzecz nie do zaakceptowania. Być może Rosjanie mogliby się pogodzić z Ukrainą jako liberalną demokracją zaprzyjaźnioną z USA i, szerzej, z Zachodem, o ile nie wiązałoby się to z jej przystąpieniem do NATO i Unii. Musi pan zrozumieć, że w grę wchodzi tutaj trzytorowa strategia: rozszerzenie Unii Europejskiej, rozszerzenie NATO oraz przekształcenie Ukrainy w proamerykańską demokrację liberalną. **Powtarza pan frazę o „przekształcaniu Ukrainy w liberalną demokrację”, ale wydaje się, że jest to kwestia, co do której sami Ukraińcy mogą decydować. NATO może decydować o tym, kogo przyjmuje, jednak w 2014 r. wiedzieliśmy, że wielu Ukraińców chciało być uważanych za część Europy. Mówienie**



Ukraińcom, że nie mogą sami zdecydować, czy być, czy nie być liberalną demokracją, jawi się jako rodzaj imperializmu.

– Nie jest to imperializm, lecz polityka mocarstwowa. Jeśli żyjesz w kraju takim jak Ukraina i twoim sąsiadem jest mocarstwo takie jak Rosja, musisz zwracać baczną uwagę na to, co Rosjanie myślą, ponieważ jeśli weźmiesz kij i wetkniesz im go w oko, nie puszczą tego płazem. Państwa na półkuli zachodniej dobrze to rozumieją w odniesieniu do Stanów Zjednoczonych.

Doktryna Monroe.

– Naturalnie. Nie ma państwa na półkuli zachodniej, któremu [my, Amerykanie – P.K.] pozwolilibyśmy na sprowadzenie do tegoż państwa sił militarnych odległego mocarstwa. (...) W przypadku Ukrainy rzeczą istotną jest, aby zrozumieć, że do 2014 r.

bądź restytucja Związku Radzieckiego. Nie widzę jednak w tym momencie dowodów na potwierdzenie tego. Patrzając na mapę rozwijającego się konfliktu, trudno dokładnie stwierdzić, do czego Putin zmierza. Wydaje się jednak jasne, że weźmie Donbas, że Donbas stanie się albo dwoma niezależnymi państwami, albo jednym państwem, lecz poza tym nie wiadomo, co on zamierza zrobić. To znaczy, wydaje się dość oczywiste, że nie jest zainteresowany zachodnią Ukrainą. (...) Będzie chciał także zainstalować w Kijowie prorosyjski rząd, rząd biorący pod uwagę interesy Rosji. (...) Być może zresztą Rosjanie będą skłonni żyć z neutralną Ukrainą i nie będzie konieczne, aby Moskwa miała jakąś znaczącą kontrolę nad władzami w Kijowie. Możliwe, że chcą po prostu reżimu neutralnego, nie proamerykańskiego.

Mearsheimer jest reprezentantem tzw. realizmu ofensywnego na gruncie stosunków międzynarodowych.

rozszerzenie NATO i UE nie było polityką wymierzoną w powstrzymanie Rosji. (...) Rozszerzenie NATO, Unii Europejskiej i przekształcenie Ukrainy, Gruzji i innych krajów w liberalne demokracje miało stworzyć wielką strefę pokoju obejmującą Europę Wschodnią i Zachodnią. (...) Wywołało jednak potężny kryzys i musieliśmy przypisać komuś za niego winę. Rzecz jasna, nigdy nie przypisujemy winy sobie. Przypisaliśmy ją Rosjanom. Wymyśliliśmy zatem tę historię, że Rosja była nastawiona na agresję w Europie Wschodniej, że Putin pragnie stworzyć wielką Rosję, a może nawet odtworzyć Związek Radziecki. (...) Trudno powiedzieć, czy Putin obecnie zamierza zająć całą Ukrainę, potem zaś miałby się zwrócić ku państwom bałtyckim, a jego celem jest stworzenie wielkiej Rosji,

Najeżdżając Ukrainę, Putin powiada, że Ukraińcy są zasadniczo wymyślonym narodem.

– (...) Tak, on wierzy, że jest to wymyślony naród. Zwróciłbym mu jednak uwagę, że wszystkie narody są wymyślone. Każdy student zgłębiający zagadnienie nacjonalizmu tak powie. Koncepcje tożsamości narodowej są naszymi wymysłami. Są wypełnione różnego rodzaju mitami. Putin ma zatem rację co do Ukrainy, podobnie jak ma rację co do USA czy Niemiec. Kwestią znacznie ważniejszą jest to, że rozumie on, iż nie może podbić Ukrainy i przyłączyć jej do wielkiej Rosji czy byłego Związku Radzieckiego. Nie jest w stanie tego zrobić. To, co robi on w odniesieniu do Ukrainy, jest czymś diametralnie innym. (...) Zamierza odebrać jej część terytorium, oprócz odebranego już ▶

► w 2014 r. Krymu. Ponadto chce dokonać zmiany rządu. Trudno coś więcej tutaj powiedzieć, oprócz tego, że nie jest jego intencją podbić całą Ukrainę. Byłby to błąd kolosalnych rozmiarów. (...) Aby móc podbić takie państwa jak Ukraina, państwa bałtyckie i odwrócić ZSRR i dominację w Europie Wschodniej, trzeba mieć podstawy ekonomiczne, do których współczesna Rosja nawet się nie zbliża. Nie ma powodów do obaw, że Rosja stanie się regionalnym hegemonem

pracować nad stworzeniem przyjaznych stosunków z Rosjanami. Rosjanie są częścią koalicji równoważącej potęgę Chin. Jeśli żyjesz w świecie, w którym są trzy mocarstwa – Chiny, Rosja i USA – i jedno z tych mocarstw, Chiny, rzuca ci wyzwanie i jest równorzędnym przeciwnikiem, to chcesz mieć Rosję po swojej stronie. Zamiast tego naszą głupią polityką w Europie Wschodniej wypychamy Rosjan w ramiona Chińczyków. Jest to pogwałcenie zasad równowagi sił.

rozważaniami natury moralnej. Byłoby wspaniale, gdyby Ukraińcy mogli samodzielnie wybrać swój system polityczny i prowadzić własną politykę zagraniczną. Tak byłoby w idealnym świecie. W świecie rzeczywistym jest to jednak niemożliwe. Żywoćny interes Ukraińców leży w baczym zwracaniu uwagi na to, czego oczekują od nich Rosjanie. Narażają się na poważne ryzyko, jeśli w sposób zasadniczy zrażają ich sobie. Jeśli Rosja dochodzi do wniosku, że Ukraina stanowi dla niej egzystencjalne zagrożenie, ponieważ sprzymierza się ze Stanami Zjednoczonymi i ich sojusznikami w Europie Zachodniej, przyniesie to

Ukrainie nieprawdopodobne szkody. Właśnie to dzieje się teraz na naszych oczach. Twierdzą zatem, że mądra strategia dla Ukrainy polegałaby na rozluźnieniu jej bliskich stosunków z Zachodem, szczególnie ze Stanami Zjednoczonymi, i próbie wyjścia naprzeciw oczekiwaniom Rosji. Jeśli by nie podjęto decyzji o przesunięciu NATO na wschód i włączeniu do niego Ukrainy, Krym i Donbas byłyby nadal jej częścią i w Ukrainie nie byłoby teraz wojny.

Tego typu rady wydają się obecnie trudne do wykorzystania. Czy ciągle jest czas, aby Ukraińcy mogli dojść do porozumienia z Rosjanami w świetle tego, co się dzieje?

– Myślę, że jest możliwe, aby Ukraińcy wypracowali jakiś rodzaj *modus vivendi* z Rosjanami. Sądzę tak dlatego, że ci ostatni odkrywają teraz, iż okupowanie Ukrainy i prowadzenie ukraińskiej polityki [w zastępstwie samych Ukraińców – P.K.] nie jest niczym innym jak popadnięciem w wielkie kłopoty.

Powiada pan zatem, że okupowanie Ukrainy będzie niezwykle trudne?

– Zdecydowanie tak i dlatego powiedziałem, że na dłuższą metę Rosjanie nie będą Ukrainy okupować. Ale, żeby było jasne, powiedziałem też, że zamierzają odebrać Ukrainie co najmniej Donbas i miejmy nadzieję, że żadnych innych obszarów wschodniej Ukrainy. Uważam, że Rosjanie są zbyt sprytni, aby dać się uwikłać w okupację Ukrainy.

Możliwe jest, aby Ukraińcy wypracowali jakiś rodzaj *modus vivendi* z Rosjanami. Okupowanie Ukrainy oznacza wielkie kłopoty.

w Europie. Rosja nie stanowi poważnego zagrożenia dla Stanów Zjednoczonych. Stajemy w obliczu takiego zagrożenia w systemie międzynarodowym. Mamy równorzędnego konkurenta, ale są nim Chiny. Nasza polityka w Europie Wschodniej osłabia naszą zdolność stawiania czoła największemu zagrożeniu, z jakim mamy obecnie do czynienia.

Jak powinna wyglądać teraz nasza polityka wobec Ukrainy i dlaczego martwi się pan, że to, co robimy, podkopuje naszą politykę wobec Chin?

– Po pierwsze, powinniśmy wycofać się z Europy, aby uporać się z Chinami. Po drugie, powinniśmy zacząć

(...) Ciekawi mnie, co pan sądzi o moralnym wymiarze tego, co dzieje się teraz na Ukrainie.

– Myślę, że prawie każdy problem w sferze polityki międzynarodowej ma wymiar zarówno strategiczny, jak i moralny. (...) Jeśli sprzymierzasz się ze Związkiem Radzieckim, aby walczyć z nazistowskimi Niemcami, to ze strategicznego punktu widzenia jest to mądra polityka. Jednak z moralnego punktu widzenia jest to polityka nie do zaakceptowania. Wybierasz ją z powodów strategicznych, bo nie masz wyjścia. Chcę powiedzieć, że gdy zostajesz przyparty do muru, rachuby natury strategicznej biorą górę nad



Z Galicji



Jan Widacki

Polska wieś spokojna?

Wojna w Ukrainie i ponad milion uchodźców z tego kraju na chwilę kazały nam zapomnieć o Pegasusie, Izbie Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, pseudo-KRS, niewyegzekwowanych wyrokach TSUE, wstrzymaniu wypłat z Unii Europejskiej...

Zapomnieliśmy nawet na chwilę o murze budowanym w poprzek Puszczy Białowieskiej, a tym bardziej o tym, że stracił on właśnie wszelki sens. Nawet o pandemii, zdaje się, zapomnieliśmy.

Na razie o tym nie mówimy, ale przecież to wszystko istnieje, wraz z wynikającymi z tego problemami. Co będzie, gdy opadnie kurz bitewny? A on przecież kiedyś opadnie. Czy w świadomości polskiego społeczeństwa, szczególnie w świadomości klasy politycznej, utrwali się ta „oczywista oczywistość”, że gwarantem naszej suwerenności i naszego bezpieczeństwa są jednak NATO i Unia Europejska?

Czy przebiję się ta prosta prawda, że wszelkie działania osłabiające obie wspólnoty godzą w podstawy naszej racji stanu? Czy będziemy się domagali od europejskiej wspólnoty, by pomogła nam w relokacji ukraińskich uchodźców i ich utrzymaniu? Czy będziemy się domagali solidarności, której nie tak dawno z taką dumą odmówiliśmy Włochom, Grekom i Niemcom?

Wojnę na razie oglądamy jedynie na monitorach komputerów czy ekranach telewizorów. Jak dotąd dotykają nas, zrazu mało boleśnie, rosnące ceny paliw na stacjach benzynowych. Tym, że ceny paliw (i wszystkie ceny energii!) wkrótce przełożą się na ogólny wzrost cen, mało kto jeszcze się martwi.

Polskie życie toczy się nadal swoim trybem. Właśnie jeden z profesorów prawników został powołany na stanowisko sędziego Sądu Najwyższego. Nie przeszkadzało mu, że to z rekomendacji neo-KRS, że tak właściwie został nie sędzią, ale – jak się mówi w środowisku prawniczym – neosędzią. Pochwalił się nominacją na Facebooku. Napisał o tym po polsku i angielsku. Złośliwi mówili, że po to, by Joe Biden się dowiedział i pogratulował. Paru słabiej zorientowanych lizusów pośpieszyło z gratulacjami. Ale szybko, po kilku głosach prawniczych autorytetów, wyrażających jeśli nie oburzenie, to co najmniej zażenowanie, świeżo nominowany neosędzia zablokował możliwość umieszczania kolejnych komentarzy.

Nawet Joe Biden z gratulacjami chyba nie zdążył. Muszą więc nominatowi wystarczyć gratulacje od prezydenta Dudy i ministra Ziobry.

W kręgu znajomych nominatów mruży oko i daje do zrozumienia, że oszukał władzę, że wślizgnął się do Sądu Najwyższego jako kolejne wcielenie Konrada Wallenroda, a poza tym, gdyby on nie starał się o to stanowisko, zajęłby je przecież ktoś gorszy. Oj, znamy takie tłumaczenie od lat. Mógłby to stanowisko zająć ktoś gorszy? A co gorszego może zrobić prawnik?

Co wart jest prawnik, który nie widzi niekonstytucyjności Krajowej Rady Sądownictwa w jej obecnym, upolitycznionym składzie? Co wart jest prawnik, który nie respektuje wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej? Co wart jest prawnik, który w polskim

Czy przebiję się ta prosta prawda, że wszelkie działania osłabiające Unię i NATO godzą w podstawy naszej racji stanu?

sporze o praworządność staje po stronie Ziobry, Przyłębskiej czy Manowskiej? Co wart jest prawnik, który dla wątpliwej kariery gotów jest sprzeniewierzyć się konstytucyjnym wartościom?

Pamiętam, jak jeszcze niedawno nasz bohater, będąc jedynie profesorem uczelnianym i nie mogąc się doczekać naukowego tytułu profesorskiego, w podpisie, po skrócie prof., do którego nie miał prawa, dodawał sobie literkę n. Skróć od nadzwyczajny. Skróć, który sam sobie wymyślił, niewielki, mało widoczny, nieregulaminowy. Mając takie doświadczenie, teraz przed tytułem sędziowskim też powinien dopisywać literkę n. Tym razem skróć od neo. Neosędzia.

Kiedyś Stefan Kisielewski twierdził, że nieszczęściem jest nie to, że znaleźliśmy się w d... ale to, że zaczynamy się w niej urządzać. Urządzającym się w d... trzeba przypomnieć także słowa Zagłoby, że i „usiedzieć tam trudno, a i wychodzić niepolitycznie”. Ale jeśli ktoś się znalazł w d... z własnej woli? Niech sobie siedzi. Musi jednak liczyć się z tym, że kiedyś będzie musiał stamtąd wychodzić. Niepolitycznie...

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Marek Czarkowski

Codziennie jesteśmy bombardowani wieściami z frontu pod Kijowem i Charkowem czy z przejść granicznych w Hrebennem lub Medyce. Mniej interesują nas informacje z kto wie czy nie ważniejszego obszaru działań wojennych – gospodarki. Bo konflikty zbrojne wygrywają nie żołnierze, ale fabryki, banki, firmy wydobywające surowce energetyczne, produkujące paliwa, leki, amunicję i wszystko to, co niezbędne do zwycięstwa. Skutki gospodarcze każdej wojny są zaś długotrwałe i trudne do przewidzenia. Cena, jaką płać zwycięzcy i pokonani, jest tym wyższa, im bardziej rozwinięte są państwa zaangażowane w konflikt.

Dziś Polska na ukraińskim froncie prezentuje się dziarsko. Przyjmujemy uchodźców, dostarczamy Ukrainie broń, a nawet jesteśmy gotowi przekazać Amerykanom nasze myśliwce MiG-29. I nie zastanawiamy się, co czeka nas za kilka miesięcy.

Ciężki czas dla kredytobiorców

Polski Instytut Ekonomiczny, będący zapleczem eksperckim rządu Mateusza Morawieckiego, szacuje, że inflacja w kwietniu przekroczy 10%. I to mimo działania tarcz antyinflacyjnych. Podobnie ma być w kolejnych miesiącach, choć PIE zakłada, że średnioroczna inflacja w roku 2022 wyniesie 8,8%. To bardzo optymistyczne założenie.

Przed wybuchem wojny w Ukrainie Komisja Europejska szacowała, że inflacja nad Wisłą sięgnie 6,8%. Teraz przyjdzie jej mocno zmienić prognozy. Inne ośrodki eksperckie także zakładają, że inflacja będzie wyższa niż 10%. Należy zaznaczyć, że gdy przekracza ona ten poziom, bardzo trudno nad nią zapanować. Jak to się robi, pokazał na początku lat 80. XX w. prezes Rezerwy Federalnej USA Paul Volcker, który w 1981 r. przy inflacji na poziomie 11,8% podniósł stopy procentowe do 22,36%, co wywołało w Stanach Zjednoczonych głęboką recesję i bezrobocie. W 1982 r. sięgnęło ono 10,8% i było najwyższe od czasów wielkiego kryzysu.



W ubiegłym tygodniu cena litra oleju napędowego sięgnęła prawie 8 zł, cena litra benzyny zbliżyła się do 7 zł.

Cena wojny

Ekonomiczna konfrontacja z Rosją będzie bolesna

Na identyczny ruch zdecydowała się prezes Banku Centralnego Rosji Elwira Nabiullina, która 28 lutego br. podniosła stopy procentowe z 9,5% do 20%, chcąc powstrzymać gwałtowny upadek rubla i nie dopuścić do wybuchu galopującej inflacji.

Dlatego należy się spodziewać, że w kolejnych miesiącach Rada Polityki Pieniężnej będzie podnosiła stopy procentowe, próbując wyhamować niekontrolowany wzrost cen. W ubiegłym tygodniu podniosła je do 3,5%. Jednocześnie Komisja Nadzoru Finansowego wydała bankom zalecenie, którego celem jest obniżenie ryzyka kredytowego. O co chodzi? Ocenia się, że jeśli dziś miesięczna rata od 400 tys. zł kredytu mieszkaniowego wynosi ok. 2,5 tys. zł, to po wprowadzeniu przez banki wspomnianego zalecenia KNF potencjalny kredytobiorca powinien wykazać dochód pozwalający mu na spłatę raty w wysokości 4 tys. zł miesięcznie. Najwyraźniej Komisja zakłada takie podniesienie stóp procentowych

NBP, że oprocentowanie tych kredytów wzrośnie niemal dwukrotnie! Oczywiście wzrośnie oprocentowanie wszystkich kredytów. Powiedzieć w związku z tym, że polska gospodarka zderzy się ze ścianą, to nic nie powiedzieć.

Coraz droższy bak

W ubiegłym tygodniu cena litra oleju napędowego na niektórych stacjach paliw sięgnęła 8 zł; cena litra benzyny zbliżyła się do 7 zł, a wkrótce pewnie przekroczy 8 zł. Stanie się tak nie tylko z powodu wzmożonego popytu na paliwa, ale też przez słabnięcie złotego wobec dolara i euro.

Coraz szerzej rozchodzą się plotki, że Polska zaopatruje Ukrainę w benzynę i olej napędowy. Do wybuchu wojny 80% sprzedawanych w tym kraju paliw pochodziło z dwóch rafinerii białoruskich, w Możyżu i Nowopołocku, oraz rafinerii rosyjskich. Trudno sobie wyobrazić, by dziś Białorusini i Rosjanie nadal handlowali z Ukraińcami

paliwem. A przecież ukraińskie czołgi, transportery opancerzone i ciężarówki wojskowe muszą na czymś jeździć. Dostawy paliw z Polski dla walczącej ukraińskiej armii wydają się logicznym rozwiązaniem.

Wiadomo, że w tym roku cena baryłki ropy znacząco wzrośnie. Ostatnio analitycy banku Goldman Sachs ostrzegali, że w przypadku ropy Brent może sięgnąć 175 dol. Bank JPMorgan Chase & Co. prognozuje, że przy zakłóceniu dostaw z Rosji baryłka może kosztować 185 dol. Według danych ICE Futures Europe w ubiegłym tygodniu zawarto co najmniej 200 umów na opcje kupna majowych kontraktów *futures* na ropę Brent po cenie 200 dol. za baryłkę. Jeśli ceny ropy rzeczywiście tak wzrosną, litr benzyny może kosztować ponad 10 zł. Będzie to miało dramatyczny wpływ na wysokość cen wszystkich towarów i usług.

Niemcy dobrze wiedzą, co się święci. 8 marca minister spraw zagranicznych Annalena Baerbock w programie Bild Live powiedziała, że natychmiastowe wstrzymanie importu rosyjskiej ropy wywołałoby chaos na ulicach i uniemożliwiło komunikację. – Gdybyśmy natychmiast wstrzymali import, następnego dnia nie byłibyśmy w stanie poruszać się po Niemczech – dodała.

Trudno się dziwić. Jedna trzecia importowanej przez Niemcy ropy naftowej pochodzi z Rosji. Dlatego Zachód, choć gardłuje o sankcjach, robi, co może, by wojna jak najszybciej się skończyła. Boi się, że przyparty

tankowiec z 725 tys. baryłek rosyjskiej ropy. Ekstrazarobek wyniósł ponad 20 mln dol. Koncern kajał się ile wlezie, lecz nikt się nie łudzi, że był to wypadek przy pracy. Shell nadal będzie sprowadzał rosyjską ropę, tyle że dyskretniej.

28 lutego, cztery dni po wybuchu wojny, PKN Orlen kupił 700 tys. baryłek rosyjskiej ropy Ural z dostawą do jednego z litewskich portów. W tym samym czasie premier Mateusz Morawiecki namawiał zachodnich polityków do rezygnacji z zakupów surowców energetycznych w Rosji. Wiedział, że bezpieczeństwo energetyczne naszego kraju jest większe niż sąsiadów. Mamy własne złoża gazu

Jeśli dziś rata od 400 tys. zł kredytu mieszkaniowego wynosi ok. 2,5 tys. zł, to w przyszłości może dojść do 4 tys. zł.

ziemnego, mamy węgiel kamienny, ropę naftową możemy sprowadzić z Arabii Saudyjskiej i innych kierunków. Będzie drogo, ale przetrwamy. A Niemcy i inne kraje pogrążą się w kryzysie.

Problemem jest sytuacja polskich rolników. Uderzają w nich rosnące ceny nie tylko oleju napędowego, ale i nawozów sztucznych. Wpływ na to mają ceny gazu, które biją kolejne historyczne rekordy. Tona saletry amonowej, do produkcji której niezbędny jest gaz ziemny, kosztuje dziś 6,1 tys. zł, a może kosztować 8 tys. czy nawet 10 tys. zł. W ubiegłym roku trzeba było za nią zapłacić ok. 3 tys. zł, a dwa lata temu 1,2 tys.

Tona saletry amonowej kosztuje dziś 6,1 tys. zł, w ubiegłym roku trzeba było zapłacić za nią ok. 3 tys. zł.

do muru Kreml zakręci kurki z gazem i ropą i wywoła niewyobrażalny kryzys. Rosja pójdzie na dno, ale pociągnie za sobą innych.

Żywność jeszcze podrożeje

Mimo gromkiego potępienia Putina wielkie koncerny nadal chcą robić interesy z Rosją. Ostatnio na gorącym uczynku przyłapano Shella. Okazało się, że brytyjsko-holenderski koncern kupił po wybitnie promocyjnej cenie

Wkrótce zapłacimy więcej za podstawowe produkty spożywcze. Jeśli nie zabraknie ich na półkach. W okolicach Lublina, Przemyśla, Rzeszowa już odnotowano w sklepach braki cukru, niektórych kasz, olejów, mąki itp. Gdyby sytuacja się pogorszyła, rząd może wprowadzić ceny urzędowe, a w skrajnym przypadku kartki, jak w stanie wojennym. Choć w gruncie rzeczy stan wojenny już mamy.

Pojawiły się problemy z dostępem do niektórych leków. Naczelną Izba

Aptekarska informowała o wzmożonym popycie na popularne farmaceutyki przeciwbólowe i przeciwgorączkowe oraz środki opatrunkowe. Przybywającym do nas uchodźcom trzeba będzie zapewnić leki przeciwcukrzycowe, te stosowane przy astmie oskrzelowej oraz przeciwzakrzepowe, by wymienić tylko najważniejsze. Część z nich importujemy, więc podrożeją. I może ich zabraknąć.

Straty polskich firm

Warto sobie uświadomić, że już jesteśmy państwem frontowym. Każdego dnia tracimy miliardy złotych. Na dokładne rachunki jeszcze

przyjdzie czas. Szeroko otworzyliśmy granice dla uchodźców z Ukrainy. Lecz obywatelska ofiarność nie zastąpi dobrze zorganizowanej i systematycznej pomocy rządowej. A to oznacza kolejne wydatki. Pół miliarda euro, które na początek zadeklarowała Komisja Europejska, to kropla w morzu potrzeb, ale podziękujemy i za to. Wprowadzone przez Zachód sankcje z pewnością potężnie uderzą w Rosję. Lecz i ona ma zamiar odpowiedzieć własnymi sankcjami.

Niektóre polskie firmy już poniosły straty. W Ukrainie działało 2486 polskich firm, m.in. Cersanit, Barlinek, Wielton, Wawel, a także PKO BP, który kupił akcje Kredobanku. Ich obroty przekraczały miliard euro. W sytuacji wojny zapewne zlikwidują swoją działalność w tym kraju. Grupa LPP, właściciel takich marek jak Reserved, Cropp czy House, która już zawiesiła działalność 157 swoich sklepów, oszacowała stratę na 270 mln zł.

W Rosji z kolei działa ponad tysiąc polskich firm. Teraz będą zamykać zakłady, zwalniać pracowników i wycofywać się z tamtejszego rynku. Straty sięgną miliardów złotych.

Nie wiemy, jaka czeka nas przyszłość. Jak zniesiemy ekonomiczną konfrontację z Rosją. Na razie zstępujemy do piekieł.

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Czarna Pantera nad Wisłą

Koreańska zbrojeniówka ma dla nas ciekawą ofertę.
W MON patrzą na nią coraz przychylniej

Marcin Ogdowski

Wbrew rządowej propagandzie zeszłoroczna decyzja o zakupie w Stanach Zjednoczonych 250 czołgów Abrams nie rozwiąże podstawowych problemów militarnych Polski i nie przełoży się na korzyści gospodarcze. W krótkim czasie sprawi, że jedna trzecia sił pancernych Wojska Polskiego zyska miano bardzo nowoczesnych, lecz stanie się to za zawrotną sumę 23 mld zł (a niewykluczone, że 25-27, biorąc pod uwagę osłabienie złotówki). W efekcie o dalszej wymianie sprzętu może już nie być mowy, bo budżet państwa nie jest z gumy, a potrzeby całych sił zbrojnych są ogromne. Co więcej, abramsy to kolejny pisowski pomysł na modernizację wojska, który nie uwzględnia interesów rodzimego przemysłu obronnego. Z tą różnicą, że o ile w przypadku innego kosztownego kontraktu, na wyrzucenie Patriot, zagwarantowano Polsce przynajmniej minimalny offset, o tyle za czołgami nie pójdą żadne transfery technologii ani zlecenia. Możemy pomarzyć o „polonizacji” abramsów – w zakresie remontów, unowocześnień, zakupu części zamiennych, a niewykluczone, że i amunicji (!), będziemy całkowicie zależni od Amerykanów. Jak to obrazowo ujął jeden z oficerów, „nasza będzie tylko wkładka mięsna”.

Na domiar złego sami nie jesteśmy w stanie stworzyć nowoczesnego czołgu. – Za pierwszego PiS, na przełomie 2005 i 2006 r., zarzucano rozwój rzekomo nieperspektywicznych poradzieckich wozów z rodziny T – przypomina Bartłomiej Kucharski z magazynu „Wojsko i Technika”. – Dla branży pancernej oznaczało to rychłą utratę zdolności konstrukcyjnych i produkcyjnych. Nie



K2 jest konstrukcją znacznie nowszą niż amerykański Abrams.

we wszystkich zakresach, czego dowodem może być udany transporter opancerzony Borsuk. Nie zmienia to faktu, że układ napędowy i uzbrojenie głównego czołgu to obszary, w których nie mamy dziś niemal żadnych kompetencji. A bez tego ani rusz.

Niższe koszty i zarobek

Obumarcie pancernej zbrojeniówki wydaje się zatem nieuchronne – nie da się bowiem ciągnąć w nieskończoność remontów zajęchanych T-72, a i modernizacja poniemieckich leopardów wkrótce dobiegnie końca. Sposobem na zahamowanie tego procesu mógłby być zakup gotowego czołgu, wraz z licencją na jego produkcję. Już od jakiegoś czasu takie rozwiązanie oferuje Polsce południowokoreański Hyundai Rotem, producent czołgu K2 Black Panther (ang. Czarna Pantera). Licencyjny K2 – roboczo nazwany K2PL – różniłby się od oryginału, ale wciąż byłby najnowocześniejszym czołgiem na

świecie. Niestety, byłby też najdroższy, z ceną przekraczającą 10 mln dol. za sztukę. Czy przy takich kosztach gra warta byłaby świeczki?

Wdrożenie nowego czołgu niosłoby ze sobą konieczność pozbycia się maszyn T-72 i ich zmodernizowanej wersji PT-91 Twardy (w sumie ponad 500 szt.). W dalszej kolejności oznaczałoby także wycofanie z linii leopardów – zbyt wiele typów wozów utrudnia działania służb logistycznych i mnoży koszty. Przy 250 posiadanych abramsach (co ma nastąpić do 2026 r.) pozostałe potrzeby WP to nieco ponad 500 czołgów, plus dodatkowe 250, jeśli chcielibyśmy dysponować przyzwoitymi rezerwami.

– Armia Korei zamówiła dotąd 260 maszyn K2 – wylicza Kucharski. – Sporo jak na jeden kraj, ale za mało, żeby zbić cenę jednostkową. Budowa następnych kilkuset maszyn, przy założeniu, że w Polsce musiałaby powstać kolejna linia produkcyjna, też pewnie cudów by nie

uczyniła. Ale Hyundai, przy mocnym wsparciu koreańskiego rządu, idzie znacznie szerszą tawą. Czołg oferowany jest aktualnie m.in. Norwegii i Egipcowi, gdzie skala zamówienia wręcz wymusiłaby uruchomienie licencji. A im więcej wyprodukowanych wozów, tym będą tańsze. Ponadto zwróćmy uwagę na koszty pracy, niższe w Polsce niż w Korei, no i wymierne efekty przyszłej polonizacji. Polskie podzespoły byłyby tańsze od koreańskich. Docelowo zaś moglibyśmy na K2 zarabiać, gdyby nasza licencja obejmowała pozwolenie na eksport. Koreańczycy i takiej opcji nie wykluczają.

Lepszy od rosyjskich

W czym zatem – poza koniecznością zainwestowania kilku (kilkunastu?) miliardów dolarów – tkwi haczyk? Otóż K2PL jeszcze nie istnieje. K2 zaś nie został zaprojektowany do działań w warunkach Europy Środkowo-Wschodniej. Płaski, nizinny teren wymaga silnego opancerzenia, tymczasem oryginalny K2 może się pochwalic w miarę solidnym wzmocnieniem tylko frontu kadłuba i wieży. Boki maszyny chronią stalowe płyty o znacznie gorszych parametrach (osłonięte dodatkowo pancerzem reaktywnym). To rzecz jasna da się zmienić, ale skutkiem będzie wzrost masy, uchodzącej dotąd za jeden z atutów K2 (czołg waży 56 ton, dla porównania Abrams nawet 72). No i przeróbki wymagają czasu. Ze słów gen. Eui-Seong

– W tej fazie przeprowadzono by również cały cykl szkoleń dla pracowników z Polski – wyjaśnia Bartłomiej Kucharski. – Finalny etap to uruchomienie produkcji seryjnej w kraju.

– W przeciwieństwie do innych państw, takich jak Stany Zjednoczone czy Niemcy, jesteśmy gotowi na transfer technologii wojskowych do polskiego przemysłu – zapewniał dziennikarzy w Kielcach gen. Lee. I obiecywał: – Jeżeli będziemy rozwijać K2PL wspólnie, program ten będzie finansowany za pomocą kredytu przez Republikę Korei i państwowy bank KOEXIM.

„pójście w Abramsa”, przy założeniu, że pieniądze jakoś się znajdą, oraz „koreańczyk na licencji” (i na kredyt). Zwolennicy obu mają dostęp do uszu wpływowych polityków PiS. Kto zwycięży? Z nieoficjalnych informacji wynika, że MON zamierza jeszcze wiosną tego roku ogłosić „przełomowy program dotyczący rozwoju zdolności pancernych Wojska Polskiego”.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że Abrams to platforma z lat 80. XX w. Zdaniem specjalistów jej potencjał modernizacyjny wyczerpie się za kilkanaście lat. Ujawnia to ewidentną przewagę młodszego

Wiceprezes spółki Hyundai Rotem zapewniał, że Koreańczycy są gotowi na transfer technologii wojskowych do polskiego przemysłu.

Jego słowa należy traktować jako marketingową zachętę, ale... Z drugiej strony, jak przyznaje Kucharski, K2 jest wozem praktycznie pod każdym względem lepszym od rosyjskich czołgów.

Koło ratunkowe

Niezależnie od zakłęb pseudoekspertów od geopolityki pancerne kolosy pozostają podstawą lądowych arsenałów szanujących się armii. Dla Polski, z jej położeniem i geografii, posiadanie sił pancernych to oczywista oczywistość. Co ciekawe, w środowisku wojskowym już nie dyskutuje się o pozyskaniu następnych niemieckich leopardów – ta perspektywa „umarła” wraz z decyzją

o zakupie Abramsów. Mundurowi realnie oceniają bieżące możliwości zbrojeniówki, nikt więc nie marzy o polskim Wilku (jak miałby się nazywać nowy czołg) ani nawet o przyzwoitej modernizacji maszyn z rodziny T – jak robią to Rosjanie, co w przypadku Polaków pozwoliłoby przesunąć konieczność zakupu nowych maszyn o kilkanaście lat. Tak naprawdę w tej chwili na stole leżą tylko dwie opcje – dalsze

K2, na bazie którego już dziś prowadzone są prace konstrukcyjne dla wozu kolejnej generacji (K3 z bezzałogową wieżą). A dodajmy do tego korzyści ekonomiczne i społeczne, wynikające z uruchomienia produkcji licencyjnej. I choć w tym momencie części z nas może się zapalić czerwona lampka – bo przecież nieudany mariaż żerańskiego FSO z koreańskim Daewoo dobił polską motoryzację – to w zakresie produkcji zbrojeniowej mamy dobre doświadczenia. W 2014 r. Huta Stalowa Wola podpisała z firmą Samsung Techwin umowę na produkcję i „polonizację” 120 podwozi typu K9 do armatohaubic Krab. Koreańczycy zobowiązali się do wyprodukowania 36 sztuk (do 2022 r.), pozostałe powstaną na licencji w Polsce. Kraby sukcesywnie wzmacniają pułki artylerii WP, ale kłopoty z pierwotnym podwoziem, polskiej konstrukcji, niemal doprowadziły do skasowania całego projektu. Próby partii wdrożeniowej krabów z 2013 r. wykazały wady układu napędowego i przeniesienia mocy. K9 okazał się wtedy kołem ratunkowym dla polskiej artylerii. Czy K2 uratuje polskie wojska pancerne?

Za czołgami Abrams nie pójda żadne transfery technologii ani zlecenia.

Lee, jednego z wiceprezesów spółki Hyundai Rotem, który w ubiegłym roku gościł na targach obronnych w Kielcach, ewentualny program K2PL byłby podzielony na trzy fazy, trwające łącznie kilka lat. W pierwszej powstałby prototyp K2PL. Druga obejmowałaby produkcję niewielkiej liczby czołgów w zakładach Hyundai Rotem w Korei oraz produkcję partii wozów w wersji do nauki jazdy.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Jak się bronić przed manipulacją?

Szukając rzetelnej informacji, warto śledzić te media, które czerpią wiedzę od swoich reporterów w strefie konfliktu

Rozmawia Beata Igielska

Czy lubimy wysiłek poznawczy, skoro tak łatwo dajemy się wkręcać, np. w fake newsy?

– W największym uproszczeniu: człowiek może przetwarzać informacje na dwa sposoby. Szybko, bezwysiłkowo, opierając się na znanych skryptach, schematach działania. Wtedy dzieje się to płynnie, towarzyszą temu pozytywne emocje i poczucie łatwości przetwarzania. Ale możemy też przejść na tryb bardziej wymagający. Amerykański psycholog Norbert Schwarz wykazał, że jeśli np. poprosimy ludzi o przeczytanie fragmentu tekstu, który jest napisany czcionką dobrze znaną, typu Arial, czyli łatwo nam coś przeczytać, rzutuje to na treść przeczytanej informacji. Przykładowo jeżeli informacja o leku i jego skuteczności wydrukowana jest czcionką łatwą do przeczytania, uznamy, że lek jest bardziej skuteczny, a jeśli czcionka jest trudna do odczytania, lekarstwo możemy uznać za mniej skuteczne. Ludzie zatem dokonują zniekształcenia poznawczego polegającego na tym, że łatwość, z jaką przetwarzają informacje, rzutuje na ocenę tej treści.

Dlatego łatwość przyswajania informacji ma znaczenie z punktu widzenia fake newsów?

– Tak, pseudoprawda przekazywana w fake newsach jest tak konstruowana, aby była atrakcyjniejsza, szybciej się przetwarzała. Dlatego mamy bardziej pozytywne odczucia w stosunku do tych informacji i wnioskujemy, że są prawdziwe. Struktura prawdziwej informacji jest



DR HAB. SŁAWOMIR ŚPIEWAK

– profesor UJ, psycholog społeczny, pracuje w Instytucie Psychologii Stosowanej na Wydziale Zarządzania i Komunikacji Społecznej UJ, zajmuje się badaniami manipulacji i technik wywierania wpływu społecznego.

złożona, bardziej rozbudowana, wymaga od nas wysiłku poznawczego, a to nie sprzyja jej przyjmowaniu. Łatwiej nam zatem wierzyć w sfałszowane informacje, bo bardzo często są zgodne z naszymi przekonaniami. Problem jest zresztą bardziej złożony, bo dotyczy zarówno psychologii, jak i specyfiki mediów. **Wniosek: każda informacja powinna być podana przejrzyście.**



– Tłumaczę moim studentom, ucząc ich pisać prace naukowe: jeśli napiszesz esej i jest on skonstruowany mętnie i zawile, a ktoś, kto go czyta, musi włożyć wysiłek w zrozumienie jego sensu, prawdopodobnie również nisko oceni jakość opisanych badań. Analogicznie, jeśli newsy są napisane w sposób przystępny, są łatwiej przyswajane. Ta łatwość może wpływać na to, że wyżej oceniamy ich wiarygodność.

Jakie są skuteczne metody wywierania wpływu społecznego? Bo teraz obserwujemy to zjawisko w nadmiarze – Putin swoje, Zachód swoje, każdy manipuluje swoją grupą docelową.

– Oczywiście, człowieka można zmanipulować przy użyciu technik manipulacji – one nie mają ograniczeń, wymagają tylko czasu i metody oraz podjęcia działań, które sprawią, że będą skuteczne. Termin postprawda (*post-truth*) stał się słowem roku 2016 według Oxford Dictionary, rok później nastąpił 365-procentowy wzrost użycia *fake news* według słownika Collinsa. Oba terminy są ze sobą powiązane, pierwszy oznacza, że obiektywne fakty mają mniejsze znaczenie niż opinie odnoszące się do emocji i personalnych przekonań, drugi dotyczy już przekazywanych w mediach informacji, które są



nieprawdziwe, wzbudzają sensację, ale mają strukturę rzetelnych informacji prasowych.

Gdy jednak popatrzymy na historię, dezinformacja była zawsze. Tyle że w starożytności nie było mass mediów, dominował przekaz ustny, a jeżeli miał on postać fizyczną, to występował w formie afisza czy napisu na murze, do których dostęp był bardzo ograniczony. Skuteczność propagandy w XX w. radykalnie wzrosła z uwagi na rozwój mediów masowej komunikacji. Teraz,

Łatwiej nam wierzyć w sfabrykowane informacje, bo bardzo często są zgodne z naszymi przekonaniami.

kiedy mamy internet, możliwość wpływania na innych ludzi jest nieograniczona. Przeciętny użytkownik Twittera ma ok. 700 obserwatorów, więc każda osoba może mieć wpływ na innych ludzi i rozpowszechniać informacje nieprawdziwe. Przykładowo szacuje się, że Donald Trump w ciągu 869 dni swojej prezydentury rozpowszechnił ok. 11 tys. fałszywych czy wprowadzających w błąd informacji. Mamy do czynienia z masową perswazją i propagandą, które trafiają do osób szczególnie podatnych. Musimy pamiętać, że media społecznościowe działają według

algorytmów, które dopasowują informacje do osób podatnych na wpływy. Bo? Łatwiej zapamiętujemy i przetwarzamy informacje zgodne z tym, co myślimy.

Czyli m.in. w ten sposób umysł adaptuje się do wysiłku poznawczego?

– Problem adaptacji do wysiłku jest bardziej złożony. Badania, które prowadzę, pokazują, że krótkotrwały wysiłek poznawczy może zwiększyć naszą odporność na wpływ społeczny. Jednak w mediach społecznościowych informacja profilowana jest w taki sposób, by pasowała do specyfiki grupy docelowej. Pryswanie tych informacji minimalizuje zatem niezbędny wysiłek poznawczy i sprzyja bezkrytycznemu przyjmowaniu powielanych w ten sposób treści. Podatność na informacje wynika też z przekazu emocjonalnego, z obecności obrazów, które często są nieprawdziwe, ale łatwe do przetworzenia, i skutecznie wpływają na działania ludzi. Dlatego teraz, w sytuacji tak gorącej, mamy zalew fake newsów.

To prawda. Na początku wojny z Ukrainą pojawiło się zdjęcie zakrwawionej kobiety i od razu zaczęto pisać, że jest ono z 2018 r., pokazuje wybuch gazu, ale to było autentyczne zdjęcie. Na początku pandemii zaś media dały zdjęcia trumien niby z Włoch, choć były

one z wojny w Kosowie. Teraz też jest wysyp obrazów z innych wydarzeń niż wojna, przedstawianych jako ilustracje wojenne.

– Media starają się dołączać obraz, bo jest on łatwiej przetwarzalny. Badania pokazują, że obrazy są skuteczniejsze niż słowo, ludzie traktują je jako informacje bardziej wiarygodne. Dlatego osoby odpowiedzialne za przekaz wykorzystują obraz. Nawet za cenę rzetelności próbują dopasować obrazy do wyobrażeń. Dlatego na początku pandemii były te trumny, a teraz są zdjęcia z katastrof lotniczych i wybuchów. To zwiększa

wiarygodność przekazu, nawet jeśli jest nieprawdziwy.

W mediach społecznościowych tkwimy w bańkach informacyjnych.

– Jak mówiłem, algorytmy mediów społecznościowych definiują ludzi na podstawie pewnych podobieństw i tworzą się bańki. Informacje są rozpowszechniane wśród ludzi, którzy je akceptują. Powtarzane wielokrotnie są uważane za wiarygodniejsze. Najlepszym sposobem na czerpanie wiedzy o świecie jest korzystanie ze sprawdzonych źródeł. Ale jak przekonać użytkowników mediów społecznościowych, żeby bazowali na sprawdzonych, wiarygodnych mediach? Ważne tu jest zaufanie. Fake newsy szerzą się, bo dziś jest kryzys autorytetów, ludzie mniej ufają osobom kompetentnym. Przez to, że do informacji tak łatwo dotrzeć, wydaje się nam, że łatwo je zweryfikować. To przekonanie powoduje podważenie zaufania do autorytetów, które przekazują informacje zgodnie ze swoją wiedzą.

Wysyp pseudoautorytetów mieliśmy w pandemii, np. lekarz z prawem do wykonywania zawodu zdobytym kilka miesięcy temu stał się autorytetem od wirusologii. Mieliśmy też Mamę Ginekolog o ogromnych zasięgach w społecznościach, tyle że bez specjalizacji ginekologicznej.

– To prawda, dlatego ciągle powinniśmy powtarzać, że trzeba ufać osobom wiarygodnym, przekazującym wiedzę zgodnie z jej aktualnym stanem. Kłopot w tym, że naukowcy zwykle są mniej pewni swojej wiedzy niż fałszywe autorytety. Tu mamy do czynienia z efektem Dunninga-Krugera: im mniejszą ktoś ma wiedzę w jakiejś dziedzinie, tym bardziej jest przekonany, że wie więcej. Ktoś przeczyta krótki artykuł albo książkę i wydaje mu się, że wie wszystko. Naukowiec, który pracuje nad daną problematyką, wie, że wnioskuje z pewnym prawdopodobieństwem, dlatego stara się być ostrożny, wypowiadając sądy.

Ciekawe jest zjawisko wysypu „ekspertów” w sytuacjach kryzysu. Teraz niemal każdy jest strategiem wojennym, choć jeszcze wczoraj był epidemiologiem.

– Przyszłość trudno przewidzieć jednoznacznie, nawet będąc generałem. Na marginesie, to generałowie przegrywają wojny; wypowiedane sądy powinny być ostrożniejsze. Osoby kompetentne i wiarygodne zwykle wypowiadają się z większą ostrożnością. Tu jest ogromna odpowiedzialność dziennikarzy, którzy powinni jak najsurowiej weryfikować informacje.

Właśnie tak trzeba postępować, gdyż rosyjski trolling przypuścić niesamowity atak na społecznościówki, jest wysyp kont bez osób fizycznych, bez historii, tworzonej za pomocą ukradzionej tożsamości itd.

– Rosjanie są znani z takich akcji. Manipulowali przy wyborach prezydenckich w USA i przy brexicie. Teraz różnica jest taka, że społeczność międzynarodowa zdecydowanie wspiera Ukrainę i trolling będzie miał ograniczony wpływ, chociaż nie można go bagatelizować. Psychologia działa przeciwko trollom, bo większość ludzi odczuwa podobnie jak mieszkańcy Ukrainy, nie jest podatna na proputinowskie fake newsy, gdyż nie pasują one do ich systemu przekonań. Na takie informacje mogą być jednak podatne osoby lubiące

teorie spiskowe. Wszechświatowe spiski demaskowane są przez strony internetowe, na które warto zaglądać, np. Demagog.pl.

Krótko, co to jest drenaż poznawczy?

– Mówiąc o drenażu poznawczym, mówimy o zjawisku uwagi podzielnej. Umysł człowieka ma duże możliwości poznawcze, psychologia pokazuje jednak, że jeśli chodzi o przetwarzanie informacji, mamy dość ograniczone możliwości poznawcze. Bardzo często nasza uwaga nie radzi sobie z jednoczesnym

Obrazy są skuteczniejsze niż słowo, ludzie traktują je jako informacje bardziej wiarygodne.

przetwarzaniem informacji z wielu źródeł. Mówiąc o drenażu poznawczym, mówimy o sytuacji przeciążenia poznawczego.

Właśnie teraz znajdujemy się w takiej sytuacji.

– Tylko że mówiąc o przeciążeniu poznawczym, myślimy o trochę innym zjawisku, jakim są następne efekty wysiłku. Inna jest sytuacja, gdy kierujemy autem i musimy odebrać telefon – to przykład drenażu, który wiąże się z podzielnością uwagi. Inna, gdy ktoś bardzo intensywnie nad czymś pracuje i po chwili musi się zająć czymś innym. Tu następcze efekty z jednej strony mogą nas mobilizować poznawczo, jeśli to jest wysiłek intensywny, ale krótki. Ale przedłużony stan wysiłku powoduje przeciążenie zdolności poznawczych i ulegamy zmęczeniu. Po jakimś czasie przechodzimy w tryb oszczędny, czyli nasz umysł posługuje się heurystykami, upraszcza sobie przetwarzanie informacji i stara się reagować z wykorzystaniem narzędzi, którymi dysponuje.

I znowu dochodzimy do fake newsów.

– Tak, bo gdy jesteśmy bardziej zmęczeni albo przeładowani, jest większe prawdopodobieństwo, że będziemy bardziej podatni na informacje, które mają prostszą strukturę, pasującą do naszego systemu przekonań, łatwiej nam ją przetwarzać, więc staje się dla nas bardziej

wiarygodna. Co ciekawe, fake newsy często są dla nas atrakcyjniejsze. Amerykański psycholog Brad Sagarin z zespołem przeprowadził eksperyment, w którym sprawdzał, jak ludzie reagują na fałszywe autorytety w reklamach: aktor przebrany za lekarza namawia do przyjęcia suplementu albo ekspert nie z danej dziedziny namawia ludzi do czegoś. Potem pokazywał reklamy z rzeczywistym lekarzem czy ekonomistą informującym o czymś. Okazało się, że reklamy niemerytoryczne są bardziej atrakcyjne, ludzie bardziej im wierzą.

Czy są skuteczne metody uodparniania na to?

– Trening, pokazanie ludziom, jak łatwo ulegają tego typu dezinformacji, manipulacji. Gdy zdają sobie sprawę z zagrożenia, starają się krytycznie analizować informacje.

Trzeba więc społeczeństwu pokazywać mechanizm manipulacji.

– Koniecznie. Bardzo ważne jest uświadamianie, pokazywanie przykładów wiarygodnych mediów, które mają zasoby finansowe, żeby weryfikować informacje, i takich, które powielają fake newsy. Ale wypadki zdarzają się nawet najlepszym.

Bogata TVP na początku wojny analizowała strategię ataku lotniczego na Ukrainę, a to była gra komputerowa.

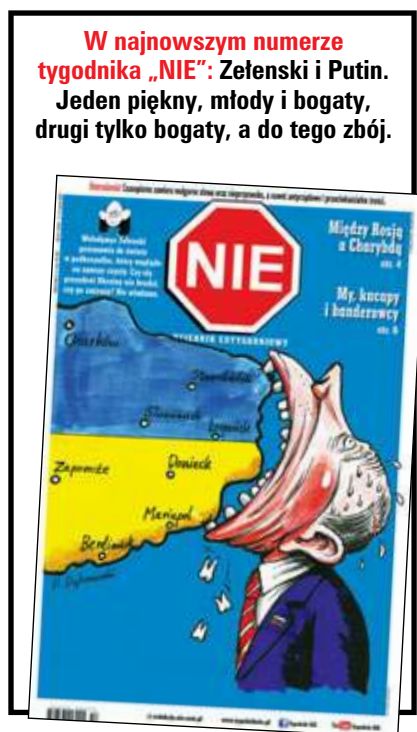
– Niestety, rzetelność mediów jest kwestią kluczową w budowaniu zaufania. Szukając rzetelnej informacji, warto śledzić te media, które czerpią wiedzę od swoich reporterów w strefie konfliktu.

Na koniec wypunktujmy, jak się bronić przed fake newsami.

– Przede wszystkim zdobywać informacje z wiarygodnych źródeł. Są również strony demaskujące dezinformację. Łatwo wrzucić hasło w wyszukiwarkę. Ważne jest sprawdzanie informacji w kilku źródłach. Jeśli potwierdzają się, możemy wierzyć, że tak właśnie jest.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Mundurowanie głów

Wojna sieje spustoszenie nie tylko tam, gdzie ze swoją niszczycielską mocą się przetacza, gdzie bomby spadają na budynki mieszkalne i szpitale, gdzie czołgi walą na oślep. Jest wojna przemocą absolutną, jest naruszeniem wszystkich najbardziej podstawowych potrzeb ludzkich: przeżycia, bezpieczeństwa, prawa do szczęśliwego życia, do realizowania marzeń. Do życia w pokoju w końcu. Wojna rządzi się swoimi prawami, przyznają nawet ci, którzy jej czarno-krwawemu urokowi nie ulegają. Podczas wojny zatem nie tylko zostają zawieszone, unieważnione nasze prawa podstawowe. Demoluje ona całokształt człowieczych relacji zbudowanych na regułach niezabijania, niekrzywdzenia, niestosowania przemocy. Z wojny nikt nie wychodzi zwycięski, chociaż akt kapitulacji kończący taki konflikt wskazuje zwycięską i pokonaną stronę. Nawet „wygrywający”, walczący w imię akceptowanych zasad – obrony przed agresorem bliskich, domu, miasta, kraju – odnoszą zawsze rany, które nie muszą być fizyczne. Wojna okalecza bez wyjątku, na tym też polega jej powszechna destrukcyjna, demolująca siła.

Nie ma jak przed nią się schronić. Człowiek dotknięty jej przekleństwem już zawsze będzie zraniony, już do końca życia będzie miał po niej blizny, być może niewidoczne dla oka. Wojna jest niewidzialnym wirusem, przed którym nie ma obrony. Przenika ściany, przecina i rwie ludzkie więzi. Trudno się dziwić, że tak się dzieje, kiedy giną krewni, bliscy, sąsiedzi, ci, którzy mówią tym samym językiem, chodzą tymi samymi ulicami, z którymi jesteśmy potączeni najróżniejszymi splotami wspólnoty.

Ale wojna ma moc przekraczania granic, nie potrzebuje niczyjej zgody, paszportu, nie jest uchodźczynią – zawsze jest agresorem. I dotyczy tych, których nie zawsze dotyczy bezpośrednio. Jest wymierzona zawsze w nas wszystkich: którzy ją obserwujemy, śledzimy, komentujemy, którzy próbujemy pomóc tym uciekającym, jak niegdyś uciekały nasze matki, ojcowie, dziadkowie, babki. Być może są ludzie, których wojna pozostawia obojętnymi – nie potrafię sobie jednak tego wyobrazić. Nie wiem, jak się zachowuje „zdrowy dystans”, bezpieczną odległość, jak można wypracować stoickie niezaangażowanie, osiągnąć wewnętrzny spokój.

Równocześnie w tych dniach, teraz, kiedy Rosja wojennie najeżdża Ukrainę, obserwuję potężną falę wzmożenia i eskalacji w opiniach i komentarzach. Udziela się

szeroko i gwałtownie retoryka wojenna, zaczynamy mówić językiem batalii i żargon wojennej grozy wypełnia nasze głowy. Nie mówię tu o redukcji słowa wojna do pojęcia konfliktu, nie łagodzę przewin bezprzemyślnego agresora, nie mam wątpliwości, kto zdecydował się na atak. Nie relatywizuję okrucieństwa tylko dlatego, że ci, którzy obecnie wspierają (niewystarczająco, ale i tak zaskakująco mocno i zgodnie) Ukrainę, mają za uszami swoje wojny. Które toczyły się dalej od naszych granic, dekadę czy dwie temu. Które wspieraliśmy – jako państwo, społeczeństwo, elity polityczne. Które usprawiedliwialiśmy, przeciw którym nie protestowaliśmy, które zapomnieliśmy – bo my przecież nie krzywdzimy innych, nigdy, nie najeżdżamy ich krajów, nie naruszamy granic, nie burzimy domów, nie bombardujemy szkół i szpitali – a jeśli nawet, to w słusznym celu. Może zresztą wsparciem dla uciekających z Ukrainy przykrywamy wyparty udział w wojnie w Iraku i Afganistanie. Odczuwamy także, chciałbym wierzyć, fantomowy ból po tym,

Z wojny nikt nie wychodzi zwycięski. Nawet „wygrywający” odnoszą zawsze rany, które nie muszą być fizyczne.

jak jeszcze przed chwilą (i wciąż, nadal) koszmarnie, okrutnie potraktowaliśmy uchodźców z krajów dotkniętych odległymi – naszymi – wojnami. Polska wschodnia granica jest zbudowana z dwóch części: życzliwej, otwartej, pomocowej – dla szukających ratunku uchodźców z Ukrainy oraz tej potwornej, zamurowywanej, wypędzającej na mróz i śmierć na odcinku z Białorusią.

I oglądam ze zgrozą ekscytację samym zabijaniem „złych”, fascynację płonącymi rosyjskimi czołgami, zestrzelonymi rosyjskimi samolotami, śmiertelnymi rajdami tureckich bayraktarów. Chociaż mamy świadomość, że giną jak zawsze prości żołnierze (nawet jeśli pośród nich jest dwóch generałów), a ci, którzy podjęli decyzję, pozostają poza zasięgiem. Ale dosięgnęli także nas wojenną mgłą, nałożyli nam mundury na mózgi, wyręczają się naszymi palcami walącymi w klawiaturę, zupełnie jakbyśmy też ostrzeliwali „cele”. Bo tak o tym myślimy: to cele, nie ludzie. To neutralizowanie, a nie zabijanie. Czym to się różni od zastąpienia słowa wojna pojęciem operacji specjalnej?

Zdejmijmy mundury z naszych głów, rozbrójmy nasz gniew, przygotujmy się na świat żyjący w pokoju.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Głupi i głupszy strzał w kolano

Lewica nie ma za co przepraszać w sprawie Putina.
Po co więc to robi?

Jakub Dymek

Czy jest coś głupszego od zachodniej, proputinowskiej lewicy, która gorączkowo szuka teraz wymówek dla rosyjskiej agresji na Ukrainę? Tak, polska lewica, która jeszcze za tamtą przeprasza. To nie mój bon mot, ale parafraza słów red. Przemysław Wielgosza z „Le Monde Diplomatique”, który próbował schłodzić gorące głowy lewicowych koleżanek i kolegów, skorych do składania samokrytyki i bicia się w piersi za cudze grzechy. Czy Putin morduje dzieci w szpitalu w Mariupolu, bo podbechłali go nie dość entuzjastyczni

ukraińskiego konfliktu, to niech chociaż uwzględni perspektywę ukraińskiej lewicy, zamiast podawać dalej opinie kanapowych geopolityków z Zachodu. Riposta Zandberga była trafna, Klein skasowała swój wpis i sprawa mogłaby w ten sposób się zakończyć. Niestety, nie żyjemy w świecie idealnym.

Internetowa lewica w Polsce skorzystała z pierwszej nadarzącej się okazji, by zająć się tym, w czym jest najlepsza – szukaniem wrogów wewnętrznych, piętnowaniem odstępców i produkowaniem kolejnych świadectw swojej moralnej czystości. Bodźcem do tych górnołotnych manifestów stały się

(prawdziwe lub urojone) powinowactwo z proputinowską lewicą na Zachodzie. A krzykliwością swoich deklaracji ściągą na siebie więcej podejrzeń. Wszak ten sam Warufakis był jeszcze niedawno fetowany w Polsce jak gwiazda rocka, a lewicowe aktywistki i polityczki ustawiały się w kolejce do zdjęcia z nim. Czy wtedy miał inne, czy jednak takie same poglądy na sprawę NATO, Rosji i Ukrainy? Wszak wojna toczy się tam od 2014 r. W realiach mediów społecznościowych, a tym bardziej w atmosferze wojennego strachu, nikt nie zadał sobie tego pytania. Pewnie te wspólne zdjęcia z Warufakisem znikają właśnie z platform, pośpiesznie kasowane w obawie przed publicznym napiętnowaniem ich autorów i autorek.

Janis Warufakis i Naomi Klein (a nie prawdziwi zbrodniarze wojenni) zostali natychmiast wskazani jako wrogowie, od których należy się odciąć. Wszystko zaś przebiega według schematu tzw. kultury anulowania, czyli magicznej wiary w to, że napiętnowanie w internecie niewłaściwych postaw i szkodliwych głosów rozwiąże problemy i zatrzyma niepokojące zjawiska, których te głosy są symptomem. I że to samo w sobie jest celem i najwyższą formą działalności politycznej.

Głupota i tragedia tych wyskoków polega na tym, że polska lewica w sprawie Putina nie ma czego się wstydić. „Czołgów” – jak w internecie zabawnie przeżywa się nieliczny margines lewicowych fanów Stalina, gułagów i sowieckiego imperializmu – jest w naszym kraju garstka, da się ich pewnie zliczyć na palcach obu rąk. Stanowią nie istotną frakcję, za którą trzeba przepraszać, ale śladowy folklor, który napotyka wyłącznie wzgardę i kpinę. W rzeczywistości lewica w Polsce jest

**Polska lewica w sprawie Putina nie ma czego się wstydić.
Jest formacją prozachodnią i proamerykańską.**

wobec NATO zachodni intelektualiści? Wątpliwe. Ale właśnie ta teza stała się w pierwszych dniach wojny z Ukrainą najmodniejszą diagnozą konfliktu po lewej stronie polskiego internetu.

Zaczęło się (jak dziś zaczyna się już każda afera) od kilku niemądrych lub nieprzemysłanych tweetów i wypowiedzi w sieci. Kanadyjska pisarka Naomi Klein i były grecki minister finansów Janis Warufakis, również autor książek i publicysta, podzielili się w sieci swoimi opiniami o współodpowiedzialności Zachodu za rosyjską agresję na Ukrainę. W przypadku Klein chodziło nawet nie tyle o jej własne słowa, ile o wyrażoną na Twitterze pochwałę cudzej analizy podnoszącej podobne tezy. Klein odpowiedział (po angielsku i tym samym kanałem) Adrian Zandberg. Napomniął kanadyjską pisarkę, że jeśli już ma zamiar dzielić się ze światem jakimiś lewicowymi analizami

wypowiedzi zachodnich intelektualistów i dziennikarzy. W związku ze słowami Warufakisa partia Razem postanowiła demonstracyjnie zerwać współpracę z dwiema europejskimi międzynarodówkami lewicowymi, a kolejne redakcje i portale na wyścigi zaczęły publikować donosy na „użytecznych idiotów” Putina w środowisku zachodniej lewicy. „Pożegnaliśmy się pięknym gestem”, pochwałyli same siebie działaczki Razem w wywiadzie dla „Krytyki Politycznej”.

Ten gest jest – w rzeczy samej – bardzo wymowny. Lewica zachowuje się bowiem w tej sytuacji jak złapani na gorącym uczynku złodziej, który wykrzykuje: „Ja tylko oddawałem tej starszej pani portfel!”, czym coraz bardziej się pograża. Próbuje udowodnić wszystkim naokoło, jak bardzo brzydzi się rzekomym putinizmem swoich towarzyszy, zwraca tylko większą uwagę na swoje

formacją prozachodnią i proamerykańską: wprowadzała przecież Polskę do NATO i UE, a prezydent Kwaśniewski miał dobre relacje z obiema ekipami w Białym Domu, które urzędowały za jego prezydentury. Jeśli czymś polska lewica w ostatnich dekadach zgrzeszyła, to nie fascynacją Putinem, ale przeciwnie, brakiem krytycyzmu i dystansu do polityki USA. Inne środowiska lewicy pozaparlamentarnej również były konsekwentnie prozachodnie i antyputinowskie. „Krytyka Polityczna” miała swój oddział w Kijowie, relacjonowała ukraiński Majdan, gościła rosyjskich dysydentów i intelektualistów, publikowała reportaże z wojny w Donbasie. Ukraińscy dziennikarze lewicowi i powstałe już po Majdanie internetowe redakcje zawsze mogły liczyć na wsparcie i współpracę ze strony polskich koleżanek i kolegów.

Problem w naszym kraju – i szerzej, na świecie – wygląda dokładnie odwrotnie, niż widzą go partia Razem i sympatyzujący z nią publicyści. W orbicie Putina od dawna jest prawica i to prawica podziela jego konserwatywno-patriarchalny pomysł na porządek społeczny: oparty na gloryfikacji męskiej siły i kulcie wojny, sojuszu z zakłamaną

Klein czy Janis Warufakis. Gorącym przeciwnikiem pomocy Ukrainie jest najpopularniejszy obecnie prawicowy prezenter telewizyjny Ameryki, Tucker Carlson. A niewykluczone, że Carlson będzie nawet przyszłym kandydatem republikanów na urząd prezydenta USA. Do pozostawienia Ukrainy Rosji, a Europy samej sobie wzywają wschodzące gwiazdy Partii Republikańskiej w rodzaju Joshua

na siebie bat – przecież prędzej czy później i tak zostanie zaatakowana za „nielojalność” czy „zdradę”. To już się dzieje – pisowski wicepremier Henryk Kowalczyk powiedział, że postanka Zielonych (PO-KO) Urszula Zielińska jest „sterowana z Kremla”, gdy tylko odważyła się skrytykować politykę rządu wobec uchodźców. Lewica będzie następna i demonstracyjne palenie kukły

To prawica jest od dawna w orbicie Putina i podziela jego konserwatywno-patriarchalny pomysł na porządek społeczny.

Hawleya. To są ludzie, którzy w przeciwnieństwie do Warufakisa jeszcze kiedyś mogą rządzić światem.

Lewica w Polsce, próbująca w tej chwili licytować się z PiS i PO na antyrosyjskość, poparcie dla NATO, proamerykańskość i militarizm, robi rzecz nie tylko niemądrą czy nieskuteczną, ale wprost dla siebie szkodliwą. Nigdy bowiem nie uwierzygodni się w oczach mainstreamu tym, że będzie demonstracyjnie pokazywać swoją pogardę dla rzekomo zgniłego, naiwnego i pacyfistycznego Zachodu, ani nie wyszarpie dla siebie żadnych przysług u Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego.

Warufakisa i Naomi Klein raczej jej nie pomoże.

Czystą naiwnością jest sądzić, że gdy powstanie jakaś polska wersja komisji senatora McCarthy’ego, szukająca potencjalnych zdrajców i agentów Kremla, to lewica zostanie przez nią oszczędzona. Wręcz przeciwnie, wszystkie antyamerykańskie (z czasów prezydentury Trumpa) i nie dość antyrosyjskie (z czasów wcześniejszych) wypowiedzi polityków i polityczek lewicy wszystkich pokoleń i tak zostaną im skrupulatnie wyciągnięte. I nie będzie dla nich żadnej karty „wyjścia wolno z więzienia”. Lewica dziś sama dokłada się do atmosfery, w której każda kolejna osoba chcąc skrytykować z mównicy sejmowej politykę Zachodu, NATO albo amerykańskiej administracji, usłyszy w odpowiedzi, że jest „ruską onucą”. Wtedy będzie jednak za późno, żeby się temu dziwić.

Gdy Putin w 2013 r. zaczynał swoją kampanię prześladowania mniejszości, to „Rzeczpospolita” opublikowała tekst Filipa Memchesa „Putin ma rację”.

i chciwą hierarchią kościelną oraz na pogardzie dla słabszych, przede wszystkim osób LGBT. Gdy Putin w 2013 r. zaczynał swoją kampanię prześladowania mniejszości, to „Rzeczpospolita” opublikowała tekst zatytułowany po prostu „Putin ma rację”, którego autorem był Filip Memches. Gdy Putin wprowadzał swoje prawo o „zakazie propagandy LGBT”, to Instytut Ordo Iuris bronił tej ustawy przed „rażąco przesadzoną” krytyką mediów. Teraz, w trakcie rosyjskiej inwazji na Ukrainę, olbrzymi wywiad z ambasadorem Federacji Rosyjskiej publikuje gazeta braci Karnowskich, a nie Naomi

W niechęci do Rosji i poparciu dla Ameryki duopol PO-PiS ma nieskończenie więcej i doświadczenia, i wiarygodności.

Jedyne, co w tym procesie się uda, to dalsze zawężenie pola debaty w Polsce i wzmocnienie już istniejących podziałów. Lewica obiecuje, że nie zrezygnuje ze swoich wartości i własnych poglądów – ale kto jej uwierzy, skoro dokładnie to robi? Zaledwie groźba oskarżenia o nielojalność zadziałała tak skutecznie, że nikt nie musiał nawet się posuwać do szantażu, a lewica zrezygnowała z jakiegokolwiek autonomii i własnego głosu. Więcej, sama zaczęła kręcić

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Mateusz Mazzini

O wzajemnym zafascynowaniu europejskich narodowych populistów i doradców Donalda Trumpa wiadomo od lat. Jego dowodem były liczne wizyty oraz inspiracje polityczne. Na byłym amerykańskim prezydencie wzorował się Matteo Salvini, pierwszy europejski polityk, który, choć sprawował władzę (jako wicepremier i szef MSW), robił to w ciągłym trybie kampanijnym. Trumpa chwalił w przemówieniach Viktor Orbán, zakochany w sposobie prowadzenia za oceanem polityki tożsamościowej. Trumpiści tę miłość wyraźnie odwzajemniali. Jej ewangelistą był Steve Bannon, doradca polityczny, publicysta i troll w jednym. Nieliberalną Europę odwiedzał regularnie, snując wizję międzykontynentalnego sojuszu, którego chciał być głównym ideologiem. Nad Atlantykiem aura populistycznej współpracy unosiła się od dawna.

Jednak zupełnie czym innym jest uścisk dłoni po wspólnej konferencji prasowej, a czym innym inwestowanie zasobów (ludzkich i finansowych) w stworzenie stałych kanałów współpracy. A te amerykańska prawica od półtora roku z niebywałą intensywnością buduje w Budapeszcie. Uwerturą była ofensywa medialna. Latem 2021 r. telewizja Fox News zorganizowała coś na kształt „tygodnia węgierskiego” na swojej antenie. Przez równo siedem dni twarz Viktora Orbána była wklejona do czołówki programu Tuckera Carlsona, najbardziej wpływowego i popularnego dziennikarza telewizyjnego, który niestrudzenie trwa przy Trumpie. Carlson z roli prezentera wyszedł zresztą już dawno. Columbia Journalism Review, najważniejszy branżowy portal piszący o dziennikarstwie, stwierdził kiedyś, że „on informacji nie podaje, tylko sam je tworzy”. A mają te twory prawie 4 mln regularnych odbiorców. Ukoronowaniem kampanii marketingowej był wywiad z węgierskim premierem, po który Carlson pofatygował się do Budapesztu. Już sama wycieczka była wydarzeniem bezprecedensowym, bo gwiazdy Fox

Fort Trump Budapeszt

Od półtora roku amerykańska altprawica buduje przyczółek na Węgrzech. Po co?



Według otoczenia Trumpa judeochrześcijańska cywilizacja zniknie, jeśli nie znajdzie obrońców. Takich jak Viktor Orbán.

News niechętnie ruszają się poza własne studio, a co dopiero na drugą stronę Oceanu Atlantyckiego.

Orbán się dusi

Rozmowa sama w sobie nie była specjalnie ciekawa, bo Tucker Carlson, jak przystało na propagandyście, w dodatku reprezentującego supermocarstwo, traktował Orbána trochę przyjacielsko, a trochę protekcyjnie. Do żadnych zwarć oczywiście nie doszło, nie taki był cel tego spotkania. Chodziło o wypuszczenie w świat dwutorowego przekazu. Dla odbiorców w Ameryce – że altprawica nie umarła, wręcz przeciwnie, prowadzi zagraniczną ekspansję. Dla odbiorców na Węgrzech i w Europie wiadomość

była znacznie wyraźniejsza. Orbán dawał do zrozumienia, że ani Węgry, ani Unia nie zaspokoją jego ambicji. Na Starym Kontynencie już się dusi, czas przestać się ograniczać i rozpropagować ideę demokracji nieliberalnej po krańce świata.

Przygotowania do budowy transatlantyckiego mostu pomiędzy altprawicą i Węgrami znacznie przyspieszyły na początku ubiegłego roku, zaraz po zakończonej porażką walce Trumpa o reelekcję. Choć wielu jego współpracowników już dawno było poza Białym Domem, ostatecznie przekonali się wtedy, że przynajmniej chwilowo będą musieli gdzieś przetrzymać. Chwilowo oznacza w tym przypadku mniej więcej dwa lata, do wyborów śródkadencyjnych i niemal

pewnego teraz ogłoszenia kandydatury Trumpa w wyborach 2024 r. Europa była w kręgu ich zainteresowań już wcześniej, ale Budapeszt niekoniecznie.

To mimo wszystko z amerykańskiego punktu widzenia peryferie, stolica małego kraju, z którego niewiele może być pożytku. Dlatego Steve Bannon, z roli doradcy Trumpa usunięty już w sierpniu 2017 r., wolął spędzać więcej czasu np. w Rzymie. Niedaleko włoskiej stolicy zaczął nawet współtworzyć instytucję na pograniczu uczelni, think tanku i ośrodka formacyjnego, noszącą osobliwą nazwę Akademii Judeo-Chrześcijańskiego Zachodu. Ten projekt też zakończył się spektakularnym fiaskiem, pomimo prawie 5 tys. zgłoszeń, pochodzących głównie od młodych amerykańskich mężczyzn z konserwatywnych rodzin i Europejczyków w średnim wieku chcących zaprotestować przeciwko sekularyzacji kontynentu. Plany były ambitne, na siedzibę akademii wybrano 800-letni budynek klasztorny, kartuzję Trisulti, wynajmowany od włoskiego ministerstwa kultury za 100 tys. dol. rocznie. Zabrakło jednak zdolności organizacyjnych, kadry nauczycielskiej, a przede wszystkim pieniędzy – i włoski rząd wydał nakaz eksmisji.

Bannon sam zresztą nie miał prostych relacji z prawem, bo w 2020 r. został aresztowany i prawomocnie skazany za defraudację środków publicznych przy budowie muru wzdłuż granicy z Meksykiem. Na wolność wyszedł dzięki aktowi łaski, udzielonemu w ostatniej chwili urzędowania przez Trumpa.

Gdzie rozpalic ogień

Nie było przesadą stwierdzenie, że z więzienia skierował się prosto na lotnisko i wsiadł w samolot do Budapesztu. Tam czekał na niego Rod Dreher, być może w tej historii postać najważniejsza. Ten 55-letni konserwatywny dziennikarz zaczynał karierę jako krytyk filmowy i nawet nieźle mu szło, kierował działami kultury w sporych tabloidach: „New York Poście” i „Washington Timesie”. Od zawsze jednak miał ambicje

publicystyczne, a serce biło mu po prawej stronie. W tekstach narzekał, że Partia Republikańska zatraciła tożsamość, nie broni już zasad wolnego rynku, a przede wszystkim odeszła od swoich religijnych korzeni. Jej współczesnych polityków nazywał „republikanami jedzącymi granolę”, co miało opisywać ich awersję do ryzyka i tylko pozorną walkę o polityczne ideały, przykrywającą chęć stabilizacji.

W Dreherze ogień wojny kulturowej płonął namiętnie, potrzebne było więc miejsce, w którym mógłby rozgorzeć na większą skalę. Na początku Dreher wykorzystywał do tego internet, gdzie szybko stał się jednym z najbardziej prowokacyjnych trolli i prowokatorów. Na blogu publikował dane osobowe swoich oponentów, wycinał ich wypowiedzi

Orbán dawał do zrozumienia, że ani Węgry, ani Unia nie zaspokoją jego ambicji.

z kontekstu i zachęcał internautów do łżenia i ataków na tle rasowym czy seksualnym. W 2020 r. proces wytoczyli mu rodzice 15-latk, której zdjęcia z Instagrama wkleił na swoją stronę bez zgody prawnej.

Dreher niespecjalnie się tym przejmował – miał już nową życiową misję. Szukał odnowy duchowej, bo rozstał się z katolicyzmem, rzekomo pod wpływem skandali seksualnych z udziałem ludzi Kościoła. Wewnętrzne poszukiwania zaprowadziły go jednak w nietypowym dla Amerykanów kierunku, jakim jest prawosławie. Wschodnią wiarę przyjął w 2006 r., od tego czasu oprócz gejów, lesbijek, liberałów i wszelkiego rodzaju progresywnych aktywistów zwalcza też tzw. lawendową mafię – tajną sieć przestępców seksualnych rządzącą Kościołem katolickim.

Ostatnie 15 lat Rod Dreher spędził, budując swoją pozycję na marginesach amerykańskiej prawicy. Na szczyt wyniosła go ta sama fala, która zmiotła tradycyjny partyjny establishment. Osiem lat rządów Obamy, rozkład przywództwa i brak świeżej krwi spowodowały, że wielu konserwatywnych wyborców, przerażonych wizjami masowej

imigracji, rozpadu tradycyjnych więzi społecznych i poluzowania norm kulturowych, zaczęło szukać nowej bezpiecznej przystani. Politycznie znalazło ją w Donaldzie Trumpie, ale ten przytył był hojny i dla Drehera. Taśmowo wręcz publikował książki, wśród nich popularną również w polskich kręgach prawicowych „Opcję Benedykta”. To swoisty przewodnik dla tradycyjnych chrześcijan chcących dać odpór liberalizacji życia publicznego. Jego treść najlepiej podsumowuje zresztą polski podtytuł: „Jak przetrwać w świecie neopogaństwa” (angielska wersja jest znacznie łagodniejsza w wydźwięku, jej dosłowne polskie tłumaczenie to „strategia dla chrześcijan w postchrześcijańskim narodzie”). Książka wywołała spore poruszenie po obu stronach Atlantyku, dział literacki

„New York Timesa” uznał ją nawet za najważniejszą książkę religijną ostatniej dekady. Rada, którą Dreher miał dla chrześcijan, była bardzo prosta: wypiszcie się ze współczesności. Cytował przy tym, co ciekawe, Zygmunta Bauman i jego teorię płynnej nowoczesności, przy czym nie komplementował jej, ale definiował jako zagrożenie. W dużym skrócie według Drehera chrześcijaństwo opiera się na budowaniu wspólnoty i zapuszczaniu korzeni, czyli na stabilności. Na to we współczesnym świecie nie ma miejsca, bo to, co jest w nim uważane za najlepsze, musi być płynne.

Jak to robią na Węgrzech

Książki dały mu popularność przede wszystkim wśród protestantów, co z kolei zbliżyło go do otoczenia altprawicy. Ludzie z bezpośredniego zaplecza Trumpa nie tylko byli bardzo religijni (jak ortodoks Mike Pence), ale przede wszystkim polowali na głosy wierznych z południa kraju. Dreher szybko zyskał więc aprobatę nowego republikańskiego establishmentu, bo ten widział w nim przydatnego ▶

► ambasadora marki MAGA – *Make America Great Again*. Ale polityką nie był specjalnie zainteresowany. Dalej szukał miejsca, które będzie w stanie przemienić w swoją świątynię. Port, z którego wyruszy krucjata przeciwko progresywiście, odsiecz dla tradycyjnej tożsamości Zachodu. Dziś wiadomo już, że w tej roli Ron Dreher obsadził stolicę Węgier.

Do Budapesztu Dreher przyjechał w pierwszych miesiącach 2021 r., jako badacz wizytujący w Instytucie Dunajskim. To konserwatywny think tank prowadzony przez Johna

teorii Wielkiej Wymiany, która zakłada, że imigranci z krajów muzułmańskich i latynoskich, migrując do USA i Europy, dokonają w efekcie wymiany całej populacji tych obszarów. Judeochrześcijańska cywilizacja białego człowieka zniknie, jeśli nie znajdzie obrońców. Dokładnie takich jak Viktor Orbán.

Dreher w rozmowie z reporterami „New York Timesa” nie ukrywa, że na Węgry przyjechał oglądać, jak tutejszy lider walczy z „kulturową dezintegracją”. Podziwia jego politykę prorodzinną, imponuje mu

obrońcy chrześcijańskiej granicy Europy. Otoczył kraj murem społecznego konserwatyizmu, który dodatkowo wzmacnia bariera językowa. Gdyby bezkrytycznie przyjąć obraz kraju promowany przez rządową propagandę, można by wręcz uwierzyć, że węgierskie społeczeństwo nie różni się niczym od tego, które zamieszkiwało wielkie Węgry sprzed bolesnego traktatu z Trianon z 1920 r.

Dreher chciałby mieć w USA rząd, który wprowadzi takie same porządki. Który przywróci stary ład, zakotwiczony ludzi na nowo w stałej, trwałej tradycji. A ponieważ Instytut Dunajski jest hojnie (choć nie bezpośrednio) finansowany przez węgierski rząd, ma wreszcie platformę do tego, by innym amerykańskim konserwatyście pokazać, jak to się robi.

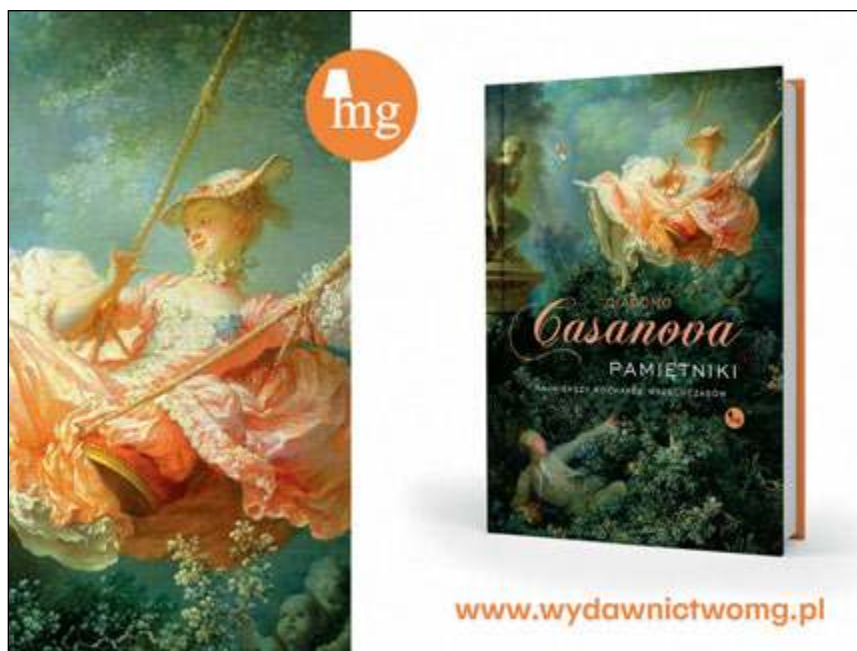
Dlatego w ostatnich kilkunastu miesiącach trasa Budapeszt-Stany Zjednoczone była wręcz zakorkowana. Na Węgry przyjechał Mike Pence, który wystąpił na konferencji poświęconej kryzysowi demograficznemu. Orbán siedział na trybunach i klaskał z uznaniem. Budapeszt odwiedził też Jeff Sessions, były prokurator generalny z czasów Trumpa, wielki przeciwnik migracji. Wreszcie do Drehera przyjechał Tucker Carlson, przywożąc cały swój cyrk z Fox News, a przede wszystkim uwagę milionów swoich widzów oraz darczyńców Partii Republikańskiej.

O tym sojuszu będzie jeszcze głośno, bo Dreher zarzeka się, że nad Dunaj sprowadzi więcej prawicowych grubych ryb, być może nawet samego Trumpa – już w trybie kampanijnym. Jest przekonany, że konserwatywną rewolucję uda mu się rozszerzyć na Stany Zjednoczone. Marzy mu się kraj, w którym żadna ewolucja społeczna zwyczajnie nie będzie miała miejsca. W którym przeszłość i teraźniejszość zleją się w jedno, a przyszłość nigdy nie nastąpi. Problem w tym, że całkowita „odporność na zmianę kulturową” jest niemożliwa. To też stwierdzenie z prac socjologicznych Baumana. Ciekawe, czy Ron Dreher czytał go aż tak dokładnie.

W kwestii polityki tożsamościowej Viktor Orbán imponuje Amerykanom najbardziej.

O’Sullivan, byłego korespondenta brytyjskich mediów na Węgrzech, prywatnie wyznawcę thatcheryzmu. Dreher przekonał O’Sullivan, by zasponsorował mu kilkumiesięczny pobyt, w czasie którego publicysta miał pilnie studiować politykę tożsamościową węgierskiego rządu. To aspekt, w którym Viktor Orbán Amerykanom imponuje najbardziej. Wśród czołowych postaci altrighty dominuje przeświadczenie, że naród amerykański stoi w tej chwili przed zagrożeniem egzystencjalnym. Sam Tucker Carlson jest wyznawcą tzw.

odstraszanie imigrantów i promowanie chrześcijańskich korzeni węgierskiego narodu. Pod tym względem rzeczywiście Orbán jest od swoich amerykańskich odpowiedników o niebo skuteczniejszy. Na Węgrzech ma władzę niemal absolutną, dzięki czemu wypalił do korzeni wszystkie liberalne inicjatywy – od programów studiów nad gender na uniwersytetach po finansowane z zagranicznych grantów organizacje pozarządowe walczące o prawa mniejszości seksualnych. Zlikwidował wolne media, budując wizerunek ostatniego



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Straszny czas

Pisanie o czymś innym niż najazd Putina na Ukrainę wydaje się nietaktem. A przecież o wojnie mówią i piszą wszyscy i jest przesyt. Wbrew rwącej rzece wojennych doniesień pozwolę sobie pożegnać Barbarę Falkowską. Media przegapiły jej odejście. Mam kilka jej pięknych gobelinów w spadku po rodzicach, byli blisko z artystką. Ja też czasami ją odwiedzałem w jej malutkim mieszkanku, gdzie stały krosna, na których tkła swoje niezwykle prace. W jakimś sensie artysta umiera dla dzieła już w chwili, gdy się z nim rozstaje, osieroczone obrazy mieszkają potem w obcych domach, są świadkami dramatów ich właścicieli, w końcu ich śmierci, trafiają potem w inne ręce, coraz dalej od swojego źródła.

Znikła zaraza. Znikło nawet, nie do wiary, PiS. To chyba jedyna zaleta tego nieszczęścia. A przecież dla pisowców to złoty deszcz, spadł, gdy byli w błotnym dołku. Z badań wynika, że jak trwoga, zyskuje władza, jakakolwiek by była, ludzie odruchowo gromadzą się wokół niej. Czas zgody potrwa kilka tygodni i znowu wypłynie na powierzchnię nasza zimna wojna domowa. Za chwilę się okaże, że ukraińska wojna to wina Tuska, uspił Europę i związał ją z Rosją. Rosja pacyfikuje Ukrainę, ale nie możemy tracić z oczu tego, że PiS pacyfikuje Polskę. I skorzysta teraz z okazji, by to robić po cichu. Rządzący liczą na to, że Unia odpuści i da nam te miliardy, bez żadnych warunków. I to nawet całkiem możliwe. Popiół i kurz po wielkim wybuchu przysypał wszystkie kłamstwa i podłości PiS. Wiatr zaraz jednak je odstłoni. I od nowa zaczniemy się nawzajem nienawidzić. Ale coś się zmieni. Nawet głupiec zrozumie, jak niezbędna nam jest Unia. I że Europa powinna się konsolidować, jeśli ma się przeciwstawić Rosji, musi być pięścią, a nie palcami. Czyli jednak stany zjednoczone Europy.

Odrodzony Duda nagle w politycznym światowym obiegu, zawetował jakby mimochodem lex Czarnek. I prawie nikt tego nie zauważył. W normalnej sytuacji byłaby to wiadomość dnia. Agnieszka Burzyńska i Andrzej Stankiewicz piszą w Onecie: „Niestety, na czele putinowskiego pochodu cyników podążają premier Węgier Viktor Orbán oraz liderka francuskiego Frontu Narodowego Marine Le Pen – nie tak dawno obwołani przez PiS głównymi sojusznikami Polski. (...) Odpór Putinowi daje ta zienawidzona przez PiS Bruksela, zaś sojusznicy PiS z Budapesztu i Paryża szukają usprawiedliwienia dla agresji”.

Gdy mój tekst się ukaże, będzie w Polsce pewnie już półtora miliona uchodźców. Na razie jesteśmy na wielkiej fali współczucia i solidarności. Najbardziej wzruszają buzie dzieci, ich oczy. Zaraz jednak zacznie się dramat, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Wszędzie w domach znajomych mobilizacja, kolega zrobił przez noc sto kanapek, wielu udostępnia pokój uchodźcom, nasz dom pełen dziecięcych butów i ubrań do oddania. Jest coś poruszającego w tej wielkiej moralnej mobilizacji. Przez naszą wojnę domową staliśmy się gorsi, pojęcie „solidarności” zdawało się skompromitowane, teraz się odradza.

Prezydent Ukrainy, aktor, który w serialu zagrał rolę nauczyciela, który przypadkiem został prezydentem Ukrainy, niewysoki, szczupły, na dodatek żydowskiego pochodzenia. W strefie geograficznej, gdzie antysemityzm ma się dobrze. No właśnie, czy w Polsce polityk żydowskiego pochodzenia mógłby zostać prezydentem? Jak państwo uważacie? Ja sądzę, że nie, chyba że w wyborach brałaby udział tylko młodzież.

Jaki jest naprawdę Zełenski? Najtrudniejsze przed nim. Bywa, że wrażliwy i wątpliwy człowiek w pewnych okolicznościach staje się mocarzem, lepi go nie tylko własny charakter, ale też historia.

Już widać, że Rosjanie stosują odwieczną taktykę – miało to doprowadzić do katastrofy humanitarnej i zmusić do poddania się. Tak Hitler zdobył Warszawę. Coraz częściej są niszczone obiekty cywilne, nie wiemy, przypadkiem czy specjalnie. Zapisalem kilka dni temu, co już przestaje być aktualne... Rosjanie nie atakują linii kolejowych, dworców, stacji łączności, działają telefony komórkowe, nie bombardują masowo z powietrza domów, nie strzelają zwykle do uciekinierów. To wszystko robili Niemcy. Dlatego ofiar jest stosunkowo niewiele jak na skalę operacji. Putin to jeszcze nie Hitler, chociaż zmierza w tę stronę. I stopniowo zmienia się oblicze tej wojny, bo imperium się wścieka i sroży, że ofiara tak uparcie się broni.

Ciągle jestem wewnętrznie rozbity. Dzieje się wielka krzywda i gwałt pod naszym boki, mamy siłę, by obronić napadniętego, ale go nie obronimy. Ze strachu przed końcem świata. Niby mocne usprawiedliwienie, ale co za niesmak. Czekają nas straszny czas.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Michał Listkiewicz,
Łukasz Olkowicz, Piotr Wołosik

EURO 2012 za tysiąc delegacji

**Michał Listkiewicz: mistrzostwa Europy
przeżyłem jak przygodę**

W 2003 r. jako zarząd PZPN pojechaliśmy do Lwowa, gdzie honorowe obywatelstwo odbierał Kazimierz Górski. Dla uczczenia tej wielkiej chwili Hryhorij Surkis, prezes ukraińskiego związku, zaproponował, żeby przy okazji zorganizować wspólne posiedzenie rządów obu federacji. Spotkaliśmy się w Domu Kultury Kolejarsz, starym sowieckim budynku.

Surkis doskonale wiedział, że nie tylko przyznanie obywatelstwa Górskiemu będzie powodem, dla którego zapamiętamy tamten dzień.

– Drodzy przyjaciele, co wy na to, żebyśmy zaczęli ubiegać się o organizację EURO w 2012 r.? – zaskoczył wszystkich gości z Polski.

– Ale o czym ty mówisz?

– Chcieliśmy zorganizować z Rosjanami, ale nas zlekceważyli. Wolą sami to zrobić.

W naszym obozie zapanowała euforia. – No pewnie! Robimy! Razem! – przekrzykiwaliśmy się. Dla formalności jako zarząd przegłosowaliśmy, że razem z Ukraińcami zorganizuje-

– Słuchajcie, może to my się palimy?! – zaczęliśmy się nerwowo rozglądać.

Z wozu wysiadło dwóch strażaków. Roześmianych. A za nimi ukraińscy działacze, z którymi w Domu Kolejarsza świętowaliśmy początek wspólnych starań o EURO. W rękach trzymali siatki. Dziarsko wparowali z nimi do autokaru. Zaraz wyciągnęli gorzałę, kieliszki i czekoladę. Bo u nich taki zwyczaj.

Szli wolno, zatrzymując się przy każdym pasażerze. Nalewali wódkę do solidnych kieliszków, do zagryzienia dawali kostkę czekolady i ustawiali się przy następnym chętnym. Zrobili dwie tury, zanim pozwolili nam odjechać.

wyjazdowe posiedzenie zarządu PZPN...

Zaczął się głosowanie. Tym, którzy zaniemogli, ręce podnosili bardziej przytomni koledzy. Ten, kto akurat sikał pod krzakiem, zagłosował z oddali. Najważniejsze, że wszyscy zdecydowaliśmy zgodnie – rozpoczynamy starania o EURO. (...)

Przegłosować można i decyzję o budowie siedziby PZPN na księżycu, ale później potrzeba konkretnów. I z EURO zaczęły się schody. Odbijaliśmy się od Ministerstwa Sportu: – Nie wiecie, na co się porywacie. A pieniądze macie? – słyszelśmy.

W sprawie EURO decydujące okazało się spotkanie z premierem Markiem Belką. Poszedłem do niego ja, Adam Olkowicz, Zdzisiek Kręcina, Stanisław Speczik i Andrzej Wach.

– Panowie, wierzycie, że to się uda? – zapytał nas wprost Belka.

– Panie premierze. Czujemy, że w UEFA jest potrzeba pójścia na wschód. Mamy szansę – przekonywaliśmy.

Rozmowa trwała dwie godziny. Na koniec Belka powiedział:

– Słuchajcie, czuję, że to, co mówicie, jest szczere. Działajcie.

Po tym spotkaniu wydał dyspozycje doradcom i machina ruszyła. Pozytywną rolę odegrał Wiesław Wilczyński. Istniało łączne Ministerstwo Edukacji Narodowej i Sportu, a on jako wiceminister odpowiadał za sport. Mogliśmy liczyć na jego pomoc, dał się przekonać do naszego pomysłu. Dla pewności potechtaliśmy też jego próżność: – Wiesiek, ten turniej w Polsce to będzie twoja

Przyjaciele, co wy na to, żebyśmy zaczęli ubiegać się o organizację EURO w 2012 r.? – Hryhorij Surkis zaskoczył wszystkich.

my turniej. Takiego przedsięwzięcia w historii Polski jeszcze nie było. Gdy wsiadaliśmy do autokaru, którym wracaliśmy do Rzeszowa, gdzie zaplanowano nocleg (...), wciąż byliśmy oszołomieni. Chyba żaden z nas nie zdawał sobie sprawy, że bierze udział w historycznym wydarzeniu.

Ruszyliśmy w drogę powrotną do Polski. Nie zdążyliśmy wyjechać ze Lwowa, gdy zobaczyliśmy za nami wóz strażacki na sygnale. (...) – Może jakiś wypadek? – ktoś głośno się zastanawiał. – To przecież powinni pędzić – zauważył inny. Kierowca naszego autokaru zredukował prędkość do 20 km na godzinę. Straż nadal jechała za nami. W końcu przyspieszyła. Zajeżdżała nam drogę i zatrzymała się.

Dodatkowe wspomaganie nie posłużyło kilku naszym działaczom, którzy zaraz padli. Przekroczyliśmy granicę ukraińsko-polską, gdy Andrzej Wach niemal się wydarł: – Stop! Panowie, panowie. Statut PZPN mówi, że zarząd nie może podejmować decyzji poza terenem RP. Decyzja jest nieważna.

– To co teraz?

– Jak to co? Głosujemy! Budzić wszystkich! Wstajemy!

Zatrzymaliśmy się w miejscowości Lubyca Królewska. Nie mogliśmy znaleźć żadnej knajpy, był za to parking z drewnianymi ławkami i stolikami. Ktoś resztką sił podpierał rękami głowę, inny już tych sił nie miał i głowa opadła mu na stół. (...)

Wach wystąpił z oficjalną: – Lubyca Królewska, rozpoczynamy



18 kwietnia 2007 r. Polska i Ukraina triumfowały w Cardiff jako współgospodarze EURO 2012. Nz. prezes PZPN Michał Listkiewicz i jego ukraiński odpowiednik Hryhorij Surkis.

zastuga. Nie nam będą stawiać pomnik, a tobie.

Wiadomo, jak mały w kontekście budżetu i wagi społecznej jest sport przy oświacie. Nam poszczyściło się, że jako podsekretarz stanu w MENiS pracowała Anna Radziwiłł, moja była nauczycielka z liceum im. Lelewela. Spotkaliśmy się przypadkowo, gdy wchodziłem do Wieśka na spotkanie.

– Michał, co ty tutaj robisz? – zaskoczyła się. – A, pewnie do tych sportowców... Jak skończysz, to zajrzyj do mnie.

I zająłem. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego gabinetu. Na podłodze ułożono tony dokumentów i książek. Między nimi istniało tylko wąskie przejście do biurka. Pamiętałem, że pani Radziwiłł była moim ksiązkowym, ale tego się nie spodziewałem. To była moja ulubiona nauczycielka, a i ona nie kryła do mnie sympatii. (...) Sportem się nie interesowała, ale w sprawie EURO się przysłużyła. Dała Wilczyńskiemu zielone światło, żeby nam pomógł.

Surkis podczas pamiętnego posiedzenia zarządów we Lwowie zasugerował, że w UEFA czuć życzliwość wobec naszych kandydatur. Wynikała z filozofii tej federacji, planującej mocniej zaangażować

się we wschodnią Europę. Na naszą korzyść przemawiał zatem element nowości. Mówiąc najkrócej jak się da: świat był ciekawy Polski i Ukrainy. Wiele do powiedzenia mieli też sponsorzy, łaskawym okiem zerkający na nowe rynki.

Byliśmy zorientowani, jak przygotowują się nasi rywale. Nie tylko z racji wykształcenia dobrze znam realia węgierskie, chorwackie oraz austriackie, sprawnie poruszam się w tych regionach. Dzięki temu wiedziałem, że propozycja węgiersko-chorwacka nie jest za mocna. Do promowania naszej kandydatury próbowaliśmy werбовать Zbyszka Bońka. Odmówił. Niespecjalnie mu się dziwiłem. Zbyszek to pół-Polak, pół-Włoch i taka jest prawda. Połowę życia spędził w Italii, przesiąkł sposobem ich myślenia, kulturą, sympatiami. Nie widziałem w tym nic złego, że nie chciał nam pomóc.

– Porywacie się z motyką na słońce – zaznaczył na starcie. – Nie macie żadnych szans na zwycięstwo, a ja do przegranych spraw się nie przyłączam. Wszystko jest już rozdane, mówię wam. Włosi są pewni zwycięstwa, gładko wygrają.

Zbyszek nie wziął pod uwagę ich ogromnych kłopotów ze stadionami. Bliżej im było do rupieci

niż nowoczesnych obiektów. U nas stadionów brakowało, ale mieliśmy gwarancję, że w razie zwycięstwa nikt nie pożąda środków na budowę nowych. Rząd włoski tak głęboko do kieszeni sięgnąć nie chciał, a przynajmniej tego nie pokazywał, a najchętniej zrzuciłby ten kosztowny obowiązek na samorządy i kluby. Wychodziło na to, że poza piękną historią Włosi mają niewiele do zaoferowania.

– Nie stoimy na straconej pozycji – napędzaliśmy się z Surkiszem.

Przed wszystkim czuliśmy wsparcie obu rządów. Za sobą mieliśmy wiele spotkań na najwyższym szczeblu, zaczynając od prezydenta Lecha Kaczyńskiego, kończąc na ukraińskiej premier Julii Tymoszenko. Włosi czy Węgrzy tak widocznym wsparciem pochwalić się nie mogli.

Przygotowanie takiego przedsięwzięcia jak organizacja EURO wymagało nieustannych spotkań i wyjazdów. Surkis naliczył u siebie 700 podróży w sprawie turnieju, ja nie okazałem się aż tak wielkim obywatelstwem – do samolotu w sprawie rozmów o EURO wsiadałem tylko 300 razy.

Pamiętam wspólną wyprawę z przedstawicielami Ministerstwa Sportu do Nyonu na rozmowy z UEFA. Strona rządowa wynajęła samolot i w sumie poleciało 30 osób – 10 z PZPN i 20 z ministerialnej puli. Szefem ich delegacji była Elżbieta Jakubiak. W samolocie jej ludzie zajęli miejsce po prawej stronie, my usiedliśmy po lewej. Wystartowaliśmy. Minister Jakubiak specjalnie odezwała się głośno do współpracownika, żeby i inni usłyszeli: – Nigdy nie sądziłam, że z tym PZPN będę musiała razem lecieć.

Zareagował Adam Olkiewicz, a przypominam, że byliśmy na wysokości 10 tys. m: – Pani minister, w każdej chwili można wysiąść.

Pani Jakubiak do końca dnia nie odezwała się do nas.

Rok 2007. W Cardiff miało się rozstrzygnąć, kto za pięć lat zorganizuje mistrzostwa Europy. Jako polska delegacja znaleźliśmy się w dziwnej sytuacji. Z jednej strony mieliśmy

► wsparcie rządu i prezydenta Lecha Kaczyńskiego, ale po wrogiej stronie wydawał się być minister Tomasz Lipiec. Wciąż coś mu nie pasowało. Chodził naburmuszony, wyglądał, jakby nasza kandydatura go uwierała.

Nie zamierzałem się tym przejmować. Wystawiliśmy mocną delegację na czele z Ireną Szewińską i przedstawicielami piłkarzy. Irena reprezentowała nas wspaniale. Wprawdzie była gwiazdą innej dyscypliny, ale nie przeszkodziło jej to skrócić *show* i skutecznie lobbować za naszą kandydaturą. Swoją życzliwością ujęła każdego z zebranych w Cardiff. Koledzy z konkurujących z nami krajów podchodzili i cmokali z zazdrością, że przywieźliśmy tak rozpoznawalną ikonę sportu.

Ostatnie chwile przed wyborami nie są zbyt interesujące. Oficjalna kolacja, spotkania i uśmiechy, raczej nieszczere. Włosi zachowywali się, jakby sprawa była już rozstrzygnięta, oczywiście na ich korzyść. Już wcześniej, na finałowej prezentacji kandydatur w Budapeszcie, ograniczyli się do kilku ładnych dziewcząt rozdających ulotki. Po godzinie się zmyli, za to nasze stoisko tętniło życiem do nocy. Jego efektowny wystrój kontrastował ze skromnymi stoiskami innych. Cały catering mieliśmy z kraju, przyjechały kontenery z polskimi specjałami, a furorę zrobiła sucha kiełbasa.

Noc poprzedzającą głosowanie w Cardiff zakończyłem sympatyczną rozmową z Surkiszem. Chwilę przed tym, jak rozeszliśmy się do spania, powiedziałem z przekonaniem:

- Wygramy w drugiej rundzie.
- Mylisz się, Michał. Wygramy w pierwszej – poprawił mnie Surkis. Zakład? Zakład. Stawką był dobry koniak. Głupio przyznać, ale do dziś nie wypłaciłem się z przegranej.

Pamiętam, że następnego dnia cierpiałem okrutnie. Z Ukraińcami dogadaliśmy się, że my załatwiamy przedstawicieli obu federacji garnitury, a oni buty. Te, które od nich dostałem, były tak niewygodne, że obtarłem stopy do krwi.

Ostatnie chwile... Michel Platini na scenie starał się zbudować



Prezes Michał Listkiewicz i Adam Olkiewicz, przewodniczący zespołu ds. EURO 2012, na konferencji w sprawie przygotowań do mistrzostw.

napięcie. Mocował się z wielką kopertą, niedbale rozrywając ją palcem. I zaczął: „Organizatorem EURO 2012... zostaje... Polska i Ukraina!”.

Zdażyłem tylko spojrzeć na Platinięgo. Jego mina była beczenna, nie potrafił skryć niezadowolenia. Przyznał później, że był przekonany o wygranej Włochów, zresztą ich poparł.

A my? W euforii! I to jakiej! Z tej radości wskoczyłem na plecy... Lipcowi. Można gdzieś nawet zobaczyć nagranie z tego skoku. Pierwotnie zamierzałem wyściskać Irenę Szewińską, rzuciłem się na nią, ale pomiędzy nami pojawił się Lipiec i dlatego wylądowałem na nim.

- Mogłeś lepiej ułożyć uczucia – dogryzali po wszystkim koledzy.

Świętowanie po takim zwycięstwie musiało być wyjątkowe. Oszczędzał się jedynie główny architekt tej wygranej. Surkis jest prawie abstynentem, więc pił niewiele. Za szefa nadrabiali jego przybocznicy. (...)

Czułem niedosyt, że nie byłem tym prezesem, który pięć lat później otwierał EURO. Ale to efekt mojej decyzji o odpuszczeniu wyborów w PZPN, więc nie mogę mieć pretensji. Ekipa Grzeska Łaty dobrze zorganizowała ten turniej. Przed nim odgrywałem dziwną rolę. Upominała

się o mnie UEFA i wymusiła, żebym został zatrudniony w roli doradcy dyrektora organizującego turniej, czyli Adama Olkiewicza. On też zachował się *fair*. Dostałem swój gabinet, zapraszano mnie na wszystkie zebrań. W sumie jednak czułem się jak piąte koło u wozu.

Trzymała mnie tam bardzo dobra pensja z UEFA. Niby to pół etatu, ale było lepsze niż trzy etaty w Polsce. To najłatwiej zarobione pieniądze w moim życiu, bo *de facto* bez pracy. Ustaliliśmy, że skoro nie ma dla mnie roboty, to nie będę przeszkadzał. Mogłem przychodzić, kiedy chcę, więc pojawiałem się dwa-trzy razy w tygodniu. Zależało mi tylko na jednym – miał na mnie czekać komplet gazet. Sekretarka zrobiła herbatę, zrobiłem przegląd prasy i w zasadzie tyle było tych obowiązków.

Uaktywniałem się, gdy do Warszawy przylatywała delegacja UEFA. Ich ulubionym miejscem spotkań stała się restauracja Pod Czerwonym Wieprzem na ulicy Żelaznej. Wielu kolegów z Europy, z sekretarzem generalnym UEFA Davidem Taylorem na czele, opowiadało, że przez 40 lat swojego życia wypili mniej alkoholu niż przez te kilkanaście miesięcy w Polsce.

Zresztą kilku pracowników z UEFA, zwłaszcza tych oddelegowanych na

ukraiński odcinek, po turnieju poprosiło o dłuższe urlopy na regenerację wątroby. Oni też podczas przygotowań wyrobili kilkuletnią normę spożycia alkoholu. Przekonali się, że jeśli chodzi o biesiady, to na Wschodzie nie ma przebaczyć. Inne normy w Warszawie też były zawyżone. Znamy restaurator opowiadał, że tydzień z ludźmi UEFA za stołami zapewniał mu zarobek porównywalny do tego, ile kasował w miesiąc bez nich. Na rachunkach najwięcej miejsca zajmował, nie będzie to niespodzianką, alkohol.

Zanosilo się, że podczas turnieju będę na kompletnym aucie. Splendor zbierała władza, nie tylko pezetpeenowska, ale i rządowa. I nagle, jak gwiazdka z nieba, trafiła mi się propozycja Davida Deina, honorowego prezesa Arsenalu, mojego dobrego przyjaciela.

– Słuchaj, masz trochę czasu? – zadzwonił zniecierpliwiony.

– No pewnie.

– Na EURO wynajmujemy mały samolot i chcemy obokoczyć kilka meczów. Będą Arsène Wenger, Gerard Houllier. Śmietanka spośród starszych trenerów. Ja to organizuję.

– Co miałbym robić?

– Zostać naszym przewodnikiem. Nie znamy języków, krajów. Wszystko inne jest załatwione: samolot, hotele.

Zgodziłem się bez wahania. Raz, że zapłacili mi jakieś pieniądze, a przede wszystkim oglądanie turnieju w takim gronie zapewniało unikatowe przeżycia.

Pamiętam naszą wyprawę z Warszawy na Ukrainę. Poruszaliśmy się ekskluzywną limuzyną – samolotem na sześć miejsc. Na Okęciu wyznaczono oddzielny terminal dla czarterów. Tam właśnie spotkałem całą ministerialno-pezetpeenowską wierzchuszkę. Była minister Jakubiak, prezes Lato. Grzesiek wydał się zaskoczony moją obecnością w miejscu dla VIP-ów.

– Cześć, Michał, ty na mecz? – przywitał mnie zdziwiony.

– No tak.

– Ale ty przecież z nami nie lecis.

Z politowaniem spojrzałem na kłopotliwego przez ministerstwo dla polskiej delegacji.

– No nie, ale na miejscu będę dwie godziny przed wami.

EURO przeżyłem jak przygodę. Arsène Wenger zapowiedział: – Majkel, uprzedzam cię, że jak jadę do obcego kraju, to się przygotowuję.

Myślałem, że przesadza, ale przekonałem się, że nie żartował. Przyjechał czytany, zaskakiwał znajomością naszej historii – potrafił wymienić pierwszego króla Polski czy rządzące dynastie. Innym razem rozmowa z nim zesłała na polską szkołę filmową, Arsène skupił się na filmach Munka i Wajdy.

Codziennie rano spotykaliśmy się w ich hotelu. Jedliśmy śniadanie i omawialiśmy plan dnia. W wolnej

Mina Platinię była bezcenna, nie potrafił skryć niezadowolenia. Był przekonany o wygranej Włochów.

chwili zabrałem ich do Oświęcimia, Wieliczki. Raz miało mnie zabraknąć na porannym planowaniu.

– Słuchajcie, syn ma paskudną kontuzję, złamał nogę. Dziś ma operację, chcę przy nim być. Przyjadę później.

– A jak daleko jest szpital? – zainteresował się Wenger.

– Z 15 minut stąd.

– Jadę z tobą.

W klinice Carolina na Stegnach leżał Filip, mój pasierb, syn żony z pierwszego małżeństwa. Traktuję go jak syna. Wszedłem sam do jego sali, Arsène został za drzwiami. Pacjent nie czuł się najlepiej, zresztą niewiele wcześniej w jego nogi wstawiono śruby.

– Ktoś chciałby się z tobą zobaczyć – przywitałem się.

– Daj spokój, wszystko mnie boli. Powiedz, żeby przyszedł jutro.

– Wiesz, ale to wyjątkowy gość. Mówi, że nazywa się Arsène Wenger.

Wtedy do sali wszedł Wenger: – *Hi* Filip.

Syn się rozpromienił. Zbiegli się też lekarze, zrobili pamiątkowe zdjęcia. Wenger, raz jeszcze podkreślę, przyszedł do szpitala z własnej woli.

Przylecieliśmy do Lwowa na mecz Niemców. Moim zadaniem było przygotowanie logistyki dla naszej grupy. Załatwiłem z Ukraińcami busa, ale brakowało przepustki, żeby wjechać pod stadion. Zatrzymaliśmy się pół kilometra od niego.

– Przepustka – zapytał chłodno milicjant.

– Nie mamy.

– To idziecie pieszo.

Może i nie byłoby problemu ze spacerem, gdyby nie oberwanie chmury, które właśnie nadeszło. Łało jak cholera i człowiek nawet w samochodzie czuł się niekomfortowo.

– Przepuście nas, jedziemy z Arsène'em Wengerem.

– Wymyśl coś lepszego.

– Naprawdę! Jest tutaj Wenger. Jeżeli nas przepuście, zrobi sobie z wami zdjęcia – zacząłem się targować. Poprosiłem Arsène'a, żeby pokazał się milicjantom.

– No, ale to nie on.

– Jak nie on, jak on.

Nie uwierzyli. Poprosiłem Arsène'a o paszport. Wtedy dotarło do nich, kogo zatrzymali. Nastawienie szybko się zmieniło. Wenger zapozował do wspólnych fotografii, a oni odeskortowali nas do miejsca, gdzie nie dowożono nawet Michela Platinię – zatrzymali się dosłownie kilka centymetrów przed schodami prowadzącymi na łóżę VIP.

David Dein nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. – Słuchaj, takie rzeczy w Anglii są niemożliwe. Nawet królowej by się nie udało bez przepustki.

– David, na szczęście jesteście na Ukrainie.



Fragmenty książki Michała Listkiewicza, Łukasza Olkowskiego i Piotra Wołosika *Listek. Najciekawiej jest po końcowym gwizdku*, Biblioteka „Przeglądu Sportowego”, Ringer Axel Springer Polska Sp. z o.o., Warszawa 2021

Rozmawia Artur Zaborski

Serial Player Original „Behawiorysta” to adaptacja powieści Remigiusza Mroza, króla polskiego kryminału. To twój obszar literacki czy trzymasz na nakastliku książki zupełnie innych autorów?

– Dostanę za to pewnie burę od całego fanklubu Remigiusza Mroza, ale nie jestem fanką powieści kryminalnych. Lubię takie historie w wydaniu serialowym, zwłaszcza skandynawskim, ze wspaniałymi krajobrazami i mrocznym klimatem. Ale w literaturze moje zainteresowania skierowane są gdzie indziej – najczęściej wybieram powieści i literaturę faktu.

Aktorka nie musi łączyć tematyki pracy z prywatnymi upodobaniami? Na planie możesz realizować się w konwencji morderstw, a w domu pochłaniać reportaże z podróży do odległych miejsc?

– Rozległe zainteresowania są wręcz bardzo pożądane w tym zawodzie. Według mnie aktor powinien dużo czytać i starać się być z kulturą, czy szerzej – z kulturą, na bieżąco. Dlatego naturalnie zetknęłam się

Każdy szczegół – nasza postawa, gestykulacja, to, jak się wystawiamy – to czyste fakty o nas.

z twórczością Remigiusza Mroza, zanim jeszcze otrzymałam rolę w „Behawioryście”, ale po przeczytaniu dwóch pozycji nie czułam potrzeby sięgnięcia po całą serię. Natomiast jeśli chodzi o realizację filmu lub serialu na podstawie powieści, to zapoznanie się z nią uważam za swój obowiązek. Nawet jeżeli scenariusz mija się z pierwowzorem, to przecież książka jest fundamentem. Skorzystanie z tego, co zaproponował autor, jest dla mnie bardzo pomocne. **Na potrzeby roli spotykałaś się też z behawiorystami?**

– Producentci ściągnęli na plan kinezyka, osobę zajmującą się czytaniem ludzi poprzez mowę ciała. Miałam możliwość przeprowadzenia prywatnej rozmowy z nim, podczas której mogłam się dowiedzieć,

Aktor dojrzewa na robocie

Im trudniejsze dostajesz zadanie, im bardziej cię ono przeraża, tym lepiej, bo masz szansę się rozwinąć

co oznaczają konkretne gesty, jakie są interpretacje różnych ludzkich reakcji, co w naszym zachowaniu jest prawdą, a co fałszem. Jest w Polsce kobieta, która zajmuje się psychologią kłamstwa. Bazuje ona na podobnych mechanizmach i tych samych warsztatowych umiejętnościach. Z wykształcenia jest psychologiem, ale podąża w stronę kinezyki. W wywiadach opowiadała, że bywa wynajmowana przez pracowników wielkich firm w celu przeprowadzania rozmów kwalifikacyjnych z osobami kandydującymi na wysokie stanowiska. Jej głównym zadaniem jest potwierdzenie deklaracji rozmówców co do posiadanego doświadczenia.

mnie zawodu, bardziej mnie to zafascynowało, niż zaniepokoiło. Aktorzy zajmują się w końcu pokazywaniem, ale i ukrywaniem. To niesamowite, jak wiele informacji możemy ujawnić w zupełnie niekontrolowany sposób. Każdy szczegół – nasza postawa, gestykulacja, to, jak się wystawiamy – to czyste fakty o nas. Doświadczyłam czegoś w rodzaju wróżenia z ręki podczas spotkania z kinezykiem, który tylko na podstawie uścisku dłoni rzucił mi kilka informacji na mój temat. Jakież 90% było zgodne z prawdą. Nazwał też jedną moją cechę, która może się objawić w przyszłości. Dla mnie jako aktorki było to świetne przeżycie.

Kinezykom musi być trudno oprzeć się pokusie korzystania z takich umiejętności w życiu prywatnym. A jak jest w twoim zawodzie? Lubisz zagrać przed rodziną lub przyjaciółmi albo „podkraść” im pewne zachowania czy reakcje, by użyć ich w roli?

– Nie gram w życiu, nie umiałabym udawać przed moimi bliskimi, zresztą oni od razu by to wyczuli. Ale te sfery, prywatna i zawodowa, oczywiście się przenikają. Aktorzy są przede wszystkim obserwatorami życia i tego zawsze mnie uczono. W tym zawodzie trzeba być czujnym, wykazywać zainteresowanie drugim człowiekiem i otaczającym światem. To najlepsze inspiracje. Nie jestem w stanie zbudować każdej postaci, bazując wyłącznie na własnych doświadczeniach, nie mam aż tak bogatego życia. Zwłaszcza kiedy mam styczność z ekstremalnymi wyzwaniami zawodowymi – w przypadku Brygidy, mojej postaci z „Behawiorysty”, jest to temat depresji

To bardzo ciekawe, bo pierwsze skojarzenie z kinezykami dotyczy raczej działalności kryminalnej, ewentualnie politycznej – manipulacji, pracy gestem i mimiką, które mają wzbudzać zaufanie. Ta psycholożka bywa również wynajmowana przez prywatnych detektywów, np. kiedy żona podejrzewa męża o zdradę. Niesamowite, w ilu dziedzinach taka osoba może funkcjonować.

Nie niepokoi cię, że ludzie mogą zdobyć tyle informacji na nasz temat wyłącznie poprzez patrzenie, jak się zachowujemy?

– Cóż, w pierwszej chwili każdy z nas pewnie poczułby się prześwietylony. To naturalne, że nie chcemy, aby ludzie tak szybko dowiedzieli się o nas pewnych rzeczy. Ale, być może z racji wykonywanego przeze



KATARZYNA DĄBROWSKA

– aktorka filmowa i teatralna

i łączącej się z nią próby samobójczej. Nie mam takich doświadczeń. Dlatego muszę być dobrym obserwatorem. Jednocześnie nie uważam, żeby to było jakimś znaczącym przekraczaniem granic. Nie wykorzystuję ludzi w moim otoczeniu, ale jestem na wiele rzeczy uwrażliwiona. Często słyszę, że jestem empatyczną osobą, że widzę problemy, które ktoś stara się ukryć. Inteligencja emocjonalna przydaje się w pracy, ale oczywiście nie wykorzystuję jej w negatywny sposób.

Depresja, próba samobójcza, rozpadające się więzi i relacje. Z tym mierzy się Brygida. Musisz z tym się zmierzyć razem z nią?

– Tak i może zabrzmieć to trochę dziwnie, ale była to dla mnie czysta przyjemność. Zadanie było trudne, jednak właśnie to sprawiało, że traktowałam je jak wyzwanie. A aktor dojrzewa – jak mówimy w środowisku – na robocie. Im trudniejsze dostajesz zadanie, im bardziej cię ono przeraża, tym lepiej, bo masz szansę się rozwinąć. Niestandardową cechą Brygidy jest to, że pomimo depresji, która kojarzy się ze smutkiem, bezradnością czy otępieniem, jest bardzo silna wewnątrz. Dla mnie jednym z najważniejszych tematów

serialu jest kłamstwo i rozpoznanie tego, co na swój temat pokazujemy, a co ukrywamy. Brygida przypomina mi te zwierzątka, które zmieniają umaszczenie, aby się zakamufłować i przetrwać. Jej postać to połączenie słabości i kruchości z siłą i determinacją.

Wiele informacji o sobie możemy ujawnić w niekontrolowany sposób.

Czy taka rola zmienia twoje postrzeganie osób z depresją?

– Oczywiście, że tak. Czytałam sporo na ten temat, przygotowując się do roli, rozmawiałam także o depresji z przyjaciółmi, bo część z nich cierpi na tę chorobę. Dobrze, że wreszcie zaczęliśmy o niej głośno mówić. Coraz mniej boimy się przyznać do tego, że się z nią zmagamy i korzystamy z pomocy. W moim środowisku mówienie, że uczęszcza się na terapię, nie jest niczym zaskakującym.

Ani wstydliwym.

– Na szczęście już nie. Czasami jest wręcz powodem do tego, aby się pochwalić – bo jest się na tyle dzielny, że wreszcie zrobiło się taki krok. Depresja to bardzo podstępna

choroba. Jeśli zostanie zbagatelizowana, wyśmiana, zredukowana do zwykłego doła, może doprowadzić do ogromnych tragedii. Jako młoda dziewczyna zafascynowałam się postacią Sylvii Plath, u której zdiagnozowano chorobę dwubiegunową.

Co cię w niej fascynowało?

– Z jednej strony, była bardzo silna i samodzielna, sprzeciwiała się konwenansom, a warto zaznaczyć, że były to czasy, gdy kobiety miały jedynie pełnić funkcję ozdobników przy mężczyznach, matek i strażniczek domowego ogniska. Z drugiej zaś, jej twórczość przepełniona jest opisami lęku i depresji. Ona chciała od życia czegoś więcej i ewidentnie nie radziła sobie z rzeczywistością. Właściwie wracamy do kwestii tego, że aktor powinien interesować się światem, czytać, oglądać. Bo okazuje się, że inspiracje zbieramy zawsze i wszędzie. Przeczytałam dzienniki, listy, poezję i powieść Sylvii Plath – i nagle podczas pracy nad rolą Brygidy przypominały mi się opisy jej stanów depresyjnych. Takie literackie wspomnienia bardzo pomagają w pracy, podobnie jak rozmowy z bliskimi, których dotknęła depresja. Przyjaciółka opowiadała mi o swoim samopoczuciu podczas choroby i o leczeniu. W pewnym momencie

chciała, żeby ktoś zamknął ją w ośrodku. Wiedziała, że nie ma już siły z tym walczyć i albo, łagodnie mówiąc, zrezygnuje z życia, albo podda się hospitalizacji. Na szczęście zadziałał w niej instynkt przetrwania.

Sylvia Plath dokładnie opisała swój proces chorobowy. Rękopisy, które po sobie zostawiła, to dziś właściwie gotowy zapis do analizy medycznej.

– Bardzo ciekawe było dla mnie zestawienie jej dzienników z listami, w których się kreowała, zakłamuje rzeczywistość. Jako aktorzy zawsze zadajemy to pytanie również w odniesieniu do swoich bohaterów – gdzie leży prawda, a gdzie zaczyna się kłamstwo? Co moja postać ukrywa? Co mówi, a co chciałaby ▶



► powiedzieć? Jest to bardzo dobry klucz do budowania postaci. W końcu wszyscy tworzymy pewne kreacje. Psycholożka od kłamstw napisała wprost, że kłamiemy wszyscy. I jest to nam w życiu potrzebne, bo istnieje taki rodzaj kłamstwa, który jest wyrazem empatii, przejawem troski o innych lub rodzajem samoobrony. Wszyscy jesteśmy kłamcami.

Kłamstwa i fałszowanie rzeczywistości są stale obecne w naszym życiu wirtualnym. Nasza codzienność w mediach społecznościowych to właściwie alternatywna wersja prawdziwego życia.

– Odkąd media społecznościowe stały się tak popularne, bywa, że zapala mi się w głowie czerwona lampka. Używam ich, ale nie relacjonuję mojego życia na bieżąco. Uważam, że jako aktorka wręcz nie powinnam tego robić, że w moim zawodzie wskazana jest pewna doza tajemnicy. Pokazywanie codzienności czy kulis swojej pracy od rana do nocy jest pułapką i prowadzi donikąd. Nie da się przy tym ukryć, że media rozwinęły w nas mechanizm podglądania. Kiedyś ludzie czytali dzienniki, listy i biografie, aby poznać ulubionego pisarza, dziś śledzą media społecznościowe swoich idoli. Takie

zachowania są z nami od zawsze i to jest OK, jednak internet sprawił, że podglądanie innych stało się niepokojąco łatwe.

Media społecznościowe już OK nie są?

– Pytanie, jak się je wykorzystuje. Dla mnie media społecznościowe to przede wszystkim narzędzie do komunikacji z widzami. Ale nie zapominam, że wszystko, co się w nich znajduje, jest pewnego rodzaju kreacją. Bo gdybym wzięła do ręki telefon, aby nagrać filmik o tym, co właśnie przygotowuję na obiad, to czy będę

W aktorstwie wskazana jest pewna doza tajemnicy.

nadal sobą, czy może już sam fakt transmitowania tego wydarzenia spowoduje, że ulegnę pokusie podkoloryzowania codzienności? Media społecznościowe to iluzja, staram się o tym pamiętać, bo łatwo mogą się stać także narzędziem manipulacji. I właśnie manipulacja to kolejny ważny temat „Behawiorysty”. Jako społeczeństwo jesteśmy manipulowani na wiele sposobów, bo podsuszanie nam określonych treści jest łatwe.

Jesteśmy wręcz zasypywani niezwykłymi treściami.

– W dzisiejszych czasach to rozpoznawanie prawdy bywa bardzo trudne, bo tak naprawdę spośród kilku wersji musimy wybrać taką, która wydaje nam się najbardziej prawdopodobna. Mamy wolność słowa, ale czy możemy tym mianem określić przekazywanie nieprawdziwych informacji, tego, co może być szkodliwe? Czy nie dochodzimy przypadkiem do momentu, w którym przydałoby się nam jakiś internetowy strażnik? A gdybyśmy zdecydowali się na takie rozwiązanie, czy nie zostałoby ono obrócone przeciwko nam? Czy nie zostalibyśmy odcięci od potrzebnej wiedzy, od prawdy? **Świat cyfrowy jest cały czas w fazie rozwoju. Sama pandemia pokazała nam, jak bardzo ta cyfryzacja może przyspieszyć. Tylko że nikt nie jest w stanie powiedzieć na pewno, dokąd nas to zaprowadzi.**

– Czytałam, jakie niebezpieczeństwa w samej koncepcji internetu widział Stanisław Lem. Zwracał uwagę, że to przestrzeń, w której każdy będzie mógł napisać cokolwiek, nawet największą głupotę, na dodatek zostanie ona tam na zawsze. Kiedyś wydanie książki czy opublikowanie artykułu wymagało czasu, wiązało się z długim procesem weryfikacji. Ktoś brał za to odpowiedzialność, teraz tak nie jest. Jak zatem odróżnić prawdę od kłamstwa? „Behawiorysta” pokazuje, jak łatwo ulegamy takiej medialnej manipulacji. Widzimy psychopatę wciągającego społeczeństwo w grę, w chory show,

w którym to ludzie zadecydują, kogo zabić, kto ma umrzeć. Pozwalamy na to, bierzemy w tym udział i to jest przerażające. Obawiam się też drugiej strony – czy w dzisiejszych czasach nie jesteśmy już przesyleni obrazami zła? Do tego stopnia, że zaczynamy być obojętni na krzywdę. I czy osoby odpowiadające za media biorą należyłą odpowiedzialność za to, co w nich się znajduje?

Twoim zdaniem biorą?

– Niestety nie.

Artur Zaborski

NA EKRANACH

Sonata

reż. Bartosz Blaschke, prod. Polska, już w kinach

Nareszcie w polskim filmie coś się przełamało i twórcy mówią o niepełnosprawnościach i towarzyszących im wyzwaniach bez litości i cikliwości. Świetna „Sonata” Tadeusza Łysiaka o niskorosłej Julii walczy o Oscara, a w kinach pojawia się „Sonata” oparta na doświadczeniach rodziny Płonków z Murzasichla. W latach 90. cierpiącego na silny niedosłuch Grzegorza lekarze błędnie zdiagnozowali jako autyka. Reżyser widzi jednak w tej historii coś innego niż pretekst, by ponarzekać na Polskę, system i niefachowość służby zdrowia. Woli się skupić na sile, jaką znaleźli w sobie Małgorzata i Łukasz Płonkowie (świetni Foremniak i Simlat), których upór i determinacja doprowadziły do tego, że Grzegorz (Michał Sikorski, odkrycie



tej produkcji) jest dziś znanym muzykiem. Bartosz Blaschke nie upiększa rzeczywistości i dobitnie pokazuje, że w tej rodzinie wszyscy musieli zapomnieć o sobie i skupić się na Grzegorzu, co odczuł zwłaszcza jego brat Michał.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

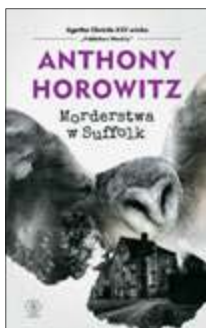
Anthony Horowitz

Morderstwa w Suffolk

tłum. Maria Smulewska

Rebis, Poznań 2022

Paskudne cechy osobowości Alana Conwaya znów dają o sobie znać. Pośmiertnie ten autor serii bestsellerowych kryminałów nadojadł swojej redaktorce już w „Morderstwach w Somerset”, teraz życie Susan Ryeland ko-



lejny raz znajdzie się przez niego w niebezpieczeństwie. Wydawałoby się, że ktoś, kto odkrywa, że w więzieniu siedzi za morderstwo niewinny człowiek, powinien biec na policję, domagać się sprawiedli-

wości, tymczasem Conway, lubujący się w takich gierkach, zaszyfrował tożsamość sprawcy w książce, do której akurat szukał inspiracji. I tenże tom cyklu o niemieckim detektywie Atticusie Pündzie mamy tu jako książkę w książce, Horowitz bowiem w obu częściach „Morderstw...” stosuje popularny w reklamie chwyt dwa w cenie jednego. A nawet jeszcze rozdziałik gratis. Ale z tej promocji naprawdę warto skorzystać.

Aleksandra Pańko

**„Turandot” w Operze Krakowskiej**

Uważany za arcydzieło, nieukończony utwór włoskiego kompozytora Giacomo Pucciniego, pociąga możliwościami interpretacji. „W »Turandot« zagadki są trzy, a życie tylko jedno – mówi Karolina Sofulak, reżyserka spektaklu. – Nowa inscenizacja prowadzi nas do serca baśni drogą rozciągającą się między Wschodem a Zachodem”. Kierownictwo muzyczne spektaklu sprawuje Tomasz Tokarczyk, wieloletni kierownik muzyczny krakowskiej sceny. Reżyseruje pierwsza Polka, która wygrała międzynarodowy konkurs reżyserii operowej European Opera Directing Prize w Zurychu, uznana reżyserka młodego pokolenia. Za kostiumy i scenografię odpowiada Ilona Binarsch.

PREMIERA 25 MARCA

BYLIŚMY

Ostatki w cieniu wojny

Widzów Opery Krakowskiej, którzy uczestniczyli w koncercie kończącym karnawał, nie zdziwiła częściowa zmiana programu. Napaść Rosji na Ukrainę nikogo nie napawała ochotą do zabawy. Koncert tym samym nabrał powagi, zaprezentowano fragmenty oper z repertuaru teatru, np. „Nieszporów sycylijskich” Verdiego czy „Rycerskości wieśniaczej” Mascagniego. W koncercie wzięła udział cała czołówka krakowskich solistów, którzy mieli okazję zaprezentować się w tym, co w ich repertuarze najlepsze. Osemkę śpiewaków mocno wspierał chór, a i balet nie ograniczał się do roli statystów. Gościem specjalnym był Andrzej Żarycki, kompozytor piosenek Ewy Demarczyk, Hanny Banaszak, Anny Szałapak czy Katarzyny Groniec, a także muzyki do dzieł choćby Agnieszki Holland czy Jana Machulskiego.

Było to podsumowanie karnawału i wejście w zadumę w czasach wojny. Czy za rok ostatkowy koncert będzie miał podobny wydźwięk?

Paweł Dybicz

„Nowy Rok w Wiedniu, ostatki w Krakowie”, inscenizacja Bogusław Nowak, kierownictwo muzyczne Tomasz Tokarczyk, Opera Krakowska, 1 marca 2022



Marta Zaraska

Pewien 55-letni Hindus mieszkający w Kanadzie, nazwijmy go pan Gupta, musiał przejść operację wszczepienia bypassów. Chciał się jej poddać w swojej ojczyźnie, więc pojechał aż do Pendżabu w Indiach. Na początku zabieg wydawał się przebiegać bez problemów, jednak z czasem sytuacja na sali operacyjnej zaczęła się pogarszać – pan Gupta nie przestawał krwawić. Lekarze przetoczyli mu jedną jednostkę osocza, potem kolejną. Po kilku dawkach preparatu krwawienie ustąpiło, ale gdy lekarze badali pacjenta jakiś czas po operacji, zauważyli, że jego klatka piersiowa pokryta jest ogromnymi siniakami – przedstawiające je dość niepokojące zdjęcie można zobaczyć w pracy naukowej dokumentującej ten przypadek, którą trzej kardiologowie opublikowali w 2016 r.

Później lekarze odkryli prawdopodobną przyczynę tajemniczego krwawienia pana Gupty: suplementy diety w tabletkach. Przed operacją Gupta miał w zwyczaju brać trzy razy dziennie kupowane bez recepty kapsułki z kwasem omega-3 i kwasem oleinowym oraz dwa razy dziennie kapsułki z czosnkiem i tymiankiem. Biorąc pod uwagę wpływ, jaki takie produkty mogą mieć na zlepianie płytek krwi i powstawanie skrępków, lekarze doszli do wniosku, że znaleźli prawdopodobnego winowajcę. Pan Gupta w końcu wyzdrowiał, jednak jego lekarze napisali potem w artykule naukowym, że przypadek ten „pokazuje zagrożenia związane z przyjmowaniem niektórych suplementów diety”.

Szacuje się, że każdego roku w samych tylko Stanach Zjednoczonych dochodzi do ok. 50 tys. poważnych zdarzeń niepożądanych związanych z zażywaniem suplementów diety. W 2013 r. aż 20% przypadków uszkodzeń wątroby wywołanych przez leki wynikało z przyjmowania ziół i suplementów diety, co oznacza wzrost z 7% w 2004 r. Co więcej, tym pechowym pacjentom, którzy doznali niewydolności wątroby po zażyciu ziołowych tabletek, znacznie częściej grozi przeszczep



Strzeżcie się suplementów diety

Co jeść, aby zachować zdrowie?
Odpowiedź jest nudna: dużo owoców i warzyw

tego organu niż osobom, które uszkodziły wątrobę, zażywając leki na receptę.

Jednym z suplementów diety, reklamowanym w internecie jako cudowne lekarstwo na wszystko, jest wyciąg z rośliny z wysp Pacyfiku zwanej kawa. Ma on być naturalnym lekiem przeciwłękowym, zatrzymywać wzrost guzów piersi, leczyć depresję i chronić przed chorobą Alzheimera. Te niedorzeczne zapewnienia nie są poparte żadnymi naukowymi dowodami. Za to istnieją dowody na to, że kawa może uszkodzić wątrobę. Organy służby zdrowia w kilku krajach, m.in. w Kanadzie, Wielkiej Brytanii i Francji, zgłosiły co najmniej 25 przypadków uszkodzenia wątroby, w tym jej niewydolności. Produkty na bazie kawy zostały zakazane w niektórych z tych krajów, np. w Wielkiej Brytanii, a organizacja

Consumer Reports umieściła tę roślinę na liście „15 składników suplementów diety, których należy unikać”. Mimo to w pewnych kręgach fanatyków zdrowego stylu życia kawa cieszy się dużą popularnością. W ostatnich latach w Stanach Zjednoczonych otwarto ponad 100 wyspecjalizowanych kawa barów, z czego ponad 50 na samej Florydzie, które oferują napoje z tej rośliny przygotowane na bazie soku i wody kokosowej.

Jak to możliwe, że produkt, którego nazwa brzmi niewinnie: „ziołowy” lub „suplement diety”, może być tak groźny dla zdrowia?

Po pierwsze, mniej więcej jedna czwarta suplementów może zawierać substancje zanieczyszczające, które dostały się do nich podczas procesu produkcyjnego – np. metale ciężkie, takie jak ołów czy rtęć, lub

środki farmaceutyczne. Od 2014 r. w ponad 500 suplementach diety odkryto skażenia farmaceutykami, takimi jak analogi amfetaminy czy alprazolam (Xanax).

Po drugie, możemy nie wiedzieć, jak właściwie dany suplement diety działa na organizm. Leki na receptę przechodzą długotrwałe badania kliniczne. Suplementy nie. Nie podlegają one również właściwie żadnej kontroli – w Stanach Zjednoczonych Agencja Żywności i Leków (FDA

Częstym problemem są także niebezpiecznie duże dawki – dotyczy to zarówno ziołowych suplementów diety, jak i witamin. Niektóre substancje toksyczne w dużych ilościach są truciznami, jednak podawane w małych dawkach mają dobry wpływ na zdrowie. Efekt ten, nazywany hormezą, dotyczy np. wielu fitochemikaliów, związków, które rośliny wytwarzają w celu zabicia lub odstraszania szkodników. Są nimi chociażby znane zapewne wielu miłośnikom

amerykańskich lekarzy wynika, że ci, którzy przyjmowali multiwitaminę w tabletkach, mieli o 7% wyższe ryzyko śmierci z powodu chorób układu krążenia od tych, którzy nie sięgali po takie suplementy diety.

Jedną z przyczyn szkodliwego działania witamin może być skomplikowane działanie antyoksydantów w organizmie. Chociaż często są one reklamowane jako niemal cudowne substancje, które mogą zniszczyć niebezpieczne wolne rodniki i zapobiec starzeniu, to tak naprawdę przeciwutleniacze, które tkamy w postaci suplementów diety, mają znacznie mniej pozytywny wpływ na nasze komórki. Coraz więcej badań pokazuje, że wolne rodniki są ważną częścią mechanizmów naprawczych organizmu (właśnie dlatego ćwiczenia fizyczne są dobre dla organizmu – w ich wyniku powstają wolne rodniki). Jeśli wpuścicie zbyt wiele antyoksydantów w postaci oczyszczonych substancji do komórek, to mogą one w końcu zakłócić te ważne procesy naprawcze. Poza tym mogą one nawet chronić komórki nowotworowe przed wolnymi rodnikami, które usiłują pozbyć się intruzów. Żeby było jasne: nie oznacza to, że antyoksydanty zawarte w całej żywności są szkodliwe. Wręcz przeciwnie. Po

W recenzji naukowej z 2017 r. określono cudowne właściwości kurkuminy jako „wiele hałasu o nic”.

– Food and Drug Administration) nie sprawdza ich bezpieczeństwa, dopóki nie pojawią się w sklepach. W Unii Europejskiej suplementy diety są uznawane za „żywność”, a ich kontrola jest bardzo utrudniona, zwłaszcza że wiele z nich jest sprzedawanych w internecie. W Kanadzie „naturalne produkty zdrowotne” – witaminy, minerały, leki ziołowe itp. – muszą być oceniane pod kątem bezpieczeństwa przez agencję rządową Health Canada. Jednak proces ten jest oparty przede wszystkim na dokumentach papierowych, a dowody przedstawione przez producentów nie muszą być szczególnie solidne.

Kolejną kwestią są interakcje z lekami i skutki uboczne. Suplementy diety są substancjami czynnymi i mogą wchodzić w interakcje z tabletkami na receptę tak samo jak inne farmaceutyki. Mimo to co szósta osoba, która przyjmuje leki na receptę, zażywa również co najmniej jeden suplement diety. Aby narobić sobie kłopotów, nie trzeba nawet naśladować futurologa Raya Kurzweila, który zażywa metforminę oraz 90 innych tabletek dziennie, w tym te zawierające wyciąg z zielonej herbaty, jeżówkę oraz korzeń gencjany. Problemy mogą spowodować zaledwie dwie niewłaściwie substancje zmieszane razem. Na przykład dziurawiec zwyczajny może wejść w interakcje z lekami na nadciśnienie i doustnymi środkami antykoncepcyjnymi.

zdrowego odżywiania glukozytolany (stojące za korzystnymi dla zdrowia właściwościami brokułów) oraz taniny (zawarte w czerwonym winie). Przedawkowanie brokułów jest właściwie niemożliwe ze względu na fizyczne ograniczenia żołądka. (...) Natomiast fitochemikalia znajdujące się w suplementach diety to już zupełnie inna historia. Na przykład niektóre tabletki z wyciągiem z zielonej herbaty sprzedawane w Stanach Zjednoczonych w internecie, zawierają nie mniej niż 274 mg fitochemikaliów zwanych katechinami. Z zaleceń

Dane z badań nad owocami goji są bardzo skąpe. Prawie wszystkie przeprowadził pracownik firmy produkującej sok z jagód.

umieszczonych na etykiecie wynika, że należy zażywać trzy tabletki tego preparatu dziennie, ale Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności uważa, że grozi to uszkodzeniem wątroby.

To samo dotyczy preparatów witaminowych w tabletkach. Wysokie dawki witaminy C mają związek z niewydolnością nerek, a witaminy E z rakiem. Metaanalizy wyników badań pokazują, że przyjmowanie 400 IU lub więcej witaminy E dziennie może w rzeczywistości skrócić życie. Dotyczy to również suplementacji beta-karotenu i witaminy A, która wcale nie jest dużo lepsza. Z badania przeprowadzonego na ponad 80 tys.

raz kolejny okazało się, że istotna jest różnica pomiędzy mieszankami różnych naturalnie występujących związków, które oddziałują na siebie z pożytkiem dla organizmu (jak w przypadku marchewki), a oczyszczonymi składnikami (witaminy w tabletkach).

Jeśli naturalne pokarmy mają znacznie korzystniejszy wpływ na długowieczność niż suplementy diety, może *superfoods* są superdobre dla poprawy stanu zdrowia? Postanowiłam to sprawdzić. Wybrałam się do znajdującego się ok. 20 minut jazdy od mojego domu sklepu Naturalia, francuskiego odpowiednika amerykańskiego supermarketu Whole

► Foods. Zabrałam ze sobą długą listę rzekomo niezwykłych produktów reklamowanych na blogach i w magazynach o zdrowiu jako *superfoods*. Po wydaniu znacznie większej kwoty pieniędzy, niż chcę przyznać, wróciłam do domu z torbą pełną smaczków. Nazajutrz rozpoczęłam dzień z superżywnością.

Na śniadanie przygotowałam organiczny grecki jogurt z mieszanką jagód, płatkami owsianymi i hojną posypką z jagód goji, do tego filiżankę matchy i szklankę kombuchy (sfermentowanej herbaty). Lunch składał się ze *smoothie* z jarmużu i szpinaku z dodatkiem świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego, świeżego imbiru, kurkumy oraz proszku z owoców baobabu. Zrobiłam sobie też kanapkę z pełnoziarnistego chleba z nasionami chia i mielonym siemieniem lnianym, zwieńczoną awokado i żółtymi pomidorami typu *heirloom*. Popiłam odrobiną matchy. Na przekąskę było *smoothie* z buraka i marchewki z sokiem z jagód acai plus dwie kostki ciemnej czekolady – oczywiście surowej. Kolacja to toskańska zupa

z białej fasoli z organicznym, pełnoziarnistym makaronem. A potem znowu wypijałam kombuchę. Przewidywałam, że albo zmienię się w *superwoman*, albo skończę z superrozstrojonym żołądkiem.

Na początku byłam dość naładowana energetycznie. Samo myślenie o wszystkich tych *superfoods* krążących po moim ciele i pobudzających

do naukowego. Substancje bioaktywne w żywności potrzebują czasu, aby wykonać dobrą robotę w organizmie, a jeden dzień to zwyczajnie za mało. Można by również powiedzieć, że nie jadłam wystarczająco dużo superżywności. Dostępność takiego jedzenia na francuskiej prowincji nie jest tak duża jak np. w amerykańskiej metropolii, gdzie mogłabym jeszcze

Wysokie dawki witaminy C mają związek z niewydolnością nerek, a witaminy E z rakiem.

moje komórki dodawało mi energii. Jednak w miarę upływu dnia zaczęła się u mnie pojawiać ochota na ciasteczka i frytki i wkrótce nie potrafiłam myśleć o niczym innym. Mało tego, do wieczora czułam się tak zmęczona, jak przystało na pracującą matkę – czyli byłam wyczerpana podobnie jak prawie każdego innego dnia.

Rzecz jasna, mój eksperyment trwał bardzo krótko i z pewnością nie mógł być uznany za nawet zbliżony

kupić liście moringi, sproszkowane owoce duriana, miód manuka, sproszkowany korzeń ashwagandhy albo shilajit, mech irlandzki czy grzyby reishi. Moje początkowe wrażenie przyływu energii było zapewne spowodowane efektem placebo. Przekonałam się, że pogoń za superżywnością wymaga wiele wysiłku, czasu i pieniędzy.

Kiedy skończyłam z przyrządzaniem *smoothie* z baobabu w proszku, nadszedł czas na lekturę badań

MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI

10.03.2022, godz. 11.00

„Mazurek Dąbrowskiego”
– „hit” nieśmiertelny

Zapisy: edukacja@muzeumniepodleglosci.art.pl
tel. 22 827 96 43

Rodzinna Niedziela w Muzeum Niepodległości

i rozmowę z naukowcami. Dowiedziałam się, że nawet gdybym przedłużyła moje doświadczenie z superżywnością do tygodnia albo miesiąca, i tak niewiele by to zmieniło. Dlatego że większość tych wymyślnych *superfoods* tak naprawdę nie działa.

Jeśli interesujecie się długowiecznością i zdrowiem, to możecie mieć trudności, by być na bieżąco z odkryciami związanymi z superżywnością. Ja z pewnością mam z tym problem. Jednego dnia są to jagody goji, następnego matcha. Teraz modny jest proszek z liści indyjskiego drzewa zwanego moringa (*Moringa oleifera*). Jest bogaty w białko i żelazo, ma obniżać poziom cholesterolu, chronić układ krążenia i zmniejszać stany zapalne. (...) Mnie jednak nie udało się znaleźć żadnych wiarygodnych badań na temat korzyści zdrowotnych, jakie daje jego spożywanie. Jak napisał jeden z kanadyjskich badaczy: „Entuzjazm dla korzyści zdrowotnych *Moringa oleifera* pozostaje w jaskrawej sprzeczności z niedostatkiem mocnych dowodów z eksperymentów i badań klinicznych na ich poparcie”. To samo z jagodami goji znany również jako „himalajskie owoce długowieczności”. Mają one leczyć cukrzycę, zapobiegać nowotworom i pomagać w zrzuceniu zbędnych kilogramów. Dane z badań nad właściwościami tych owoców są bardzo skąpe. Prawie wszystkie zostały przeprowadzone przez jedną osobę – pracownika firmy produkującej sok z jagód goji. Zachodzi tu oczywisty konflikt interesów.

Kolejna rzekomo cudowna żywność, żółta przyprawa zwana kurkumą, również nie przeszła szczegółowych badań. Choć istnieje całkiem sporo wyników testów świadczących o zaletach jej składnika, kurkuminy, większość z nich to mylące informacje. Kurkumina została zaliczona do grupy związków chemicznych zwanych PAINS. Podczas badań prowadzonych w celu znalezienia nowych leków związki te wykazują skłonność do dawania wyników fałszywie dodatnich, ponieważ często reagują z wieloma obiektami biologicznymi. W recenzji naukowej opublikowanej w 2017 r. w „Journal of Medicinal Chemistry” określono rzekome

cudowne właściwości kurkuminy po prostu jako „wiele hałasu o nic” i ostrzeżono, że ten związek chemiczny może „oszukać niedoświadczonych naukowców i doprowadzić do błędnej interpretacji wyników badań”. Kurkumina jest w rzeczywistości „oszustem” świata związków chemicznych wykazującym fałszywą aktywność w nieprawidłowo przeprowadzanych badaniach. Jak dotąd żadne kontrolowane badanie kliniczne placebo z podwójnie ślepą próbą z udziałem kurkuminy nie potwierdziło jej rzekomych zalet.

Dodawanie wymyślnych *superfoods* do diety nie jest zapewne najlepszym pomysłem, ale rezygnacja z licznych zdrowych produktów też nie jest dobrym rozwiązaniem, jeśli chce się przedłużyć życie. Mimo że częstość występowania celiakii utrzymuje się w Stanach Zjednoczonych

co dzień spożywają niewielkie ilości glutenu, częściej chorują na cukrzycę i choroby wieńcowe od tych, którzy spożywają go więcej.

Jeśli więc dieta nie zawiera wielu produktów, które są powszechnie uznawane za pożywne (owoce, warzywa itp.), istnieje duże prawdopodobieństwo, że jest ona fanaberią. Upředzając pytanie – wegetarianizm nie jest jedną z nich. Po pierwsze, wyklucza on tylko jeden rodzaj pożywienia – mięso; po drugie, istnieje wiele badań wykazujących, że rezygnacja z mięsa może znacznie przedłużyć życie. Jedno z nich, przeprowadzone w Kalifornii, udowodniło, że wegetarianie żyją dłużej od innych ludzi: średnio o 9,5 roku w przypadku mężczyzn i 6,1 roku w przypadku kobiet. Dodanie 85 g czerwonego mięsa do normalnej codziennej diety zwiększa ryzyko śmierci z powodu

Wystarczą jabłka, kapusta, pomidory, brokuły czy szpinak. Tanie, zwykłe produkty, które wcale nie muszą być organiczne.

na poziomie poniżej 1%, jedna czwarta Amerykanów utrzymuje, że unika glutenu. 35% spośród nich robi to „bez żadnego powodu”, poza przekonaniem, że żywność bezglutenowa jest w jakimś sensie zdrowsza. Jednak tak nie jest.

Z badania ponad 1,7 tys. produktów dostępnych na rynku brytyjskim wynika, że produkty bezglutenowe, m.in. płatki śniadaniowe, chleb, makarony, zawierają więcej tłuszczu, cukru i sodu niż ich tradycyjne odpowiedniki. Inne badania wykazały, że zawierają one także mniejsze ilości niektórych witamin. Zamiast tego zazwyczaj zawierają więcej metali ciężkich. W próbkach krwi i moczu osób na diecie bezglutenowej wykrywano o 47% wyższy poziom rtęci i o 80% wyższy poziom arsenu. Aby wyprodukować żywność bez glutenu, który nadaje jej odpowiednią konsystencję, trzeba ją jeszcze bardziej przetworzyć, często szpikując ją dodatkami. W rezultacie, na co wskazują badania epidemiologiczne, ludzie, którzy na

chorób układu krążenia o 16% w ciągu kolejnych 20 do 30 lat życia. Jeśli np. każdego dnia ćwiczycie przez 20 minut, aby utrzymać serce w dobrej kondycji, to te 85 g boczku czy steku może zniweczyć cały wasz wysiłek.

Jeśli bezglutenowe produkty dla większości osób bez celiakii nie mają sensu, superżywność nie jest wcale taka super, a wysokobiałkowe diety mogą mieć negatywny wpływ na długowieczność, to co powinniśmy jeść, aby zachować zdrowie? Odpowiedź jest niestety nudna: dużo owoców i warzyw. I nie muszą być egzotyczne – więc niekoniecznie rambutan czy pitaja, chyba że mieszkacie w południowo-wschodniej Azji. Wystarczą jabłka, kapusta, pomidory, brokuły czy szpinak. Tanie, zwykłe produkty, które wcale nie muszą być organiczne.



Fragmenty książki Marty Zaraski
Tajemnice długowieczności, przekład
Sławomir Paruszewski, W.A.B.,
Warszawa 2022

Wojciech Ganczarek

Korespondencja z Paragwaju

– A ta wielka cebula?

Skromny wybór warzyw zielenieje rozłożony w niewielkie stosiki na stole z białego plastiku. Obok piętrzą się talerzyki z sushi i bułeczkami na parze ze słodkim nadzieniem z czarnej fasoli. Mężczyzna w białym fartuchu i ze szpachelką w dłoni czyści energicznie czarną blachę do smażenia.

– Cebula? – odwraca natychmiast głowę, podczas gdy jego prawa ręka nie ustaje w zeskrobywaniu resztek jedzenia przywierających do niedoskonałości metalu. – Jaka cebula, proszę pana?

To drugi dzień targów organizowanych corocznie w miejscowości La Colmena, japońskiej kolonii w sercu Paragwaju. Data wydaje się sprzyjać wysokiej frekwencji: wolne dni zaraz przed Wielkanocą. Ale w tym roku intensywne deszcze pokrzyżowały plany sprzedawcom i klientów jest jak na lekarstwo.

Przyjezdny, który pytał o cebulę, wskazuje palcem w kierunku długich, ciemnozielonych liści wyrastających bujnie z niewielkiej, białej główki.

– To nie cebula. To por, proszę pana.

Mango i chrust

Niedzielnny poranek, droga krajowa numer 3, która przecina departament San Pedro, rozciągając się z północy na południe i odwiedzając po drodze niewielkie Azoteý. W okolicach Cruce Libertad, a nawet nieco bardziej na północ, po obu stronach drogi wyrastają dwa rzędy domów: kolumny budynków, które zdają się nie mieć końca. W sektorach uboższych na skraju asfaltu pojawiają się stoiska z pieczoną wołowiną, kiełbaskami i *sopa paraguaya*. W sąsiedztwach zamożniejszych można trafić na przydomowe sklepiki z ich ograniczoną gamą produktów, ale zawsze oblepione od ziemi aż po dach plakatami i logo sieci telefonii komórkowej i producentów napojów gazowanych. Domy wyglądają na skromne, ale zadbane. (...)



PARAGWAJCZYK

zna się tylko na manioku

Ludzie sieją, jak popadnie.
Nikt się nie zna na nowoczesnym rolnictwie.
Uprawia się według starych wierzeń

Przed domem w fotelu siada mężczyzna. Żona przykuca na drewnianym taborecie obok. Właśnie kończy swoją turę picia *tereré* (popularny w Ameryce Południowej napój, który przyrządza się na zimno z liści ostrokrzewu paragwajskiego). Córka wyciąga rękę, by przejąć tykwę i napełnić naczynko lodowatą wodą przechowywaną w termosie. Brat siedzi obok z nosem wlepionym w telefon. Nikt się nie porusza, jakby z obawy, by przypadkiem nie wychylić się z bezpiecznej przestrzeni cienia wprost w palące promienie słońca.

Teraz proszę pomnożyć sobie tę scenę przez tysiąc.

– Problem, z jakim borykali się imigranci – powiedział Tadeusz Nita, potomek Polaków, kiedy opowiadał o pierwszych doświadczeniach swojej rodziny na transatlantycznej

ziemi – polegał na zdobyciu sadzonek manioku.

Według Nity Paragwajczycy nie mieli zwyczaju przechowywania żywności: okoliczne lasy obfitowały w owoce i dzikie zwierzęta, więc nie trzeba było martwić się o pożywienie na zapas.

– Liczyli tylko, ile zjedzą w ciągu roku. Jeśli dziennie rodzina zjadała bulwy z jednej rośliny manioku, przygotowywali 365 sadzonek, ani jednej więcej – zapewniał mnie Nita. – Mieli dokładnie tyle, ile potrzebowali, więc nie mogli odstąpić sadzonek imigrantom, bo zabrakłoby dla nich samych. (...)

Ojciec Andrzej z Mbaracayú: – Jakś czas temu pracowały z nami dwie siostry misjonarki: jedna z Włoch, druga tutejsza, z Paragwaju. Latem Włoszka zabrała się za przetworzy z mango: kompoty, dżemy itd.

Paragwajczycy ze swoim silnym poczuciem tożsamości narodowej lubią eksponować narodowe barwy: niebieską, białą i czerwoną.

Paragwajka patrzy na nią i pyta, po co to robi. Przecież następnego dnia, mówi, też będzie mango na drzewie. No tak, a zimą? – odpowiada tamta. Na co Paragwajka odparowuje: zimą będą pomarańcze i mandarynki.

– Paragwaj-raj, mówiło się – wspominał także Nita z uśmiechem – bo tu nie ma głodu, nie ma zimy. Wszystko rośnie samo – zapewnia – bez wysiłku. Masz żyzną glebę, sprzyjający klimat i wody pod dostatkiem.

– Moja rodzina nie miała ziemi – opowiada Katia, która przygotowuje *chimarrão* (znacznie bardziej pylista, brazylijska odmiana *yerba mate*) dla klientów rolniczej instytucji finansowej – ale pamiętam, że nasi sąsiedzi, również imigranci brazylijscy o niemieckich korzeniach, mieli własne pole i o siódmej rano byli tam już w komplecie – zapewnia. – Całą rodziną: rodzice i dzieci, każdy z motyką w ręce. A Paragwajczyk? Ha, plaga z tych Paragwajczyków! – proszę sobie wyobrazić: Paragwajczycy plągą w Paragwaju. – Paragwajczyk siedział przed domem i siorbał *yerba mate*!

W tygodniach poprzedzających moją wizytę padało obficie. Gdy potem przedzieraliśmy się przez ogród Nity, stopy grzęzły nam w bujnej zieleni. Wszędzie coś rośnie. Jasnozielone, młode łodygi wystawały z każdego centymetra dostępnej przestrzeni.

– Zjadasz owoc, wyrzucasz pestkę i zaraz masz kolejne drzewo. Czego tu nie mamy: pomarańcze, papaje, trzcina cukrowa, mango... Latem mango jest jak zaraza: w kilka dni zapaskudzi całe obejście. Zbieram je na taczkę i rzucam świniom. Co zrobisz z taką ilością owoców?

I tak Nita stał się Paragwajczykiem.

– Jeśli widzisz Paragwajczyków przed domem z *yerba mate* w dłoni o dziewiątej rano, to nie znaczy, że dopiero wstali – zaznacza ojciec Piotr. – No dobrze, może akurat jeden taki się trafi, ale większość poszła w pole o czwartej, o piątej rano, i właśnie wróciła.

– Czy się nie bałem? – bo spytałem też Mariana Mazalewskiego z kolonii Fram, czy nie obawiał się dawać córkę za żonę Paragwajczykowi. – Pewnie, że się bałem! Zastanawiałem się, jakie życie ją spotka, bo ci ludzie, jak by to powiedzieć – pan Marian zastanawia się nad odpowiednim wyrażeniem – no, np. oszczędzać to nie potrafią – wyrzuca z siebie i teraz przyspiesza, słowa wypadają mu z ust jedno po drugim.

Paragwaj-raj, mówiło się, bo tu nie ma głodu, nie ma zimy.

– Któregoś razu odwiedził nas misjonarz z Niemiec – mówi ojciec Piotr. – Czasem przyjeżdżają tacy na tydzień czy dwa. Akurat było coś do zrobienia na ogrodzie: wykopać studnię, coś w tym rodzaju. I on, wyuczony niemieckiego harmonogramu dnia, mówi: dobrze, zjemy spokojnie śniadanie o siódmej, pomodlimy się



– Problemem imigrantów było zdobycie sadzonek manioku – mówi Tadeusz Nita, potomek polskich emigrantów z paragwajskiej kolonii Fram.

chwile w kaplicy i zaczniemy pracę o ósmej – ojciec Piotr zdradza dalszy ciąg historii sarkastycznym uśmiechem. – No a ty wiesz, jak tu jest: o ósmej, no, o dziewiątej, jeszcze idzie wytrzymać. Ale tak o dziesiątej rano latem słońce pali, że ja ci dziękuję. Mało brakowało, żebym musiał pogotowie po niego wzywać, bo mi się facet zagotował.

– Gdy w Paragwaju było jeszcze drewno, mieliśmy z rodziną tartak – mówi pan Marian. – Jeden z pracowników, Paragwajczyk, przychodził do

pracy najwyżej na dwa, trzy dni. Ledwie dostał do ręki trochę forsy, zniknął. Pojadł sobie, dobrze się ubrał: bo on zawsze taki wymyty, wypachniony – ironizuje chłodno Mazalewski i słysząc, że mimo sympatii nabytej przez lata, zachowuje żywą obrazę z przeszłości, kiedy to pracownicy nie przychodzili do pracy, a sąsiedzi kradli kołdry z poddasza. – Dopiero gdy wydał już wszystko, co zarobił, wracał do tartaku.

– Teraz masz to samo: Niemiec – Katia już nawet nie wspomina o Brazylii, bo powinno być: Brazylijczyk pochodzenia niemieckiego – potrafi dzwonić o piątej rano, żeby zapytać, czy przysły już insektycydy, które zamawiał. A Paragwajczyk? Niedawno znajoma dostała pracę jako nauczycielka. A jako że miała 20 ha pola, powiedziała sąsiadom, Paragwajczykom, że mogą ich używać bez problemu. Wróciła po miesiącu i co? Paragwajczyk obsiał 10 ha. Co się stało, pyta moja znajoma, a druga połowa? Sąsiad na to: nam 10 ha zupełnie wystarczy.

– Pamiętam, że kiedy byłem mały, nasi sąsiedzi mieli w zwyczaju gromadzić przedmioty, przede wszystkim drewno, chrust – Elvio urodził się w południowej części departamentu Itapúa: Paragwajczyk otoczony europejskimi imigrantami. – Mnóstwo tego mieli: całe szopy pełne drewna. To mnie zawsze zastanawiało – mówi teraz wolniej, z nutą refleksji, tak jakby zapasy chrustu zastanawiały go w dalszym ciągu. Zostawia nienaturalnie długą pauzę i wreszcie kontynuuje. – Nie rozumiałem, po co im to było, bo u nas nie ma potrzeby tyle gromadzić. A przynajmniej ja nigdy takiej potrzeby nie widziałem. Nie rozumiałem ich zwyczajów.

Motyka i GPS

Interesujące w anegdocie o porze jest to, że mężczyzna, który pytał o „tę wielką cebulę”, nie był laikiem w temacie, miastowym oderwanym od rzeczywistości, skłonny

► wierzyć, że mleko pochodzi z supermarketu. Wręcz przeciwnie: urodził się na wsi i wzrastał, uprawiając ziemię. Jakby tego było mało, skończył technikum rolnicze ojców werbistów w Pastoreo, a następnie kształcił się jako nauczyciel w materii rolnictwa. Obecnie pracuje w państwowej szkole rolniczej niedaleko Ybucui.

Wszystko rośnie samo bez wysiłku. Masz żyzną glebę, sprzyjający klimat i wody pod dostatkiem.

– Uczę mechaniki i naprawy maszyn rolniczych – opowiada. – Jakie mamy problemy? Przede wszystkim, że szkoła nie posiada ani jednego traktora, na którym mógłbym czegośkolwiek nauczyć.

Potem jeszcze pytał mężczyznę w białym fartuchu, czy te pory przywożono z Japonii, i musiał znieść poślizgiwy ton odpowiedzi, że nie, że rosną tutaj, u stóp wzgórz Apyraguá.

– Różnica jest taka, że Japończycy wiedzą, kiedy zasiać marchew, ogórki, winogrona – mówi Gustavo, znajomy Cabrery – a Paragwajczyk zna się tylko na manioku, na niczym więcej.

Victor Hugo z Radia Paí Pukú: – Potrzebujemy się kształcić: niech nam wyślą techników, nauczycieli,

bo my pochodzimy z innej kultury. Wyrośliśmy na zbieractwie, na polowaniach.

– Z tym brakiem przeszkolenia mają nawet trochę racji – przyznaje Lorenzo, rządca gospodarstwa państwa Gómez, który twierdzi, że problemem wsi są wieśniacy. – Niedawno odbył się rządowy program uprawy pomidora. Technicy odwiedzili wioskę, rozdali nasiona i pojechali do domów – opowiada. – A szkolenie, asystencja techniczna, wsparcie przy dystrybucji? Przecież ci ludzie często nawet nie jedzą pomidora: skąd mają wiedzieć, jak się go uprawia? A jeśli już im coś wyrośnie, gdzie to sprzedadzą? Do Asunción na motorze zawiozą te pomidory? To jest 300 km!

Gustavo: – Cebulę wysyłamy autobusem: trzeba zapłacić 3 tys. za worek. Potem 2 tys. to koszt samego worka. W Asunción płacą ci 10 tys., więc na rękę zostaje ci 5, a jeszcze musisz opłacić ludzi przy żniwach, nasiona... Koniec końców nie masz z tego żadnego zysku.

Nauczyciel od traktorów: – A ci wszyscy niby to technicy państwowi, pożał się Boże, wielu nawet gimnazjum nie skończyło: dostali pracę, bo mieli rodzinę, znajomych w partii, to wszystko.

Miguel, sprzedawca traktorów: – Jeśli chcesz być konkurencyjny, utrzymać się na rynku, musisz cały czas zwiększać ilość produkowanej soi, pszenicy, kukurydzy czy czego byś nie uprawiał. I do tego potrzebujesz nowych technologii.

Elvio: – Ludzie sieją, jak popadnie. Nikt się nie zna na nowoczesnym rolnictwie. Uprawia się według starych wierzeń, zabobonów. Nieznajomość odmian, technik, kalendarza zasiewów jest absolutna.

Miguel: – Najnowsze opryskiwacze wyposażone są w hydraulicznie składane ramiona o długości 34 m z zaworami opryskującymi usytuowanymi co 50 cm jeden od drugiego. Są tak zaprogramowane, by dawka produktów agrochemicznych

Zjadasz owoc, wyrzucasz pestkę i zaraz masz kolejne drzewo.

została zaaplikowana w sposób homogeniczny. Co to znaczy? No bo zobacz: maszyna przemierza teren plantacji z jednego końca na drugi, potem zawraca, pracuje na kolejnym pasie itd., aż objedzie całą uprawę. Jeśli przy zawracaniu albo jednym z przejazdów zawory z końca ramienia przechodzą nad obszarem pola, który został już opryskany, wówczas te zawory automatycznie zamykają się i nie powtarzają aplikacji.

Elvio: – Sieją, po kilku miesiącach biorą łopatę do ręki i szukają, co im tam urosło: mówimy o rolnictwie całkowicie prymitywnym. Tymczasem inżynierowie, którzy kształcą się na paragwajskich uniwersytetach, ledwie ukończą studia, już pracują u Brazylijczyka.

Miguel: – Cały ten proces sterowany jest automatycznie przez GPS z sygnałem korekcji typu RTX i dopuszczalnym błędem w granicach 3 cm.



Wielka zbiórka dla zwierząt Ukrainy! I dla ludzi.

Wielka zbiórka dla zwierząt Ukrainy! I dla ludzi. Bo wojna jednoczy siły tych, którzy chcą pomagać. Gdy piszę ten tekst jest już noc. Pije herbatę i patrzę na spokojnie niebo nade mną. To samo niebo płonie tej nocy nad Kijowem i Charkowem.

I chociaż od 16 lat Fundacja Centaurus działa na rzecz zwierząt, to wojna która objęła Ukrainę nie pilnuje podziałów - cierpią ludzie, cierpią zwierzęta. A ponieważ jesteśmy tam na miejscu od pierwszego dnia, gdy wojna wybuchła i stworzyliśmy w Medyce przy przejściu granicznym potężną bazę dla zwierząt i ludzi - pomagamy wszystkim.

Dwa nasze masowe konwoje humanitarne z pomocą wjechały już na Ukrainę - w sumie prawie 300 samochodów z kierowcami z całej Polski i Europy. Przewieźliśmy tony żywności i leków dla ludzi w najgorsze miejsca na Ukrainie, wracając zabieraliśmy ze schronisk psy i koty, rodziny ze zwierzętami. Każdy nasz Konwój wozí jednocześnie karmię, leki i pomoc dla zwierząt, zaopatrujemy zarówno duże schroniska jak i małe lokalne fundacje karmiące zwierzęta. Każdego dnia do naszej bazy w Medyce zjeżdżają dziesiątki busów z całej Europy. Kolejne busy wyjeżdżają od nas i mijają granicę w niedzielę, że szczególnie wróć. Gdy piszę ten tekst szykujemy nasz trzeci międzynarodowy Konwój, w którym wezmą udział wolontariusze z Polski, Niemiec, Litwy, Holandii i Hiszpanii. Gdy piszę ten tekst nasz kierowca właśnie dojeżdża do Charkowa po rodzinę z 5C kotami, która bez kotów nie chciała się ewakuować. To jeden z ludzi, którzy ryzykują życie, aby pomóc innym wydostać się z ostrzeliwanych miejsc. Chwilę temu zawieźliśmy niewidome małżeństwo z małym dzieckiem i stadem psów i kotów z Kijowa. Dziś zjechało się do naszej bazy 37 psów i 18 kotów (...)

Więcej znajdziesz na naszej stronie internetowej: <https://centaurus.org.pl/pomoc-ukrainie/>

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem DLA UKRAINY na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350. Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści UKRAINA na numer 7412 (koszt SMS 4,92 zł z VAT), 791C (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub 91950 (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

Fundacja Centaurus
ul. Walibrzyńska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mijadze
Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkam>



Fragment książki Wojciecha Ganczarka *Sprzedani. Reportaże z peryferii*, wojciechganczarek.pl, 2021



Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Róże w pożarze

Wojenny kłincz w mediach społecznościowych, w dyskursie publicznym: wspomnisz teraz o czymś bez związku z Ukrainą, wrzucisz na Fejsbuka relację z górskiej przechadzki, pochwalisz się okładką książki, którą przeczytałeś, filmem, który cię zirytował – łamiesz zasady wzmożenia narodowego, jesteś nieczutym ignorantem lub putinowskim trollem. Jeśli wyrazisz wątpliwości co do anulowania całej kultury rosyjskiej pod hasłem „co komu winny Prokofiew, Rublow czy choćby Wieniczka Jerofiejew”: oburz, ban, ostracyzm. Jak każdy owczy pęd taka stotalizowana, masowa rusofobia mnie odstręcza – i skończę na tym, by nie zostać posądzonym o puszczanie sobie Musorgskiego do transmisji z bombardowanego Kijowa zapijanych bielegą. Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy, ale mam nadzieję dożyć w lepszych czasach choćby premiery „Godunowa” w reżyserii Trelińskiego, na którą jeszcze niedawno, przed wojną, ostrzyłem sobie zęby.

Tymczasem ośmieliłem się w ciągu jednej doby porównać akustykę dwóch najnowocześniejszych sal koncertowych w Polsce – tej katowickiej, już znanej i podziwianej, oraz bielskiej Cavatina Hall, świeżo wyrosłego pośrodku miasta szklanego bąbla w stylu Franka Gehry’ego. W NOSPR słyshać genialnie, ale w Cavatinie jeszcze lepiej: w tej zjawiskowej przestrzeni niedawno zaznawałem wdzięków i dźwięków Aleny Bajewej (urodzona w Kirgistanie, więc chyba wolno o niej wspominać), a teraz Brada Mehldaua, bawiącego się z brneńskimi filharmonikami Bachem. W Katowicach usłyszałem po raz pierwszy koncert skrzypcowy Pawła Mykietyna, baaaardzo ponowoczesny, cała historia muzyki w kawałku salcesonu z fragmentów wszystkich stylów w nim zdaje się mieścić. Takie we mnie pragnienie całości i dużej narracji wzbudził, że mnie oczarowała IV symfonia Brucknera, przy której w każdych innych okolicznościach po prostu bym zasnął, budząc się tylko na scherzo. Na obu koncertach nie zabrakło gestów solidarności: NOSPR zagrała na powitanie hymn Ukrainy; w Bielsku szefowie Zadymki Jazzowej zachęcili widownię do żółto-niebieskiej kartoniady.

Ot, paradoks: wszyscy Polacy są teraz Ukraińcami, choć za żadne skarby świata nie chcieliby nimi być. Nikomu już nie zdarza się użyć formuły „na Ukrainie”,

poprawność nakazuje bowiem podkreślać niepodległość państwa poprzez posługiwanie się przyimkiem „w”. Słowo „Ukrainka” odzyskało dużą literę także w obiegu potocznym, gdzie dotąd było synonimem sprzątaczkii – teraz to waleczna kobieta pod bronią lub matka objuczona tobofami i dziećmi, które chce uchronić przed kataklizmem. Nie ma już ukrów, są Ukraińcy. Metamorfoza imponująca, bo przecież nasi wschodni sąsiedzi w ostatnich dekadach byli nad Wisłą pogardzani jako służący Polaków, tania siła robocza, wygłodzona dzicz ze Wschodu – jak w latach 90 „ćpuny-rumuny”, biedota bałkańska. Teraz za sprawą nieustępliwej obrony ojczyzny rosną w polskich oczach niczym prezydent Zelenski, który z drugorzędnego komedianta został pierwszorzędnym mężem stanu, a nawet superbohaterem narodowym. Więcej: nagle

**Wszyscy Polacy są teraz Ukraińcami,
choć za żadne skarby świata nie chcieliby nimi być.**

„uchodźca” ze słowa alergizującego połowę populacji stał się terminem jednoczącym pęknięty naród w aktywnie i sprawcze społeczeństwo.

Nieudolny rząd może tylko próbować się podpinąć pod ten oddolny entuzjazm, co robi ze śmierzdzącym zapalem cmentarnych hien – obserwuje i oblicza, jak wykorzystać sytuację do swoich politycznych korzyści. Jeśli wojna weryfikuje dyktatorów do poziomu podrzędnych demonów (tak to na razie wygląda z Putinem), podrzędne demony w obliczu wojny po prostu ze strachu znikają (gdzie jest Kaczyński?!). PiS zdaje się wyczekiwać chwili, w której ta polska ekstaza dobroczynności przeobrazi się w niecierpliwość, dlatego nie wspomaga wolontariuszy żadnym realnym działaniem; kaczyści obudzą się, dopiero kiedy usłyszą: „Za dużo was, zabieracie nam pracę, ściągacie na nas gniew Rosji, śmierzdźcie, wracajcie już wreszcie do siebie”. Wtedy wrócą do sprawdzonych metod, postawią płot owinięty różańcem kolczastym na wschodniej granicy i zaczną wzniecać pogromowe emocje. Putin to wyjątkowo odrażające monstrum, ale nie zapominajmy o swojskich potworach, które sami wyhodowaliśmy.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl



Spójrz, jaki jestem śliczny!

Dlaczego wśród
zwierząt to samce
zachwycają
wyglądem?

Andrzej G. Kruszewicz,
Katarzyna Burda

Samica pawia indyjskiego nie grzeszy urodą: szarobura, od spodu jakby wyblakła. Mogłaby też być smuklejsza. I ta dziwaczna fryzurka z kilku nastroszonych piórek na czubku głowy! Co innego samiec – w połyskującej szacie z niebieskich, turkusowych i zielonych piór robi piorunujące wrażenie od pierwszego wejrzenia. A to jeszcze nic! Niech no tylko zauważy on interesującą samicę, a nad jego głową natychmiast rozpościera się wspaniały wachlarz piór. Nazywany mylnie ogonem, jest w rzeczywistości trenem zbudowanym z wydłużonych piór rosnących nad właściwym ogonem, niezbyt zresztą imponującym. Pióra trenu pawia to prawdziwy cud natury. Każde może mieć sporo ponad metr długości, a na tren składa się ich nawet 150. Oprócz rozmiaru ich najbardziej charakterystycznym znakiem rozpoznawczym są oka, wzory z turkusowych, żółtych i czarnych

pierścieni. Aby zrobić jeszcze większe wrażenie na wybrance, paw potrafi wprawić swoje piękne pióra w delikatne wibracje, dzięki którym kolory trenu opalizują i mienia się w oczach. Prawdziwa magia.

W bardzo podobny sposób czarują swoje wybranki samce wielu gatunków, i to nie tylko ptaków, jak wspaniałych bażantów i cudowne, ale wszystkich kręgowców oraz wielu bezkręgowców. Popatrzmy na popularne rybki akwariowe, gupiki, bojowniki czy proporczykowce, na kolorowe żabki, np. z gatunku *Hyperolius ocellatus* z Afryki Zachodniej. (...)

W całej przyrodzie z reguły to samiec jest kolorowy, rzuca się w oczy, zachwyca wyglądem, krótko mówiąc, jest dużo bardziej imponujący niż samica, zazwyczaj mniejsza, odziana w bardziej stonowane kolory, pozbawiona widocznych ozdób. Takie różnice w wyglądzie samców i samic fachowo nazywają się dymorfizmem płciowym. Biolodzy od dawna studiują jego naturę. Odpowiedź na pytanie, dlaczego

samce są piękniejsze od samic, wcale nie jest bowiem taka oczywista, i wciąż sporo tu zagadek i znaków zapytania.

Badając fenomen „pięknych piórek” u samców, naukowcy zauważyli pewną prawidłowość. Otóż im większy dymorfizm płciowy w danym gatunku oraz im bardziej kolorowy i piękny jest samiec, tym większe prawdopodobieństwo, że gatunek ten jest poligamiczny, czyli samce nie tworzą pary z jedną samicą. (...)

Kochanek bez robali

Poligamiści raczej nie narzekają na nudę, a już na pewno nie w czasie godów. Nieustanne zaloty, prezentowanie swoich walorów, zagłębienie sobie w oczy – a nuż wyczyta się w nich zaproszenie do seksu? Różnica między samcami a samicami u większości poligamicznych gatunków jest jednak zasadnicza. Zazwyczaj to samiec zalicza jedną partnerkę po drugiej. Ledwo odsapnie po kopulacji, a już jest gotowy do kolejnej. I ma w tym interes, bo

odwieczne prawo natury pcha go do przekazywania genów jak największej liczbie potomstwa. W zupełnie innej sytuacji jest samica. Składa ją lub zachodzi w ciążę i wydaje na świat potomstwo – czasami jednego potomka, czasami kilkanaścioro, ale liczba dzieci jest zawsze determinowana możliwością zapewnienia im opieki. Zasoby komórek jajowych oraz sił witalnych do wydania na świat potomstwa są u samic ograniczone.

Dlatego muszą bardzo starannie wybrać ojca swoich dzieci i do nich podczas zalotów należy decyzja, czy do seksu dojdzie, czy też konkurent obejdzie się smakiem (i zapachem). A każda samica ma wysrubowane wymagania. Samiec, który przekaże geny jej dzieciom, musi być zdrowy, silny i pełen energii. I to właśnie każdy zalotnik musi jej w czasie konkururować przekazać – w miłosnym języku powiedzieć wybrance: „Spójrz, gdzie znajdziesz lepszego ojca dla swoich dzieci?”. Ten miłosny język może być rykiem, stękaniami, mručeniami, wyciem, śpiewem, bzyczeniem, brzęczeniem, ale też swoistą mową ciała, tańcem lub prezentowaniem absurdalnie wielkich ozdób – jak u pawia, jelenia, cudownerek czy niektórych ryb oraz owadów.

Karol Darwin odkrył, że z ewolucyjnego punktu widzenia samcom nie zawsze chodzi o własne przetrwanie, ale również o zwiększenie

nie chodzi zatem wyłącznie o przetrwanie – wywnioskował Darwin i nazwał tę dodatkową siłę ewolucyjną doboorem płciowym. Jeśli dobór naturalny to domena najsilniejszych, to dobór płciowy jest domeną najpiękniejszych.

Działą on z grubsza na dwa sposoby: albo daje samcom broń, która służy do odgania konkurentów (jak poroża u jeleni czy rogi u kozłów, bawołów lub antylop), albo wspaniałe cechy wyglądu przyciągające uwagę samic – jak kolorowe pióra czy długie ogony u ptaków

Dla nas gawron jest czarny, a w oczach innego gawrona mieni się metalicznie odcieniami błękitu, fioleto i zieleni.

albo grzywy, guzy bądź intensywny zapach u ssaków. Samemu samcowi kolorowe piórka nie są do niczego potrzebne, nie jest mu dzięki nim cieplej, nie służą do latania, przeciwnie, mogą nawet w nim przeszkadzać i stwarzać zagrożenie dla życia. Ich wyrośnięcie i coroczna wymiana to duży koszt dla organizmu. A wiele barw bardzo trudno uzyskać.

U ptaków dotyczy to zwłaszcza pigmentów błękitnych i zielonych, które organizm musi sam wyprodukować, w przeciwieństwie do żółtych czy pomarańczowych, pochodzących najczęściej z barwników dostarczanych z pożywieniem.

za postrzeganie kolorów czerwonego, niebieskiego i zielonego, a u ptaków dodatkowo występują czopki umożliwiające widzenie ultrafioletu.

Kiedy naukowcy to odkryli, spojrzeli na ptaki zupełnie nowym okiem. Okazało się, że szpaki, uznawane przez nas za gatunek monochromatyczny, czyli taki, w którym samiec nie różni się od samicy kolorystycznie, same widzą siebie zupełnie inaczej: samiec w oczach pań swojego gatunku ma piękne, błyszczące, opalizujące w ultrafiolecie pióra. Czasem

możemy dostrzec te cudowne pooblaski, ale to, co dostrzegają nasze oczy, to tylko namiastka. Tak samo jest u sikor modraszek, u których samce naszym zdaniem są tylko nieco bardziej żółte i niebieskie niż samice. Lecz żółć i błękit widziane przez samice w paśmie ultrafioletowym nadają samcom piękne, świecące ubarwienie. Dla nas gawron jest po prostu czarny, a tymczasem w oczach innego gawrona mieni się metalicznie różnymi odcieniami błękitu, fioleto i zieleni.

Cały ten wysiłek organizmu związany z pozyskaniem pięknych barw musi mieć jakieś ewolucyjne uzasadnienie. I nie może tu chodzić wyłącznie o zaspokojenie zmysłu estetycznego samic, bo dlaczego właściwie czerwone czy żółte pióra miałyby wydawać im się piękniejsze niż szare albo czarne? Musiał być jakiś powód wykształcenia się takiej preferencji. Dzisiaj badacze uważają, że w pięknym, kolorowym upierzeniu samców chodzi o coś więcej – o udowodnienie, że jest się zdrowym i w świetnej kondycji. Orzech nie ma się żadnych pasożytów osłabiających siły witalne. U ptaków bowiem wiele chorób pasożytniczych szybko powoduje blaknięcie i matowienie kolorów. A dzięki temu swoistemu „kolorystycznemu testowi” samicy wystarczy rzut oka, aby spośród tłumu konkurentów wybrać samca najzdrowszego, ▶

W kolorowym upierzeniu samców chodzi o udowodnienie, że jest się zdrowym i w świetnej kondycji.

szansy na przekazanie genów i zyskanie maksymalnie wielu okazji do zapłodnienia. Jako przykład podawał właśnie pawia, świetnie już wówczas znanego w Europie. Przecież pawie ogon z punktu widzenia sztuki przetrwania to istne kuriozum! Ogromne, ciągnące się przez większość czasu po ziemi pióra niemal uniemożliwiają ucieczkę przed drapieżnikiem, a więc pozornie są sprzeczne z podstawowym prawem ewolucji, w myśl którego przetrwają tylko najlepiej dostosowani do środowiska. W przypadku pawia z pewnością

Nasze oczy tego nie widzą, ale czerwone upierzenie samców wielu ptaków oraz pstre zabarwienie dziobów mają wiele odcieni będących dla samic sygnałem sił witalnych adoratora.

Trzeba więc pamiętać, że ubarwienie ptaków wcale nie ogranicza się do kolorów, które my dostrzegamy, bo ptaki i owady widzą świat w zupełnie innych barwach. Ich oczy widzą bowiem szersze spektrum barw, a tęcza jest o wiele bogatsza w odcienie. (...) Czopki barwne u człowieka odpowiadają

► pozbawionego groźnych pasożytów, którymi mogłyby się zakażić przyszła matka oraz jej dzieci. Oczywiście samica ocenia zazwyczaj nie tylko barwy samca, ale też długość piór i regularność wzorów na nich, u pawia ważna jest liczba oczek w trenie. Samica nie potrafi ich policzyć, ale analizuje symetrię rozmieszczenia. (...)

Piękne kolory mogą też świadczyć o tym, że samiec jest zaradny i będzie pomocny w wykarmieniu piskląt. Właśnie taką informację przekazuje samicy ubarwienie piór wybranka, ale zwykle widziane tylko w ultrafiolecie, dla nas nieosiągalnym bez specjalistycznego sprzętu. Taki kolor ptak musi sobie „organizować”, zjadając bardzo dużo pokarmu zawierającego karotenoidy.

Poligamiści raczej nie narzekają na nudę, a już na pewno nie w czasie godów.

Z nich bowiem organizm może zsintetyzować barwy żółte, pomarańczowe i czerwone oraz ich liczne odcienie widoczne w ultrafiolecie. Dla samicy intensywne ubarwienie amanta oznacza: ten kandydat na partnera wie, jak zdobyć dużo pożywienia, przy nim „będzie co włożyć do garnka”, a właściwie do gardzieli wiecznie wygłodniałych piskląt.

Warto też zadawać się z partnerem, który ma już pewne doświadczenie „w tych sprawach”. Tu też samicy z pomocą przychodzi uważna obserwacja szaty przyszłego kochanka. U wielu gatunków kolorowe ubarwienie jest najpiękniejsze nie u młodych samców, ale u tych w wieku dojrzałym, które już wiele razy przystępowały do godów. Po każdym okresie godowym piękne pióra są bowiem zrzućane, a na ich miejsce wyrastają nowe, jeszcze mocniejsze i intensywniej wybarwione. (...)

W krainie pięknych samic

Dobór płciowy, który czyni samce gatunków poligamicznych coraz piękniejszymi, w ogóle nie ma wpływu na umaszczenie ich samic. Nie znaczy to jednak, że samice nie

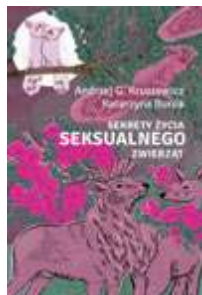
podlegają prawom ewolucji. W ich przypadku działa wyłącznie prawo doboru naturalnego. A ono mówi, że im samica mniej widoczna, tym łatwiej jej przeżyć i uchronić się przed drapieżnikami. Oznacza to, że podczas gdy samiec zalicza wiele kochanek, jego partnerki z pokolenia na pokolenie stają się coraz bardziej szare i zlewają się z otoczeniem. No cóż, jak to się mówi: coś za coś. Życie najbardziej efektywnych i mocno eksploatowanych (przez samice) samców jest z reguły bardzo krótkie, ale za to intensywne. Samice to gracze długodystansowi, dźwigający ciężar odpowiedzialności za potomstwo. Wysiadywanie jaj wymaga kamuflażu i wtopienia się w tło, by nie wpaść w oko drapieżnikowi.

Przyroda jest jednak bardziej urozmaicona, niż nam się wydaje, i nie lubi utartych schematów. Dlatego zdarzają się odstępstwa od reguły, że to samce są bardziej efektywne od samic. U nielicznych gatunków to samica jest piękniejsza od samca. Na przykład samice kraba błękitnego, z końcami odnóży zabarwionymi na czerwono niczym paznokcie eleganki, samice papugi barwnicy zwyczajnej, które są czerwono-fioletowe, podczas gdy zielone samce zlewają się z otoczeniem. Piękniejsze od samców są również samice płatkonogów i morneli, a samice dużo większe od samców spotkamy u wielu owadów i pajaków, u hien i niektórych ryb. Jest nawet pewna ryba głębinowa z rodziny żabnicowatych, u której samica jest monstrialnie wielka, a samiec groteskowo malutki. By przetrwać w mrocznych głębinach i mieć stały dostęp do samicy, samiec wrasta w ciało wybranki: staje się jego częścią i jest przez nią odżywiany. To niezwykle u ryb przykład dozgonnej monogamii!

Choć tylko ze strony samca, bo samica może mieć wrośniętych w siebie kilku samców. Być może samce mają stałą satysfakcję z seksu, ale czy ich monstrialna pani także? Są nawet doniesienia, że u niektórych żabnic organizm samca redukuje się do jąder. To już kompletna degradacja! (...)

Nie wszystkie zwierzęta są monogamiczne, a w procesie kojarzenia się w pary jedna i druga strona musi się podobać sobie nawzajem. Ciekawe zjawisko odkryto u wróbbli skalnych, u których i samiec, i samica mają ozdobne, żółte plamki na szyi. Po co pani wróblowej żółty naszyjnik? Naukowców zafascynowało to do tego stopnia, że postanowili sprawdzić opłacalność inwestycji w damskie ozdoby u wróbbli skalnych. Wyjaśnienie, które się narzuca jako pierwsze, jest proste: samica, która ma najpiękniejszą ozdobę, zdobędzie najlepszego samca i będzie z nim miała najwięcej dzieci. Obserwacje wróbbli zadały jednak kłam temu przypuszczeniu. Zauważono, że dorodne samce, choć faktycznie próbowały zdobywać te piękności, często korzystały z uroków także innych samic, nie było też żadnych różnic w liczbie potomstwa. Po co więc panie wróblowe się stroją?

Jak uważają ornitolodzy, może wcale nie chodzi o dzieci, ale o... wygodę życia i różne inne profity. Najpiękniejsze samice są bowiem zazwyczaj otoczone wianuszkiem samców, które próbują się zdobyć i wkupić się w ich łaski a to smacznym kąskiem, a to oferując gniazdo dobrze chronione przed drapieżnikami. A więc nie chodzi o seks czy przekazanie genów, ale o pozyskanie adoratorów próbujących spełnić każde życzenie ślicznotki i obsypujących ją wszelkimi dobrami! A wszystko dzięki jednej, żółtej plamce na szyi... Ach, gdyby u innych gatunków to było takie proste! (...)



Fragmenty książki Andrzeja G. Kruszewicza i Katarzyny Burdy *Sekrety życia seksualnego zwierząt*, Rebis, Poznań 2021

Krym Orbána

Viktor Orbán w wypowiedzi dla portalu Mander.hu i innych węgierskich mediów państwowych zaatakował polską rację stanu. A Morawiecki, Kaczyński i Duda udają, że pada deszcz.

Otóż Orbán w tym wywiadzie wyraził zrozumienie dla Rosji, która musi być otoczona strefą neutralną. A Polacy – dodał – „chcą przesunąć granicę świata zachodniego aż do granicy świata rosyjskiego. Dopiero wtedy poczują się bezpieczni”. Nie zauważył przy tym, że Polska ma granicę z Rosją, czyli, jego zdaniem, powinna stać się częścią „strefy neutralnej” wokół Rosji. A to zakłada powrót do stanu z 1989 r. i *de facto* podległość byłych państw Układu Warszawskiego wobec Moskwy.

Czy słowa Orbána wynikają z nieznamośności geografii, czy z czegoś innego? Obecnemu ustrojowi Węgier bardzo blisko do nieliberalnej demokracji, czyli państwa bez wolnych mediów, społeczeństwa obywatelskiego, wolnych i uczciwych wyborów. Orbánowi jako współwłaścicielowi – z innymi, swoimi oligarchami – Węgier taka wizja państwa odpowiada. Brak reakcji rządu RP na ten atak najbliższego sojusznika nie dziwi. Wszak to Kaczyński chce Budapesztu w Warszawie, a Morawiecki jeszcze kilka tygodni temu, w Warszawie i Madrycie, ścisnął się z Salvinim, Le Pen i nacjonalistami z Niemiec, czyli przedstawicielami AfD. A Orbán ma za niecały miesiąc wybory. Jeśli je wygra, Budapeszt w Warszawie stanie się jeszcze bardziej realny.

A powinno być tak: wiceministrem odpowiedzialnym za politykę europejską w MSZ RP jest Szymon Szynkowski vel Sęk, który w telewizjach chwali się, że zna wszystkie procedury w UE. Podpowiadamy mu

narzędzia dyplomatyczne, by dać stronie węgierskiej do zrozumienia, że Polska nie chce być w rosyjskiej strefie wpływów. Można zaprosić/wezwać ambasadora Węgier do ministerstwa i zwrócić się do niego o wyjaśnienie słów Orbána. Jeśli vel Sęk nie ma czasu, to może polecić podwładnym sporządzenie stosownej noty: „MSZ RP przekazuje wyrazy najwyższego szacunku Ambasadzie Węgier w Polsce i zwraca się, w związku z wywiadem udzielonym przez Pana Premiera Viktora Orbána węgierskim mediom, o poinformowanie Go, że Polska ma bezpośrednią granicę z Federacją Rosyjską o długości 232 km”.

Jest wreszcie możliwość polecenia naszemu ambasadorowi w Budapeszcie, by podjął analogiczne działania. Można, a raczej trzeba, te działania podjąć w formie *démarche*, co jest ostrzejszym sposobem wyrażenia niezadowolenia. Rozumiemy historyczną traumę Węgrów po traktacie z Trianon w 1920 r. Prosimy o zrozumienie naszej, o 150 lat wcześniejszej, i tej późniejszej, przede wszystkim z lat 1939-1941.

Orbán chce wejść do historii swoim Krymem. Tym jest Ukraina Zakarpacka, zajęta przez Węgrów po rozpadzie Czechosłowacji w 1939 r. Kwestionowanie obecnych granic w Europie jest więc, jak widzimy, *modus vivendi* Putina, a premier Węgier widzi w tym swój interes. Swoją możliwość. A Polska? Bezczynność rządu i prezydenta RP wobec słów Orbána o „strefie bezpieczeństwa” Rosji jest co najmniej podejrzana i skłania do wniosku, że taka strefa, z włączoną do niej Polską, chodzi pisowcom po głowie.

Attaché



Kobiety w Bangladeszu pracują po 10 godzin dziennie przy suszeniu i przetwarzaniu papryczek chili. Za dzień dostają mniej niż równowartość dolara.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	33
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 33 utworzą końcowe hasło.

- imię autora dramatu „Cola Rienzi”
 - jest nim Roman Giertych
 - imię babki Jezusa
 - zagłada, koniec świata
 - u niego leków bez liku
 - robić je to zachowywać się dziwnie
 - kawałek ryby pociętej poprzecznie
 - oaza, wysepka
 - Wicekrólestwo Nowej miało stolicę w Bogocie
 - przepowiednia dla Ryb i Raków
 - sedno, kwintesencja
 - ...zakładowy spółki akcyjnej
 - słynny w Rio lub wenecki
 - na Nilu albo zaćma
 - bocienie dziobem kłapanie
 - ...Łódź, klub z „Piłkarskiego pokera”
 - tradycjonalizm, zachowawczość
 - gęsty dym z sadzą, osad z sadzy
 - honorowe oddawanie A, B, AB lub 0
 - Bond miał ją na zabijanie
 - produkcyjna w zakładzie lub demarkacyjna
 - broń na bazyliuszka
 - z mroczkowatych
 - narządy ruchu stawonogów
 - księżyc, lata albo szczęścia
 - przylepa, faworyt (też władzy)
 - mocne, deserowe wino portugalskie
 - rzemieślnik układający podłogi
 - wpis na forum, blogu
 - o świecie niewirtualnym
 - rozrzucanie nasion
 - Faeton słonecznym nie dał rady powozić
 - Kopuła na niej w Jerozolimie
 - linia tworząca zwoje
 - imię malarki Pągowskiej
 - smyczkowe – na skrzypce, altówkę i wiolonczelę
 - najniższa warstwa atmosfery Ziemi
 - i Świerzy, i Pawlak
 - atakuje organizm lub komputer
 - wysoki, ostry dźwięk, gwizd
 - nie każde to *happy end*
 - śnieżycą z silnym wiatrem
 - niektórzy pędzą na... karku
 - „...bogów” Wagnera
 - konfitura z niej do dań mięsnych

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1056”. Do rozlosowania książki „Wspomnienia z martwego domu” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejscu XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 20 marca 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1053” z nr. 9: *Miłość zostawia ślady.*
Nagrody otrzymują: Maria Bijak-Kaszuba z Łodzi, Barbara Bertrandt-Sokolnicka z Głogowa, Janina Wysocka z Sikor.

PENETRACJE

FORUM
MYŚLI WOLNEJ

**BOGUMIŁ M.
WOŹNIAKOWSKI,**
HISTORYK

Stanisław Stempowski tuż przed śmiercią w 1952 r. przełał swoje uprawnienia do obudzenia łóż na Mieczysława Bartoszkiewicza, byłego skarbnika Wielkiej Łoży, urzędnika przed wojną, a po wojnie m.in. księgowego w „Kurierze Polskim”, piśmie SD. Władze ówczesnej Polski znalazły sojusznika w zwalczaniu masonerii. Okazał się nim Kościół katolicki, dla którego od zawsze masoni to największy wróg. W styczniu 1953 r. prymas Stefan Wyszyński w trakcie rozmowy z sekretarzem KC PZPR Franciszkiem Mazurem proponował wspólne zwalczanie wpływów wolnomularskich w Polsce (w okresie 1946-1952 w Episkopacie funkcjonowała antymasońska komórka, w której ustalenia, niemające nic wspólnego z rzeczywistością, Wyszyński bezgranicznie wierzył).

MONDE
diplomatique

**BENOÎT BRÉVILLE,
SERGE HALIMI,**
DZIENNIKARZE

W latach 50. i 60. bogaci i wykształceni głosowali na prawicę, a biedni i niewykształceni głosowali na lewicę. Tak już nie jest. Umiarkowane partie lewicowe – socjalistyczne, laburzystowskie, demokratyczne czy ekologiczne – mogą teraz liczyć, że wygrają, nawet jeśli zaniedbają postulaty elektoratu ludowego, zwłaszcza w wyborach, w których bierze on niewielki udział. Mogą wtedy swobodnie faworyzować liberalizm

kulturowy i promować prawa indywidualne, przeznaczone przede wszystkim dla oświeconego mieszczaństwa.

ANGORA

ANTONI SZPAK,
SATYRYK

Obraz naszej politycznej klasy bez klasy w najbliższym czasie się nie poprawi. A to z prostej przyczyny, że nie ma w niej prawdziwych autorytetów, ludzi cieszących się powszechnym szacunkiem i poważaniem. Żaden z polityków nie jest godny zaufania. Każdy ma coś za uszami! Wszyscy kombinują, kręcą swoje lody. Korupcja w owym środowisku już dawno przestała być czymś wyjątkowym. W polskim politycznym grajdole życie toczy się od afery do afery. Towarzyszą im liczne skandale towarzysko-obyczajowe.

zwierciadło

**FISZ (BARTOSZ
WAGLEWSKI),**
KOMPOZYTOR,
WOKALISTA

Wiele osób pokłada nadzieję w młodych. Muszą się uporać z presją wolnego rynku, sukcesu, wyglądać świetnie, a jeszcze oczekujemy od nich, żeby przywrócili światu właściwe wartości. Presja jest ogromna. Być może naiwnie, ale wierzę, że zmieniają język patopolityki. A ci panowie, którzy dzisiaj konstruują nam życie, podświadomie wiedzą, że zmiana następuje. Dlatego tak się puszą i stroją srogie miny. Te wszystkie zabawki nowe pokolenie wyrzuci im z rąk. Niedługo.

Aby język giętki...

PAWEŁ WOJTUNIK O PEGASUSIE

Ponoć wszyscy, którzy maczali palce w inwigilowaniu senatora Brejzy, są już na wcześniejszych emeryturach.

STANISŁAW TYM O ANDRZEJU DUDZIE

Już po inwazji zdążył po cichutku powołać paru neosędziów oraz nowego prezesa tzw. Izby Dyscyplinarnej. To prokurator Roch, znany z przestępczego kłosa w czasie porodu.

PROF. MARIA POPRZĘCKA O ZACHĘCIE

Program dyr. Janusza Janowskiego jest tak wsteczny, anachroniczny i tak pełen błędów, że trudno go komentować.

ADAM FERENCY O POLITYKACH

Kiedyś mało ufałem politykom, jednak gdzieś na dnie jakiś rodzaj zaufania był. Teraz jestem odarty z tego wszystkiego.

MONIKA STRZĘPKA

O TEATRZE DRAMATYCZNYM

Zrezygnowałam z zaproszenia osób przemocowych. Ludzie nie mogą się w pracy bać. To działa dewastująco nie tylko na teatr, ale też na rodziny i bliskich członków zespołu.

OMENAA MENSAH O RASIZMIE

Pisano: „Ty czarna suko, wracaj tam, skąd przyjechałaś”. Wygrałam proces sądowy z dużym portalem internetowym o rasistowskie komentarze.

ALEKSANDRA JUSTA

O MONICE RICHARDSON

Wybór na ambasadora kampanii „Nie hejtuję – motywuję” osoby, od której moje dzieci i ja doznałyśmy wiele hejtu, wprowadził mnie w osłupienie.

MAGDALENA ZAWADZKA

O HEJTERSTWIE

Jest czymś wstrętnym, bezinteresowną nienawiścią, ale też często promowaną i opłacaną.

BORYS SZYC O ALKOHOLIZMIE

Alkoholik cały czas kłamie i wszystko racjonalizuje, aż spadnie na samo dno. Alkoholizm to choroba emocji.



Skowronki w tańcu miłości. Ivor Ottley, angielski fotograf, robił zdjęcia zającem, gdy rozpoczął się ten pokaz.



Szutki na kontach

Pracownicy sektora bankowego apelują, by do tytułów przelewów nie wpisywać obelg pod adresem wiadomego Władimira, co jest ostatnio częste. Dodaje to bankowcom niepotrzebnej pracy, ponadto może opóźnić transfer pieniędzy. – Wszyscy wiemy, że przelew środków do fundacji zajmującej się pomocą humanitarną ze słowem Putin w tytule to nie jest przelew od czy do Putina, ale jest on objęty sankcjami finansowymi, więc takie rzeczy muszą być weryfikowane – wyjaśnił przedstawiciel jednego z banków w rozmowie z Business Insider. Niezalecane jest także umieszczanie w tytułach przelewów informacji, że pieniądze mają zostać przeznaczone na zakup broni. Przyznajcie się, kto z was ma na koncie takie żarty?

Kasy co niemiara za pojmanie cara

Mieszkający w Stanach Zjednoczonych rosyjski biznesmen zaoferował milion dolarów za schwytanie prezydenta swojej pierwszej ojczyzny. Aleksandr Konanychin przekazał taką kwotę rosyjskim oficerom, którzy „wypełnią konstytucyjny obowiązek” i aresztują Putina, którego oskarżył m.in. o zbrodnie wojenne oraz zniesienie wolnych wyborów. Aleksandrze Pawłowiczu, tylko proszę pamiętać o odpowiednim tytule przelewu!

A dokąd to?

Amerykański nastolatek Jack Sweeney założył na Twitterze konta, które relacjonują przemieszczanie się samolotów najważniejszych rosyjskich decydentów (@PutinJet) oraz związanych z nimi oligarchów (@RUOligarchJets). Można na nich znaleźć automatycznie generowane informacje w rodzaju: odrzutowiec szefa koncernu Łukoil Wagita Alekperowa wystartował z okolic Stambułu. Dodatkowo młodzienciek „ręcznik” monitoruje i publikuje dane na temat aktualnej lokalizacji jachtów władców Rosji (@RussiaYachts). „Nad poziomem wybiecia”, jak wieszcz przykazał!

Wysoki Sądzie, Szanowni Inwestorzy...

W USA start-up Ryval zamierza uruchomić platformę umożliwiającą wykup zbywalnych, kryptowalutowych tokenów reprezentujących udziały w ewentualnych odszkodowaniach wywalczonych w poszczególnych sprawach sądowych. Rynekowa wycena tokenów, których emisja ułatwi zdaniem firmy finansowanie batalii prawnych przeciwko bogatym korporacjom, będzie rzecz jasna zmieniać się w zależności od przebiegu postępowań. Brzmi ciekawie, ale pamiętajmy, że na papierze to nawet OFE stanowiły świetny interes.

Second Life brutto

Urzędy skarbowe coraz śmielej wkraczają do wirtualnych światów. Niedawno platforma Second Life ogłosiła, że graczy ze Stanów Zjednoczonych będą obowiązywać lokalne podatki z tytułu rozliczeń za subskrypcje czy zakup cyfrowej waluty. Ogłaszając zmiany, powołała się na decyzję Sądu Najwyższego, który stwierdził, że miasta i stany mają prawo ściągać podatki od sprzedaży także w przypadku produktów oferowanych przez firmy, które są fizycznie nieobecne w danej lokalizacji. To się nazywa świadczenie nie z tego świata!



Odtwórczyni głównej roli Anna Dzięduszycka i reżyser Tadeusz Łysiak na uroczystym obiedzie dla nominowanych do Oscara. Film „Sukienka” jest kandydatem w kategorii najlepszy film krótkometrażowy. Los Angeles, 7 marca 2022 r.

Na randce z prawdą

Trzech Polaków zainicjowało na Tinderze kampanię, której celem jest docieranie do Rosjan i Rosjank z informacjami o napaści na Ukrainę. Apelują do użytkowników tej aplikacji, by przenosili się ze swoimi profilami do miast w państwie rządzonego przez Putina. Wówczas wystarczy, że w swoich opisach zawrą rosyjskojęzyczne informacje skopiowane ze strony torussiafromlove.com, by osoby stamtąd poszukujące nowych związków mogły przeczytać o inwazji. Miłość wszystko zwycięży, nawet cenzurę i propagandę!



FOT. A-MEM (2), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, SEKCJA GIMNASTYCZNA, INVISION/EAST NEWS



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Piłkuła, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbełka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzytż: Magdalena Gluska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Koordynator ds. komunikacji i PR:

Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Raj Utracony

Kuba Kujawa

Jedność dusz



Ogród rozkoszy ziemskich



Kuba Kujawa pochodzi z Wielkopolski, ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Poznaniu, gdzie od początku zwrócił na siebie uwagę. Po studiach poświęcił się malarstwu, tatużowi i podróżowaniu. Prace Kujawy często odwołują się do klasycznego malarstwa, symbolizmu, cechują się niezwykłą dekoracyjnością, secesyjną ornamentyką. „Poruszam w nich raczej stałą dla siebie tematykę, czyli po prostu ilustruję emocje, które towarzyszą mi każdego dnia, językiem, w którym najlepiej się wypowiadam”, tłumaczy artysta.

**Galeria Zacznie
Poznań,
ul. Garbary 50
do 11 maja**



Skok na główkę



Upadek Ikara

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

♦ TEATR CAPITOL ♦



**PREMIERA
MARZEC 2022**

M AŁŻEŃSTWO **TO** **M** ORDERSTWO

REŻYSERIA Olaf Lubaszenko

AUTOR
Nick Hall
PRZEKŁAD
Emilia MIŁKOWSKA

OBSADA: Anna GORNOSTAJ | Olaf LUBASZENKO

80 lat na scenie - jubileusz pracy artystycznej

• KUP

BILET

• www.teatrcapitol.pl



Patroni Medialni



TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 144cc004d8

NAJNOWSZY FILM ILDIKÓ ENYEDI („DUSZA I CIAŁO”)

LÉA
SEYDOUX

GIJS
NABER

LOUIS
GARREL



KONKURS GŁÓWNY
CANNES

HISTORIA MOJEJ ŻONY



Międzynarodowy
Festival Filmowy
w TORONTO
Kanada



Międzynarodowy
Festival Filmowy
w HAIFIE
Izrael



Festival
NOWE
HORYZONTY



STYLOWY I OLŚNIEWAJĄCY MELODRAMAT
NA PODSTAWIE GŁOŚNEJ POWIEŚCI MILANA FÜSTA

W KINACH OD 18 MARCA

